



# ZASADA WZAJEMNOŚCI

AGNIESZKA PESZEK

[www.peszek.pl](http://www.peszek.pl)

Agnieszka Peszek

Zasada wzajemności

Copyright by Agnieszka Peszek 2022

Copyright by 110 procent 2022

Wydanie 1

Redakcja: Dominika Kamyszek - [OpiekunkaSlova.pl](http://OpiekunkaSlova.pl)

Projekt graficzny okładki: Andrzej Peszek

Skład: Agnieszka Peszek

ISBN: 978-83-965144-3-1

Wydawnictwo 110 procent

Cymuty 4, 05-825 Czarny Las

[www.peszek.pl](http://www.peszek.pl)

opracowanie na czytniki eLJot

*Najgorszy ból w życiu to ten,  
którm nie możesz się z nikim podzielić,  
bo ci, którym możesz o tym powiedzieć, nie rozumieją,  
a tym, którzy mogliby zrozumieć, nie możesz powiedzieć.*

Kazimierz Matan

# Część 1

## Narodziny

### Rozdział 1

teraz

Obudził ją jakiś bliżej nieokreślony szmer, który momentalnie sprawił, że otrząsnęła się z resztek płytkiego matczynego snu, tak innego od tego dotychczasowego. Jak to kiedyś powiedziała jej koleżanka z pracy - „matka nie śpi, matka czuwa”. Na początku śmiała się z tego, ale teraz wiedziała, że to prawda. Jej uszy cały czas były w trybie nasłuchiwania zagrożeń. Była jak lwica, która cały czas bacznie wypatruje drapieżników zagrażających jej małym i w każdym momencie jest gotowa ruszyć do ataku.

Leżała chwilę, wpatrując się w rytmicznie unoszącą się klatkę piersiową męża, który chrapał jak gdyby nigdy nic. Wiedziała, że powinna iść dalej spać, ponieważ nie miała zbyt wielu chwil odpoczynku, jednak czuła wewnętrzną potrzebę zobaczenia małego. Popatrzenia na jego mały nosek, który odziedziczył nie wiadomo po kim. Na oczy, które miały tak intensywny czarny kolor, że niektórzy bali się w nie patrzeć. Ale chyba najbardziej uwielbiała jego zapach. Zupełnie inny od wszystkiego, co dotychczas wąchała i знаła, a mimo to tak kojący i wywołujący w niej niesamowity spokój, że miała ochotę zamknąć go w butelce i zatrzymać na zawsze.

Powolutku, bezszelestnie usiadła na łóżku, wsunęła stopy w stojące obok niego kapcie i wyszła z sypialni. W całym domu panowała cisza, zakłócana tylko rytmicznym tykaniem zegara, który stał w korytarzu.

Dla niej był to jeden z najprzyjemniejszych dźwięków, bo wiązał się z ukochanymi dziadkami, którzy nie żyli od ośmiu lat. Gdy była dzieckiem, zegar ten stał u nich w korytarzu i wybijał każdą pełną godzinę. Niezależnie od tego, co wtedy robiła, rzucała wszystko i biegła do niego. Przystawała przed i odliczała liczbę uderzeń. Ten dźwięk zawsze kojarzył jej się z radością i bez troską, bo takie było jej dzieciństwo. Teraz jednak zegar, poza ledwo słyszalnym tykaniem, nie wydawał żadnego dźwięku. Niestety, kiedy pojawił się w domu maluch, musieli wyłączyć wybijanie godzin, bo płakał za każdym razem, gdy o pełnej godzinie wybrzmiewało bicie. Ten sam dźwięk, który jej dawał ukojenie, jego drażnił.

Stała na chwilę przy wysokiej drewnianej konstrukcji i pogłaskała siedzące na niej drewniane jaskółki. Nigdy się nie zastanawiała, skąd wziął się u niej ten zwyczaj. Zupełnie podświadomie potrzebowała dotyku starego drewna. Nieśpiesznie ruszyła wzdłuż korytarza, poprawiając jeszcze po drodze krzywo leżące gazety na stoliku w przedpokoju, i popchnęła drzwi do pokoju syna.

Trochę zaspana weszła i zamarła. Nagle jej świat stanął, a ciszę domu zakłócała tylko cichym tykaniem zegara przerwał przeraźliwy krzyk, gdy serce matki zostało rozdarte.

## Rozdział 2

### trzy tygodnie wcześniej

- Zostaw już to, jest idealnie - powiedział Mirosław Trojanowski do żony i wyszedł z pokoju dziecięcego, dając tym samym sygnał, że skończył swoją pracę na dzisiaj.

Codziennie od trzech tygodni po całych dniach w biurze wykonywał grzecznie wszystkie polecenia, które dostawał od żony. Zaczęło się od niewinnego malowania ścian. Gdy to zrobił, ona stwierdziła, że jednak lepiej będzie, jak na podłogę położy wykładzinę dywanową. Tłumaczył, przekonywał, że nie jest to dobry wybór, ponieważ będzie się brudzić,

zbierać kurz, ale nie! Ona wiedziała lepiej. Miało być miło dla raczkującego dziecka. Odpuścił, położył wybraną wykładzinę. Niestety nie pasowała do wcześniej naniesionej na ściany farby, więc ponownie grzecznie je pomalował. Później czekało go jeszcze założenie karniszy, wymiana lampy, złożenie mebli. Gdy już myślał, że to koniec, zawsze wymyślała coś następnego.

- Zaczekaj, trzeba jeszcze wytrzeć kurze na szafie i lampie! Wróć! - krzyknęła głośno Aneta, bojąc się, że nie usłyszy. On jednak nic nie odpowiedział, więc dźwignęła się z fotela do karmienia, który stał obok małego dziecięcego łóżeczka, i podreptała za mężem.

Zanim doszła do salonu, Mirosław siedział już na welurowej kanapie udekorowanej fikuśnymi poduszkami, których nie znosił. Otwierał właśnie butelkę piwa, którą wyjął z lodówki, jeszcze zanim został zagoniony do roboty. Gdy usłyszał ulubiony syk towarzyszący otwieraniu złotego trunku, miał wielką nadzieję, że odrobił już pańszczyznę na ten dzień i żona mu odpuści, a on będzie mógł chociaż przez chwilę odpocząć. Jednak widząc jej zaciśnięte usta i bojową postawę, gdy stała z rękoma opartymi na biodrach, zrozumiał, że jego optymizm był naiwny i wyszło jak zwykle.

- Trzeba jeszcze wytrzeć kurze na szafie - poinformowała męża Aneta, zupełnie nic nie robiąc sobie z tego, że ten próbuje odpocząć. Jak zwykle wyznaczone przez nią zadania miały być zrealizowane od razu i bez dyskusji.

- Kobieto... - jęknął z zamkniętymi oczami, delektując się trunkiem rozlewającym się po jego ciele. Jego temperatura nie był idealna, ale mimo to dawała ukojenie. - Czy ty myślisz, że ta mała istota uwięziona w twoim brzuchu będzie sprawdzała sterylność miejsca, w którym zamieszka? Jeżeli tak, to jesteś w błędzie. A teraz bądź tak miła i zostaw mnie na pół godziny w spokoju. Jestem po ciężkim dniu w pracy. Szef miał dzisiaj muchy w nosie, bo żona zagroziła, że od niego odejdzie, jak nie kupi jej samochodu, więc wszyscy musieliśmy zasuwać jak małe mróweczki. Dlatego proszę cię, pozwól mi na chwilę odpoczynku. - W końcu otworzył oczy, licząc, że zobaczy rozluźnioną i uśmiechniętą żonę. Niestety, najwyraźniej jak zwykle się pomylił.

- Jak chcesz, zrobię to sama - rzuciła obrażonym głosem, odwróciła się na pięcie i skierowała się w stronę pokoju dziecięcego.

- Ani mi się waź. - Mężczyzna niechętnie dźwignął się z kanapy, odstawił piwo i ruszył za nią. - Jeżeli tylko spróbujesz, to będziesz miała ze mną do czynienia. Masz odpoczywać, bo od tego wydawania rozkazów na pewno się zmęczyłaś. I za pół godziny wychodzimy. Odprowadzę cię do lekarza i pójdę po zakupy.

I tak, jak zaproponował, tak zrobili. Oczywiście Aneta w drodze na wizytę narzekała na wolne postępy prac w ich domu, lecz mąż swoim zwyczajem zignorował jej chęć bycia doskonałą. Zostawił ją pod gabinetem zaprzyjaźnionego lekarza, zabierając ze sobą długą jak litania listę zakupów, i poszedł dalej.

Doktor Gutkowski, nazywany przez nich Gutkiem, był ich przyjacielem od wielu lat, dlatego zgodził się obejrzeć rękę Anety, na której kilka dni wcześniej pojawiła się dziwna wysypka. Zrobił to jednak w drodze wyjątku - był internistą i od lat stronił od kobiet w ciąży. Twierdził, że non stop narzekają, mają dziwne dolegliwości, których nie rozumie i nie ma na nie leku, bo kobietom w ciąży niewiele można podawać, więc dla świętego spokoju po prostu ich nie przyjmował. No chyba że po znajomości. I właśnie tym sposobem Aneta znalazła się u niego w gabinecie.

Już na wejściu przywitała ją młoda dziewczyna, która prowadziła recepcję - umawiała pacjentów, przygotowywała dokumentację, ale także sprzątała i nie wiadomo, co jeszcze robiła po godzinach, gdy już nikogo nie było w gabinecie. Zawsze się z Mirkiem zastanawiali, jak na coraz młodsze i ładniejsze recepcjonistki reaguje żona Gutka. Czy jest o nie zazdrosna? W końcu spędzał z nimi cały dzień, często będąc sam na sam, i zostawał zazwyczaj dużo dłużej niż oficjalne godziny przyjęć.

Aneta usiadła na wygodnej kanapie, trzymając filiżankę z herbatą, którą dostała praktycznie w progę, i grzecznie czekała na swoją kolej. Luźne podejście lekarza do kwestii czasu powodowało, że jak zwykle trochę to trwało. Doktor Gutkowski znał praktycznie każdego swojego pacjenta również prywatnie, więc po załatwieniu spraw medycznych zawsze pojawiał się jakiś temat do przegadania. A to z kolegą omawiali ostatni mecz reprezentacji Polski, innym razem wpadła jego ciotka i ustalali, kiedy przyjedzie do niej z żoną i dziećmi na obiad. Za każdym razem coś. I tym sposobem wizyta zamiast piętnastu minut, które były wpisane w kajecie, trwała pół godziny albo i dłużej. Aneta zawsze się na to wkurzała, czekając na wizytę, ale gdy już siedziała w



gabinecie, zupełnie nie przeszkadzało jej, że wizyty kolejnych osób się przesuną, bo omawiała wtedy z kolegą pomysły na wakacyjne wyjazdy lub wypytywała, co mogłaby kupić Mirkowi na zbliżające się urodziny czy imieniny.

- Przepraszam, mogę tutaj usiąść? - wytrącił ją z rozmyślań damski głos. Podniosła wzrok i spojrzała na kobietę w zbliżonym do niej wieku, a może nawet trochę straszą, która podobnie jak ona prezentowała światu już sporych rozmiarów brzuch.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała i zdecydowanie za długo zagapiła się na jej uwypukloną sukienkę. Co śmieszne, sama się denerwowała, gdy inni tak robili, a teraz uczyniła to samo.

- Dziękuję. Pomyślałam, że może z kimś pani jest i zajmę mu miejsce.

- Nie. Jestem sama. Mąż poszedł po zakupy. Jakoś nie lubi siedzieć w miejscach takich jak gabinety lekarskie.

- To tak jak mój - powiedziała kobieta i pogłaskała się po mocno zaokrąglonym brzuchu.

- Niedługo koniec i zacznie się prawdziwe życie - rzuciła Aneta, sama się sobie dziwiąc. Nigdy nie przepadała za takimi pogadankami z nieznanymi, ale od kiedy zaszła w ciążę, czasami się przełamywała i uciniała krótkie pogawędki z obecnymi i przyszłymi mamami. Nagle okazało się, że każde miejsce było dobre, by pogadać o pieluszkach, o tym, gdzie zdobyć krem na odparzenia, czy o mebelkach do pokoju dziecięcego, które z reguły każdy robił własnym sumptem lub z pomocą wujka stolarza.

- Tak, i nie mogę się doczekać, chociaż też mam wiele obaw - odpowiedziała kobieta z lekkim lękiem w głosie.

- Ja też się boję. - Aneta spojrzała na kobietę i również dotknęła swojego brzucha. - To będzie niezła rewolucja w naszym życiu, jak w końcu się pojawią.

- Oj, będzie. To pani pierwsze?

- Mów mi Aneta. - Wyciągnęła do kobiety rękę.

- Grażyna. Miło mi.

- Mnie też, a wracając do pytania, to pierwsze. Moje koleżanki już mają po trójce dzieciaków, i to całkiem dużych, a ja dopiero zanurzę się w pieluchach. No, ale nie dało się inaczej. Od lat staraliśmy się z

mężem o dziecko. Mogę powiedzieć, że miałam wręcz obsesję. Cztery razy już myślałam, że będę matką, ale niestety natura chciała inaczej. Aż w końcu, gdy zupełnie odpuściliśmy, bo ile można wylewać łez i próbować, udało się. – Mocniej przycisnęła rękę do brzucha. W tej samej chwili poczuła kopnięcie, jakby mały człowieczek w środku odpowiedział na jej dotyk.

– O Boże, ale piękna historia.

– Nie było łatwo, ale teraz jestem już na końcu i zaraz spełni się moje marzenie.

– To wspaniale. Myślę, że każda kobieta chce zostać matką. To taka nasza rola. Rodzić dzieci, a później się o nie troszczyć i zrobić wszystko, żeby wyrosły na dobrych ludzi.

– Dokładnie – odpowiedziała. Tak samo czuła i taką matką chciała być. Troskliwą i opiekuńczą.

– A co byście chcieli? Chłopczyka czy dziewczynkę?

– Nie wiem. Stwierdziliśmy z mężem, że nie ma to dla nas znaczenia, jednak...

Zawiesiła na chwilę głos. Oczywiście jak każda przyszła matka marzyła o zdrowym dziecku, jednak w przeciwieństwie do większości koleżanek zdecydowanie nie chciała mieć córki. Sama wychowała się w domu pełnym kobiet – matka, dwie siostry, nawet pies był suką, dlatego niczego nie pragnęła tak bardzo jak męskiego towarzystwa.

– Chciałabym syna – wyznała w końcu Aneta, uśmiechnęła się do Grażyny i popatrzyła na wiszący na ścianie zegar. Widząc, że jest już czterdzieści minut po umówionej godzinie, delikatnie się zdenerwowała. – A ty? – spytała przez zaciśnięte zęby.

– Ja marzę o córce – odpowiedziała kobieta z uśmiechem na twarzy i wypięła łyk wody ze szklanki, którą cały czas ścisnęła w dłoni. – To moje marzenie. Mała dziewczynka, moja kopia, z którą będę chodzić na spacer, śpiewać piosenki, leżąc na łące i śmiejąc się do rozpuku.

– A jak będzie mieć na imię? – spytała Aneta, chociaż nie miała już ochoty słuchać dalej tych ckliwych tekstów. Najchętniej wstałaby i bez słowa odeszła. Zaczęło jej się spieszyć.

– Agnieszka. Zawsze marzyłam o córce o takim imieniu. A u was?

– Będzie miał na imię Szymon – powiedziała dumna jak paw, jakby od razu wiedziała, że jej jeszcze nienarodzony syn będzie geniuszem

matematycznym lub zdobywcą nagrody Nobla za... w sumie za cokolwiek.

Grażyna nie zdążyła tego skomentować, bo drzwi do gabinetu otworzyły się i ukazał się w nich lekarz. Jak zwykle był w nienagannie wyprasowanej koszuli, a na szyi miał pstrokatą muszkę zamiast krawatu. Nigdy nie wiedziała, skąd je ma, a on sam w tej kwestii był niezwykle tajemniczy. Za każdym razem, gdy go o to pytała, z uśmiechem na twarzy mówił, że ma tajemne źródło, a nosił je, żeby rozbawić przychodzących do niego schorowanych i sfrustrowanych pacjentów.

Nie czekając na zaproszenie lekarza, Aneta wstała i ruszyła w jego stronę. Zanim jednak zniknęła w gabinecie, odwróciła się do swojej rozmówczynie, pomachała do niej na pożegnanie i powiedziała:

- Powodzenia, i może do zobaczenia na jakimś spacerze!

Po tych słowach weszła do gabinetu, wypuszczając powietrze z głośnym westchnięciem ulgi. „Jednak denerwują mnie te cikliwe rozmowy”, pomyślała i usiadła na krześle obok biurka, jednocześnie podwijając rękaw. Wysypka coraz bardziej swędziała.

## Rozdział 3

teraz

Aneta siedziała na kanapie i rytmicznie bujała się do przodu i do tyłu. Mebel, który sama wybrała i zawsze piała nad nim z zachwytem, nagle stał się niewygodny i brzydki. Zresztą jak wszystko. Wszystko ją denerwowało. Miała ochotę krzyknąć, wyrzucić ludzi krzątających się po jej domu i płakać w samotności, lecz wiedziała, że nie może. Że musi znaleźć w sobie wystarczająco dużo sił, by to przetrwać.

Od kiedy zorientowała się, że jej ukochany syn Szymon zniknął, miała wrażenie, że nic nie ma sensu. Bez tego małego człowiczka, którego pokochała miłością bezgraniczną i bezwarunkową, nie była sobą. Czuła się nikim. Patrzyła pustym wzrokiem na ludzi zbierających

ślady w ich domu i zupełnie nie wiedziała, co ma robić. Zresztą nie miałyby na to siły. Miała wrażenie, jakby straciła kontrolę nad swoim ciałem. Jakakolwiek próba podniesienia się kończyła się niepowodzeniem. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Uginały się, a ona znów opadała na znieawidzoną kanapę.

Siedzący obok niej Mirek też ją denerwował. Cały czas gadał jakies farmazony, myśląc, że nic nieznaczącymi słowami cokolwiek zmieni.

- Kochanie, musimy być teraz silni. Oni robią wszystko, żeby znaleźć Szymona - powtarzał po raz kolejny, licząc, że choć trochę uspokoi tym żonę.

- Robią za mało - wyszeptała w końcu ledwo słyszalnym głosem, zagłuszonym przez płacz, na szczęście dla rozmówcy już nie tak głośny, dzięki czemu można było zrozumieć sens wypowiedzianych przez nią słów.

Jej pierwszą reakcją na brak syna w łóżeczku był krzyk, a właściwie wycie jak u zranionego zwierzęcia. Było tak przerażające, że gdy przerwało sen Mirosława Trojanowskiego, ten pomyślał, że to zwiastun końca świata. Zerwał się z łóżka i pobiegł do źródła dźwięku. Gdy wpadł do dziecięcego pokoju, Aneta klęczała przed łóżeczkiem syna, trzymała się kurczowo szczebelków i powtarzała: „Nie ma go. Nie ma go. Nie ma go. Ktoś zabrał naszego syna”, kiwając się przy tym lekko do przodu i do tyłu, jakby była w transie.

W pierwszym momencie Mirek myślał, że to jakiś okropny sen lub że oczami wyobraźni widzi fragment jakiegoś bardzo realistycznego filmu, ale gdy obraz nie znikał, porzucił nadzieję. Widok pustego łóżeczka raził go niczym piorun podczas letniej burzy. Niechętnie zostawił żonę i popędził do wiszącego w przedpokoju telefonu. Chwycił za słuchawkę i na obrotowym cyferblacie wybrał numer na milicję.

- Mój syn zniknął - rzucił, gdy usłyszał głos dyspozytorki.

- Może gdzieś wyszedł?

- Proszę pani, on ma raptem siedem dni, więc to niemożliwe - rzucił żartobliwie, mimo że tak naprawdę miał ochotę płakać.

- Kiedy to się stało?

- Żona obudziła się przed chwilą i jego łóżko było puste. Błagam, przyjdźcie. Trzeba zacząć szukać! - Nie czekając na dalsze pytania kobiety, zaczął podawać adres, aby przyspieszyć sprawę.

Mimo opieszałości dyspozytorki i, jak mu się wydawało, braku zaangażowania już po dwudziestu minutach usłyszeli dzwonek. Mężczyzna wpuścił funkcjonariuszy do domu, a ci natychmiast wzięli się do roboty. Głównodowodzący akcją, komisarz Arkadiusz Wodecki, zaczął od szybkich oględzin miejsca zdarzenia, po czym wrócił do nich i zaczął pytać:

- Kiedy dokładnie zauważyła pani zniknięcie syna?

Aneta zerknęła na swój ukochany zegar, wytarła ciekący nos i powiedziała:

- Jakies dwadzieścia pięć minut temu. No, może trzydzieści.

- Czyli była godzina piąta trzydzieści pięć - stwierdził mężczyzna.

Głos miał donośny i pewny, jednak jego wygląd nie budził zaufania. Sprawiał wrażenie, jakby niedawno skończył szkołę średnią. Dumnie nosił młodzieńczy zarost, licząc, że będzie wyglądał dzięki niemu bardziej męsko, ale bezskutecznie. Spod niego widać było jasną skórę, przez co broda wyglądała jak kępki fikuśnie przyklejonych włosów. Dodatkowo milicjant próbował dodać sobie powagi długim płaszczem, jednak przez chłopięcą twarz i burzę niesfornych blond włosów wyglądał jak podrostek, który pożyczył kapotę ojca i udaje dużo starszego, niż jest w rzeczywistości.

- Tak - potwierdziła kobieta.

- Kiedy ostatni raz widzieli państwo synka?

- Ja byłam u niego około drugiej - odpowiedziała natychmiast Aneta Trojanowska. - Karmiłam go, a później siedziałam przy nim i go... - Kobieta zaczęła płakać, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

- Proszę pani. - Komisarz Arkadiusz Wodecki podszedł bliżej niej i usiadł na kanapie. To był jego pierwszy przejaw empatii. Wcześniej sprawiał wrażenie, jakby zajmował się sprawą zaginięcia starego roweru, a nie małego dziecka oderwanego od swojej rodziny. - Musi być pani silna. Wiem, że to trudne i świat się pani zawalił, ale potrzebuje jak największej ilości informacji, żeby wiedzieć, jak mamy działać. Dlatego tak bardzo jest pani teraz mi potrzebna. Rozumie pani? - spytał i delikatnie się uśmiechnął.

- Tak - odpowiedziała cicho.

- Bardzo się cieszę. To około drugiej poszła pani nakarmić syna. O której wróciła pani do łóżka?

- Mogło być około trzeciej. Może trochę później. - Kobieta nagle obróciła głowę w stronę męża i przez zaciśnięte zęby wycedziła: - To twoja wina. Gdybyś nie upierał się na jego spanie w łóżeczku w jego pokoju, byłby z nami, a nie... - Wypluwszy te słowa, znowu zaczęła szlochać.

- To nie czas na wyrzuty. Zresztą nie odkręcą one niczego. Teraz musimy skupić się na odnalezieniu państwa syna, a nie wzajemnym oskarżaniu się. - Komisarz, czując, że chwilowo nie ma co rozmawiać z matką dziecka, odwrócił się do siedzącego dotychczas w milczeniu Mirosława i zaczął przepytować jego: - Czy ma pan pomysł, jak ktoś mógł wejść do pokoju syna?

- Niestety tak. Jedno z okien było delikatnie otwarte. To moja wina. Miałem zrobić na nie zabezpieczenie, żeby nikt z zewnątrz go nie otworzył, ale zawsze wpadało coś innego, niby ważniejszego. Boże, jaki ja byłem głupi. Przecież nie ma nic ważniejszego niż bezpieczeństwo dziecka!

- Może pan pokazać to okno? Musimy zdjąć odciski palców. Oczywiście zdejmujemy je ze wszystkich, ale zaczniemy od tego. - Mężczyzna ruszył z milicjantem do pokoju syna, mijając po drodze dwóch funkcjonariuszy, którzy kręcili się, jakby nie wiedzieli, co robić. Miał ochotę wykrzyknąć na nich swoją złość, żeby się nie lenili, bo przecież gdzieś płacze mały chłopiec, który tęskni za swoimi rodzicami, ale się powstrzymał.

Zamiast tego chwycił leżącą na komodzie przytulankę, którą kupił Szymonowi, a której z jakichś względów żona nie włożyła do łóżeczka syna, i mocno ją przytulił. Mimo że syn nigdy nawet jej nie dotknął, poczuł się lepiej.

W pokoju pociechy Mirosław Trojanowski pokazał, przez które okno najprawdopodobniej ktoś dostał się do ich domu, a technik zbierający dowody ruszył do pracy. Po jego ruchach widać było, że jest w stu procentach zaangażowany, a zaginięcie dziecka traktuje bardzo poważnie.

- Z tego, co widziałem z zewnątrz, to pod państwa okna można się dostać bez problemu, prawda? - wytrącił Mirosława z rozmyślań Arkadiusz Wodecki.

- Niby tak. Chociaż jeżeli ktoś podejdzie od strony garaży, to po drodze musi przejść przez podwórko sąsiada, który ma bardzo szczekającego psa.

- Hmm, to ja poszedłem z drugiej, bo nie wpadłem na niego. Porywacz musiał o tym wiedzieć, bo z tego, co na razie wiemy, nikt nie słyszał nic podejrzanego.

- Porywacz?! - wykrzyczała Aneta.

Dopiero teraz obaj mężczyźni zauważyli, że matka Szymona stoi w drzwiach pokoju swojego synka i bacznie przygląda się pracy milicji. Na dźwięk słów mężczyzny wyprostowała się jak struna, napinając nie tylko mięśnie całego ciała, ale również i twarzy. Wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć.

- Wiem, że brzmi to przerażająco, ale tak. Mamy do czynienia z porwaniem i proszę uwierzyć, traktujemy to bardzo poważnie. Jednak wróćmy do sedna. Ktoś bez problemu mógł się dostać do środka przez uchylone okno. Zgadza się?

- Tak, chociaż nie mógł wiedzieć, że jest otwarte. Szpara była ledwo dostrzegalna. Może szedł i popychał każde okno, aż trafił na nasze, które nie było zamknięte? - próbował się bronić Mirosław. Poczucie winy atakowało go z każdej możliwej strony. Gdyby nie on, syn spałby z nim i Anetą. Gdyby nie on, okno byłoby lepiej zabezpieczone. Czuł, że to nie koniec listy rzeczy, które mógł zrobić lepiej, inaczej, a tym samym ochronić syna przed niebezpieczeństwem.

- Niestety, często się zdarza, że przestępcy wykorzystują nasze małe błędy. - Milicjant, ku jego zaskoczeniu, próbował poprawić mu humor, choć sprawiał wrażenie, że nie stoi za tym empatia, lecz zwykły pragmatyzm. Łatwiej było wyciągnąć informacje od osoby spokojnej niż rozdygotanej emocjonalnie, jak na przykład stojąca obok niego Aneta, która cały czas się trzęsała po usłyszeniu słowa „porywacz”. - A czy coś zniknęło z domu? Biżuteria? Jakies ubranka? Rzeczy Szymona? - dopytywał dalej.

- Nie - odezwała się w końcu Aneta i pokręciła przecząco głową. - Tylko on.

- Są państwo tego pewni? Sprawdzaliście szafki, szuflady? - Obydwoje spojrzeli na siebie zdziwieni i trochę źli na oskarżycielski ton głosu mężczyzny.

- W sumie to nie - stwierdził Mirek. - Zresztą jakie to ma znaczenie? Nawet jakby ukradł wszystkie nasze oszczędności, nie miałyby to żadnego znaczenia. Szymon jest najważniejszy.

- Tak, zgadzam się. Państwa syn jest teraz priorytetem, jednak gdyby okazało się, że brakuje państwu biżuterii, pieniędzy czy jakiejś innej wartościowej rzeczy, moglibyśmy poszerzyć nasze poszukiwania o złodziei.

- Rozumiem - powiedziała drżącym głosem Aneta. Jej twarz nabrała kolorów, jakby pierwszy szok wydarzeniami nocy w końcu ją opuszczał.

- Pójdę sprawdzić, czy coś zginęło, a ty, Mirek, odpowiedz na pytania pana. Będę w sypialni. - Widząc, że komisarz akceptująco kiwa głową, wyszła z pokoju syna, zostawiając go z mężem i technikiem, który z zapalem zdejmował odciski palców.

- Wiem, że to trudna sprawa, ale może jest ktoś, kogo by pan podejrzewał? Ktoś, komu stanęliście na odcisk i kto chciałby się zemścić, zabierając państwa syna?

- Nie! - krzyknął. - Wszyscy nas raczej lubią - powiedział już spokojniej i spojrzał na puste dziecięce łóżeczko, w którym jeszcze kilkanaście godzin wcześniej leżał jego syn. Niby było to tak niedawno, jednak miał wrażenie, że minęło wiele lat. - Nie mamy wrogów. Żona od dłuższego czasu nie pracuje, a ja jestem szeregowym pracownikiem, grzecznie wykonuję polecenia szefa. Z wszystkimi żyjemy dobrze. Sąsiedzi nie mają na co narzekać. Nawet Szymuś nie płacze zbyt często, więc mają ciszę.

- Rozumiem. Mimo to proszę się jeszcze zastanowić. Teraz państwa zostawię. Ekipa będzie tu jeszcze długo pracowała, więc jeżeli mają państwo możliwość pojechać do rodziny lub znajomych, to proszę to zrobić.

- Ja chcę iść szukać Szymona - wydusił z siebie w końcu Mirek.

- Rozumiem, to dobry pomysł - powiedział Wodecki spokojnym głosem, bez cienia zdziwienia, tak jakby się tego spodziewał. - Ale proszę chwilę poczekać. Jak tylko zorganizujemy grupę poszukiwawczą, co będzie już niebawem, to mogą państwo do niej dołączyć. Oczywiście jeżeli znajdą się chętni wśród rodziny czy znajomych, to zapraszamy. Im więcej osób się w to zaangażuje, tym lepiej. Tylko dobrze, jak takie



działania są skoordynowane i nie robi się ich chaotycznie, tracąc przy tym czas i siły.

- Dobrze, będę czekał - odpowiedział Mirosław i wyszedł z pokoju.

## Rozdział 4

### tydzień wcześniej

Nie mogła spać całą noc. Kręciła się w łóżku - na tyle, na ile pozwalał jej wielki, ciążowy brzuch. Wszystko ją bolało, a chrapiący jak gdyby nigdy nic Mirek denerwował ją bardziej niż zwykle. Nie mogła pojąć, jak to jest, że ona cierpi, nogi ma jak po nadeptaniu mamuta, dziecko naciska jej na pęcherz, jakby chciało go rozwalić, a on sobie tak po prostu śpi.

Po długich godzinach wiercenia się, gdy w końcu poczuła, że odpływa, pojawił się zwiastun, na który czekała od jakiegoś czasu - skurcz. Nie był on szczególnie mocny, ale jednak był. Nie czekając na kolejny, położyła dłoń na ramieniu męża i zaczęła nim potrząsać. Nie widząc żadnej reakcji, zwiększyła siłę i krzyknęła:

- Wstawaj, zaczęło się!

Mężczyzna otworzył szeroko oczy, zupełnie nie wiedząc, co się dzieje, i popatrzył na nią pustym spojrzeniem.

- Rodzę. Musimy się zbierać - kontynuowała Aneta, nic nie robiąc sobie z zaskoczenia męża. Zerwała się z łóżka i zaczęła ubierać w rzeczy, które właśnie na taki wypadek miała przygotowane obok łóżka.

- Masz skurcze? - spytał Mirek, który w końcu oprzytomniał. - Długo to już trwa?

- Miałam na razie jeden, ale to się zaraz rozkręci - powiedziała kobieta, zupełnie niezrażona tym, że jeden skurcz porodu jeszcze nie czyni.

- To po co ten raban? Pani doktor powiedziała, że dopiero jak będą regularne, co jakieś dziesięć minut, mamy jechać.

- Zaraz będzie następny - odpowiedziała pewnym głosem, jakby nie rodziła pierwszy raz.

- Zaraz to taka wielka bakteria, a dopóki nie będziesz miała kolejnego, ja nigdzie nie wstaję. Zresztą tobie też to radzę. Jest środek nocy, powinnaś odpoczywać, ile wlezie.

Jednak żona zupełnie zignorowała jego zalecenia. Kręciła się po pokoju i zbierała jakieś drobiazgi. Mirek patrzył na nią jak na przybysza z innej planety. Jej ruchy były tak inne niż u kobiety, z którą był od lat i którą kochał nad życie. Nagle Aneta stanęła w bezruchu, chwyciła się za brzuch i wybałuszyła oczy. Drugi skurcz przeszedł przez jej ciało, a ona poczuła się jak człowiek rażony prądem. Na widok coraz większych oczu żony i grymasu na jej twarzy, którego nigdy wcześniej nie widział, Mirek wyskoczył z łóżka, chwycił leżące na podłodze spodnie z wczoraj i zapominając o skarpetkach oraz czymś na grzbiecie, chwycił stojącą w rogu spakowaną od kilku tygodni torbę do szpitala i ruszył do drzwi wyjściowych.

Droga do szpitala minęła im w dość nerwowej atmosferze. Nawracające z coraz większą częstotliwością skurcze przesywały ciało Anety i mimo prób uspokojenia jej przez już mocno spanikowanego męża nic nie pomagało. Ale najgorsze stało się, gdy byli raptem kilometr od celu. Po kolejnym mocnym skurczu, podczas którego Aneta zadeklarowała, że już nigdy nie będzie uprawiała seksu, poczuła rozlewające się między nogami ciepło. W pierwszej chwili pomyślała, że zsikała się z bólu. Dopiero Mirek ściągnął ją na ziemię - doszło do pęknięcia pęcherza płodowego, odeszły jej wody.

Zupełnie nie przejmując się zakazem, mężczyzna zaparkował pod izbą przyjęć i pomógł zgarbionej z bólu żonie dojść do szpitala. Obydwoje byli święcie przekonani, że jak tylko pielęgniarki i lekarze zobaczą cierpiącą kobietę, rzucają wszystko i pobiegną, by jej pomóc. Niestety bardzo się pomylili.

- Proszę usiąść i poczekać - rzuciła do nich siedząca na recepcji kobieta, nie podnosząc nawet wzroku znad wypełnianych dokumentów.

- Moja żona rodzi, musicie jej pomóc.

- To dobrze, że rodzi. W końcu to szpital położniczy. Poza tym niczego pan krzykami nie przyspieszy. Nie ma teraz wolnego lekarza, a

pielęgniarka kończy zaraz przerwę, więc chwila moment powinna być, to wtedy podejdzie.

Zupełnie zmieszany, usiadł obok Anety na niewygodnym plastikowym krześle i starał się zachować spokój. Wiedział dobrze, że pozytywne nastawienie lekarza do rodzącej jest ważne, więc nie chciał nikogo denerwować. Kiedyś nasłuchiwał się od siostry i jej koleżanek przerażających wspomnień z porodu. Wolałby nie być przy tym obecny, ale skoro już był, to nie chciał nikomu podpaść.

W końcu po trzydziestu minutach, które trwały całą wieczność, przyszła, nie spiesząc się, pielęgniarka.

- Będzie pani rodzić? - spytała zupełnie od czapy, wprawiając Anetę w osłupienie.

- Jeżeli natychmiast nie weźmie mnie pani na salę porodową, to nie ręcę za siebie - wystękała w odpowiedzi między skurczami.

- O matko, kolejna. Jeżeli miałabym się przejmować każdą groźbą, to non stop byłabym na psychotropach. Pani szanowna, nie jest pani pierwszą ani ostatnią, która to przeszła. Proszę zacisnąć zęby i będzie dobrze. Na razie rzeczy można tu zostawić, pójdzie pani ze mną, przeberze się i wypiszemy dokumenty. Lekarz niedługo wpadnie i zobaczy, co i jak.

Niestety wszystko poszło dużo szybciej. Kolejny skurcz spowodował niewyobrażalny ból, który Aneta oznajmiła wszystkim przeraźliwym krzykiem. I może to uratowało jej dziecko. Przechodzący obok izby przyjęć lekarz zainteresował się wrzaskiem, podbiegł do kobiety i czym prędzej sprawdził rozwarcie. Ku zaskoczeniu pielęgniarki i lekarza było już pełne dziesięć centymetrów, co oznaczało, że poród trwa w najlepsze i ma się ku rozwiązaniu. A co najbardziej zaskakujące, pierworódka w dość zaawansowanym wieku, bo tak postrzegano trzydziestotrzylatkę, urodziła w niezwykle krótkim czasie. Już po kilkunastu minutach, od kiedy przy jej łóżku stanął lekarz, wszyscy zobaczyli małe, różowe ciało.

Najpierw Aneta się przestraszyła. Nasłuchiwała się od koleżanek historii o podduszonych przez pępownię dzieciach, które umierały przy porodzie. Leżała na szpitalnym łóżku, z nogami ustawionymi na zimnych metalowych podpórkach i mimo że w tej pozycji zazwyczaj

czuła zażenowanie i wstyd, teraz dominowało zupełnie inne uczucie. Strach o syna.

Ten czas, który upłynął od momentu, gdy z niej wyszedł, do chwili, w której usłyszała jego krzykliwy płacz, był najgorszym w jej życiu. Przynajmniej tak wtedy myślała.

## Rozdział 5

teraz

Nie musieli nikogo szczególnie prosić o pomoc. Każdy z mieszkających w okolicy członków ich rodzin, a także znajomi oraz znajomi znajomych bez zająknięcia porzucili czynności, którymi właśnie się zajmowali, i ruszyli na poszukiwania małego Szymona. Wieść o jego zaginięciu niosła się niczym ospa wietrzna i już po kilku godzinach, mimo wczesnej pory i okresu wakacyjnego, wszyscy mówili tylko o tym.

Poszukiwania, zgodnie z obietnicą daną przez komisarza Arkadiusza Wodeckiego, rozpoczęły się niezwykle szybko. Aneta i Mirosław Trojanowscy w pierwszym rzędzie przemierzali okoliczny las, licząc, że na coś natrafią. Na jakiś ślad porywacza, który może w pośpiechu zostawił gdzieś w krzakach dowód swojej zbrodni, co pomogłoby im w odnalezieniu małego chłopca. Ojciec Szymona nerwowo spalał jednego papierosa za drugim, mimo że obiecał z dniem narodzin syna definitywnie zerwać z nałogiem i nigdy nie sięgnąć po tę truciznę, jak mówiła mu żona.

- Jak zwykle myślisz tylko o sobie - komentowała pod nosem jego zachowanie, oczywiście tak, aby ją słyszał.

- Teraz mam to gdzieś. Moje palenie nie ma żadnego wpływu na życie naszego syna, więc odczep się ode mnie i bacznie rozglądaj. Skupmy się na tym, co ważne, a nie...

Nagle ich rozmowę przerwał dźwięk krótkofalówki przypiętej do milicyjnej kurtki idącego obok nich Wodeckiego. Jego obecność

dodawała im otuchy, ponieważ świadczyła o tym, że wszyscy poważnie podeszli do sprawy.

- Znaleźliśmy coś, szefie. Odbiór - powiedział ktoś po drugiej stronie.

- Co znaleźliście? Odbiór.

- Jakiś pakunek. Wygląda podejrzanie. Odbiór.

- Gdzie dokładnie jesteście? Odbiór.

- Przy śmietniku na Narutowicza sześć. Odbiór.

Mężczyzna spojrzął na słuchających go w napięciu Anetę i Mirosława. Kobieta zrobiła duże oczy z przerażenia - podana lokalizacja była raptem pięćset metrów od ich domu.

- Przyjąłem, odbiór - rzucił Wodecki, po czym zwrócił się do małżeństwa: - Muszę jechać to sprawdzić. Proszę, aby zostali państwo tutaj i kontynuowali poszukiwania.

- Nie - powiedział zdecydowanym głosem Mirek, który dotychczas sprawiał wrażenie sympatycznego i małomównego mężczyzny. - Jedziemy z panem. A co, jak to nasz synek?

- Od razu państwa poinformuję. Jesteście tutaj bardziej potrzebni - próbował dalej milicjant, jednak widząc bojową postawę ojca chłopca, spodziewał się, że nic z tego nie będzie.

- Nie! - krzyknął Mirek zdecydowanie za głośno. - Jedziemy z panem. Tutaj jest tylu ludzi, że nasza trójka nie robi różnicy. Nie pozbędzie się nas pan.

Nie mając więcej argumentów, Arkadiusz Wodecki zabrał ich na miejsce znaleziska, mimo że miał w sobie wielką obawę co do tego, co może być w zawiniątku.

Gdy zajechali pod wskazany adres, przy śmietniku stał młody milicjant, którego nie kojarzył. Zresztą nie dziwił się temu. Ostatnio miał tyle pracy, że ledwo pamiętał, jak sam się nazywa, nie mówiąc już o personaliach wszystkich nowych funkcjonariuszy.

Niespiesznie wysiadł z radiowozu i spojrzął na przerażonego mężczyznę. Sam też tak wyglądał, jak zaczynał. Pracę w milicji zdobył dzięki wujkowi, bratu ojca. To on szepnął słówko odpowiednim osobom i szybko wciągnął go w szeregi milicji. Nie była to robota marzeń. Wodecki musiał mierzyć się z nienawistnymi spojrzeniami ludzi, bo kto lubi milicję. Wszystkim władza kojarzyła się ze spadającymi na

niewinnych pałami, wałącymi po plecach, nogach czy nawet głowach ludzi myślących inaczej niż partia. On był jednak inny. Nie popierał takiego zachowania. Nawet nie do końca popierał władzę komunistyczną. Chciał pracować i rozwiązać wątpliwości tych, co powtarzali, że nie jest najmądrzejszy.

Jedyne, czego zdecydowanie nie znosił w tej pracy, to styczość z trupami. Pierwsze spotkanie z nieboszczykiem co jakiś czas wracało do niego w koszmarach. Zresztą podobno nie tylko jego nawiedzało. Było to najbrutalniejsze zdarzenie ostatnich lat w ich okolicy.

Pracował wtedy w milicji ledwie od miesiąca, gdy został wysłany z dużo starszym funkcjonariuszem do rodzinnej awantury. Przynajmniej tak zostało to zgłoszone. Gdy zajechali na miejsce, kolega oznajmił mu, że jest zmęczony. Zapali papierosa i na chwilę się zdrzemnie w aucie, a on ma załatwić papiery, czyli jak zazwyczaj – spisać oświadczenie żony, że nic się nie stało.

Młody Wodecki, już wchodząc na klatkę, czuł, że coś jest nie tak. Drzwi wszystkich mieszkań były zamknięte. Nie było żadnego wścibskiego sąsiada, który miałby ochotę donieść na awanturniczą rodzinę.

Gdy stanął przed numerem pięć, poprawił odznakę i zapukał, jednak nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz, po czym nacisnął guzik dzwonka. Też zero reakcji. Już miał ruszyć schodami w dół do kolegi, gdy drzwi sąsiadującego mieszkania zaczęły się powoli otwierać. Pojawiła się w nich około osiemdziesięcioletnia kobieta, której głowa była upstrzona wałkami, a na plecy zarzucony miała bawełniany biały szlafrok w niebieskie kwiaty.

- Tam stało się coś strasznego - rzuciła cichym, lecz pewnym głosem. - Musi pan tam wejść.

Funkcjonariusz Arkadiusz Wodecki spojrzał na kobietę z przerażeniem. Nie zapowiadało to nic dobrego. Najchętniej poszedłby po kolegę, ale wiedział, że później śmiałyby się z niego cała komenda. „To ten, co się boi chodzić na interwencje” – powtarzano by miesiącami wśród milicjantów z wyczuwalną dezaprobatą w głosie. Dlatego niewiele myśląc, nacisnął klamkę mieszkania numer pięć. Zapiszczała nieprzyjemnym dźwiękiem, jakby już tym chciała zaalarmować, że w środku coś się stało. Jednak zignorował to i powoli pchnął drzwi.

Pierwsze, co zobaczył, to wąski, ciemny korytarz cały pokryty boazerią. Powoli wszedł do środka. Od razu zwrócił uwagę na przerażającą ciszę, tak jakby w mieszkaniu nikogo nie było lub jego lokatorzy spali smacznie. Starał się iść najciszej, jak potrafił. Minął duży pokój, który, sądząc po rozłożonych łózkach, musiał pełnić również funkcję sypialni. Nikogo tam nie zastał, więc szedł dalej. Na końcu korytarza znajdowały się trzy pomieszczenia. Domyślał się, że była to łazienka, kuchnia i jeszcze jeden pokój.

Ogłędziny zaczął od drzwi po lewej. Mieściła się tam łazienka, ale nie było w niej nikogo. Za środkowymi był pokój, prawdopodobnie dziecięcy, o czym świadczyły walające się po podłodze zabawki. Serce zaczęło mu bić coraz mocniej. Mózg przetwarzał informacje, a wyniki, które wypływały, nie nastrajały go optymistycznie. Awantura rodzinna, cisza w domu, przerażona sąsiadka.

Popchnął ostatnie drzwi i od razu poczuł dziwny zapach. Jakby słodki, jednak zupełnie inny od tych, które dotychczas znał. Gdy ujrzał wnętrze kuchni, poczuł, jak zjedzona kilka godzin wcześniej kanapka cofa się mu się do gardła. Nie czekając ani sekundy, pobiegł do łazienki i w ostatnim momencie doskoczył do sedesu. Chwilę trwało, zanim pozbył się całej zawartości żołądka. Przeplukał usta, oblał twarz zimną wodą i na uginających się nogach wrócił do kuchni. Wiedział, że musi wezwać wsparcie, i to natychmiast, ale jakaś wewnętrzna siła kazała mu stanąć raz jeszcze przed tym koszmarnym obrazem i zmierzyć się z nim w samotności.

Przy małym, kwadratowym stole pokrytym ceratą siedziała czteroosobowa rodzina.

Najbliżej niego było dziecko – prawdopodobnie, bo nie widział twarzy. Tkwiła ona w leżącym na stole talerzu. Już na pierwszy rzut oka widział, że dziecko oberwało w głowę, najpewniej siekierą. Z rany wypływał mózg i mnóstwo krwi, powodując, że ciężko było ustalić pierwotny kolor ceraty.

Obok wygięta w drugą stronę siedziała kobieta. Nie widział rany, która spowodowała śmierć, ale domyślał się, że też była z tyłu. Wyraz twarzy kobiety był przerażający. Ostatnie, co zdążyła wyrazić, to bezgraniczny strach.

Dalej przy stole siedziała kolejna kobieta. „Pewnie córka”, pomyślał milicjant. Ta wyglądała jakoś dziwnie. Miała wielką ranę z boku głowy, ale również na rękach. Siedziała na krześle w nienaturalny sposób. Wyglądało to trochę tak, jakby została pozbawiona życia gdzie indziej, a potem ktoś ją tak ułożył.

Jednak to, co najgorsze, było na końcu. Na stole, powodując jego delikatne przechylenie, leżał wielki mężczyzna. Arkadiusz Wodecki powoli podszedł do niego, chcąc sprawdzić, jakiego urazu doznał. Krew na jego rękach i głowie świadczyła o tym, że musiał skądś intensywnie krwawić, jednak nie było widać żadnej rany.

Milicjant najchętniej przewróciłby go na plecy i obejrzał, lecz wiedział dobrze, że nie może. Odsunął się na kilka metrów, jeszcze raz spojrzął na cały makabryczny obraz. Nie przychodziło mu do głowy żadne rozwiązanie, jak mogło dojść od takiej zbrodni. Czterooosobowa rodzina została zamordowana przy kuchennym stole.

Już miał ruszyć na dół po kolegę i wyrwać go ze snu, gdy usłyszał dziwny dźwięk. W pierwszym momencie pomyślał, że mu się wydaje. To nie mogło być możliwe. Brzmiało jak ziewnięcie. Długie i przeciągłe. Momentalnie odskoczył do tyłu, tak aby być jak najbliżej drzwi, i zastygł. Leżący na stole mężczyzna zaczął się podnosić. Arkadiusz Wodecki nie zobaczył już jego twarzy, bo czym prędzej wybiegł z budynku.

Okazało się, że facet w pijackim szale zabił całą swoją rodzinę, po czym najzwyczajniej w świecie... zasnął między ich ciałami. Nie do końca ustalono, jaki był motyw tej przerażającej zbrodni, ale nie miało to znaczenia dla sądu.

Przez długie lata milicjantowi nie zdarzyła się żadna podobna sytuacja. Do teraz. Na trzęsących nogach szedł w stronę leżącego na ziemi znaleziska. Niechętnie przyklęknął przy czymś, co wyglądało jak zwinięty w kokon materiał, i tylko patrzył. Bał się tego, co to mogło być. Może jakieś resztki materiału, których ktoś nie potrzebował i chciał się pozbyć. Powoli zaczął odwiązywać zawiniątko, czując po ciężarze, że w środku coś jest. Serce zaczęło bić mu coraz szybciej, a ręce pocić. Miał wielką nadzieję, że stojący obok niego ludzie nie zobaczą zwłok swojego niemowlęcia. Liczył, że to może jakieś dziecko zawinęło coś w materiał, może lalkę lub inną zabawkę. Ale gdy kończył już metodyczne i powolne rozwijanie, wiedział, że tak nie jest. Znalezisko było za



ciężkie i w dotyku nie przypominało zabawki. Powoli położył je na ziemi i drżącymi rękoma odciągnął ostatni kawałek przybrudzonego materiału. Gdy ten opadł na ziemię, odsłaniając zawartość zawiniątka, ponownie ciszę spokojnego miasteczka przerwał wrzask płynący wprost z matczynego serca.

## Rozdział 6

### sześć dni wcześniej

Szymon. Gdy tylko lekarz powiedział „Ma pani syna!”, wiedziała, że nada mu na pewno takie imię. Nie była pewna dlaczego, ale wydawało jej się, że jest to najpiękniejsze imię na świecie i jej syn musi je nosić. Niestety mąż nie podzielał jej entuzjazmu i tak naprawdę do samego końca się o to kłócili. Gdy Mirek szedł do urzędu, Aneta miała obawy, że zniszczy jej marzenie.

- Jeżeli wrócisz z dokumentami z innym imieniem, nigdy więcej mnie nie zobaczysz. I swojego syna również - rzuciła, stojąc w progu ich domu z małym na rękach.

Na szczęście nie zrobił tego. Może stwierdził, że nie warto się o to tak kłócić. Nie interesowało jej to. Najważniejsze, że patrząc na swojego pierworodnego, mogła słodkim głosem mówić do niego:

- Mój kochany Szymusiu.

Całymi dniami z nim siedziała, obserwowała, jak śpi, a przy każdej nadarzającej się okazji nosiła na rękach. Gdyby nie Mirek, chodziłaby z nim wszędzie, nawet do łazienki, no i spała. To ostatnie było powodem wielu spięć, mimo że od narodzin minęło raptem pięć dni, a w domu byli cztery.

- On nie może spać z nami! - krzyczał na żonę. - To jest nienaturalne. Dziecko ma mieć swoje łóżko i tam ma być jego miejsce. Ja nie spałem z rodzicami, zresztą ty też nie.

- Ale on się denerwuje. Potrzebuje mojej bliskości.

- Denerwuje? Błagam, nie wymyślaj. Odpuściłem ci to kretyńskie imię, ale tego nie zamierzam. Ja wiem, że latami czekałaś, żeby zostać matką. Przeżyłaś swoje. - Widząc jej karcące spojrzenie, poprawił się: - Przeżyliśmy. I teraz, jak mały jest z nami, chcesz być z nim przez cały czas. Ale, po pierwsze, musisz mieć chwilę na odpoczynek. Po drugie, możesz zrobić mu krzywdę. Nasze łóżko nie jest na tyle duże. Mam wrażenie, że jest za małe już na naszą dwójkę. A po trzecie, wizja spania z dzieckiem jest dla mnie paraliżująca. Potrzebuję trochę przestrzeni. Poza tym chcę być z tobą chociaż przez chwilę sam na sam. - Puścił do niej oczko i spróbował przytulić. Niestety próba zmniejszenia odległości między nimi, zarówno tej fizycznej, jak i mentalnej, spełzała na niczym.

Nie mogąc dojść z mężem do porozumienia, Aneta zrezygnowała i zmieniła taktykę. Zaczęła sypiać na fotelu stojącym obok łóżeczka syna. Z założenia był to fotel do karmienia, który miała wykorzystywać tylko do tej czynności. Nie był zbyt wygodny i na te kilkanaście minut akceptowalny, ale po trzeciej nocy zaczęła odczuwać, że spanie w pozycji wykręconej w chińskie S nie sprzyja jej kręgosłupowi, więc ponownie skapitulowała.

Wróciła do wspólnego łóżka. Sama. Z własnej woli. Jednak co jakiś czas wymykała się, żeby popatrzeć na synka. Miała wrażenie, że to czysta doskonałość. Patrzyła na niego godzinami i wyobrażała sobie, jak będzie wyglądał w przyszłości, kim będzie, jakie będzie wiódł życie i jaką stworzy rodzinę.

To, że pod względem wyglądu będzie męską kopią jej własnej osoby, było niemal pewne. Przez te kilka dni bardzo się zmienił i praktycznie każdy z gości zwracał uwagę na ich uderzające podobieństwo, co trochę smuciło Mirka. Aneta miała jednak nadzieję, że Szymon będzie od niej wyższy, bo dla mężczyzny metr sześćdziesiąt dwa to zdecydowanie za mało. Dodatkowo liczyła, że będzie masywniejszy. Jako kobieta czuła, że jej waga jest odpowiednia, ale mężczyzna powinien ważyć zdecydowanie więcej.

Widziała go jako wysportowanego mężczyznę, mimo że ani ona, ani mąż nie garnęli się do sportu. Chciała to zmienić i dla syna zacząć o siebie dbać, a także zaszczepić w nim sportowego bakcyła. Młody miał zaledwie kilka dni, a ona już teraz zastanawiała się, jaka mogłaby to być dyscyplina. Głównym czynnikiem wyboru było bezpieczeństwo. Z

tego względu wspinaczka, którą za młodu uprawiał mąż, zdecydowanie odpadała. Oczami wyobraźni widziała ciało syna odrywające się od wysokiej ścianki i momentalnie dostawała zimnych potów. Może piłka nożna lub lekkoatletyka? Wiedziała, że ma trochę czasu na podjęcie decyzji, ale gdyby wiedziała już teraz, byłaby spokojniejsza.

Co do przyszłości zawodowej, sprawa była znacznie prostsza. Chciała, żeby został architektem, jak jej ojciec. Dobrze płatna praca, która zarówno dawała możliwość spełnienia się artystycznie, jak i wymagała od człowieka skupienia i dokładności. Zawsze podziwiała swojego tatę za wytrwałość w realizacji projektów, dlatego widziała wykonywany przez niego zawód jako idealny dla jej Szymonka. Wybór konkretnej szkoły Aneta zostawiła na później, ale już teraz zamierzała porozmawiać z ojcem i podpytać go, jak pokierować karierą syna, aby zrealizować swój cel.

Jeżeli chodzi o rodzinę, to tutaj czuła, że czeka ją trudna przeprawa. Wielokrotnie słyszała od swoich koleżanek z pracy o wstrętnych teściowych. Jej samej ten problem nigdy nie dotyczył, ponieważ nie było jej dane poznać matki męża, która zmarła, jak Mirek był nastolatkiem. Jednak słuchając opisów przeróżnych sytuacji od koleżanek, miała wrażenie, że to nie teściowe są problemem, lecz kobiety, które poślubiły ich synów.

To one źle zajmują się dziećmi, to one nie dbają odpowiednio o dom i nie starają się, aby zawsze panował w nim porządek i by po powrocie męża z pracy czekał na niego na stole ciepły obiad. Gdy słuchała swoich koleżanek, zupełnie nie rozumiała ich postępowania.

- Mój mąż zaczął jeść obiady w pracy - powiedziała podczas spaceru jedna z nich.

- Jak to w pracy? To nie gotujesz mu? - spytała zdziwiona Aneta.

- Nie chce mi się. Jestem zmęczona. Sama jem cokolwiek. Młody absorbuje mnie niemiłosiernie, nawet już nie sprzątam codziennie - skomentowała tamta i ostentacyjnie ziewnęła.

Słuchała tego z niedowierzaniem. Przecież tak nie można. To kobieta ma opiekować się mężem i dziećmi. To jest jej obowiązek, który ona zamierzała realizować - niezależnie od wszystkiego.

# Rozdział 7

teraz

Aneta trzęsa się tak, że z trzymanego przez nią kubka wychłapywały się ziółka, które zrobiła jedna z mieszkańek bloku przy śmietniku. Cały czas widziała małe ciało zawinięte w materiał, jego puste jak u lalki oczy i nienaturalnie wygiętą główkę.

Gdy zobaczyła małe nóżki i obnażony brzusek, najchętniej podbiegłaby do niego i przykryła. Przecież jej synek nie mógł tak leżeć. Mógłby się przeziębic. Poza tym czemu miałby być zawinięty w jakieś szmaty? To nie miało sensu.

- To nie on, nasz Szymon ma znamię na ramieniu - usłyszała bezbarwny głos Mirka, który z podobnym przerażeniem przyglądał się znalezisku. Momentalnie poczuła ulgę, jednak ból brzucha nie ustępował. Paraliżujący strach o Szymusia zastąpiło przerażenie. Ktoś pozbawił życia małą istotkę, a później sprofanował jej zwłoki, wyrzucając je na śmieci jak nikomu niepotrzebny przedmiot.

Chwilę później siedziała w mieszkaniu nieznajomej kobiety, która widząc ledwo trzymającą się na nogach Anetę, zaproponowała pomoc. Była jedną z niewielu osób, które nie ruszyły na poszukiwania Szymona. Szybko okazało się dlaczego. W salonie ciasnego mieszkanka w bloku leżał na łóżku kilkunastoletni chłopak. Na początku Aneta pomyślała, że śpi, jednak on raz na jakiś czas otwierał oczy, dając o sobie znać.

- Syn jest sparaliżowany - powiedziała kobieta, widząc jej niepewny wzrok. - Gdy był mały, wywrócił się na rowerze. Na tyle nieszczęśliwie, że doszło do przerwania rdzenia kręgowego.

- Bardzo mi przykro.

- Dziękuję. Jakoś sobie radzimy. Ale teraz najważniejszy jest pani syn. Musi się znaleźć cały i zdrowy.

- Wiem, tylko...

Nie zdążyła skończyć zdania, bo do mieszkania wszedł jej przyjaciel, a jednocześnie lekarz. Jak zwykle na szyi zawiązaną miał pstrokatą

muszkę, tym razem w zielono-czerwone plamy, które przypominały kwiaty.

- Przepraszam, że nie przyjechałem wcześniej. Przebywałem poza miastem. Jechałem właśnie do pacjentki, do bloku obok, gdy zobaczyłem Mirka. Nie wiem, jak mogę wam pomóc, ale uwierz mi, zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Dziękuję - odpowiedziała cicho Aneta. - Możesz pomóc w poszukiwaniach i... - Znowu nie dokończyła, bo do drzwi ktoś zapukał. Z drugiej strony stał komisarz Arkadiusz Wodecki.

- Mogę panią poprosić na chwilę? Mam do pani pytanie. A pan to kto? - spytał, gdy zauważył stojącego obok niej mężczyznę.

- Jestem lekarzem Anety i przyjacielem.

- Och, to dobrze. Moi ludzie muszą przesłuchać wszystkich lekarzy w okolicy na temat kobiet w ciąży.

- Tylko ja żadnych poza Anetą nie przyjmowałem. Od dawien dawna.

- Jak to? - wtrąciła zdziwiona Trojanowska. - Jak byłem ostatnio u ciebie, to przed wizytą rozmawiałam z kobietą w zaawansowanej ciąży. Zupełnie nie pamiętam, jak się nazywała, ale siedziała w twojej poczekalni i wyglądała, jakby czekała na wizytę u ciebie.

- Ja już kilka lat temu powiedziałem, że nie przyjmuję kobiet w ciąży. Unikam ich jak ognia. Ale faktycznie, pamiętam, że siedziała z tobą jakaś kobieta, tylko zupełnie o tym zapomniałem, bo jak wyszłaś, jej już nie było.

W tym momencie cała trójka zrozumiała, że mają trop, który może pomóc w odnalezieniu Szymona.

## Rozdział 8

teraz

- Niestety nie znam tej kobiety - powtarzała po raz kolejny przesłuchiwana przez Arkadiusza Wodeckiego recepcjonistka z gabinetu doktora Gutkowskiego. - Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

- A dlaczego ją pani wpuściła?

- Spytała grzecznie, czy może skorzystać z toalety i na sekundę usiąść, bo się zmęczyła. Sama niedawno byłam w ciąży, więc wiem, jak to jest. Wyglądała na zmęczoną, więc tak po ludzku chciałam jej pomóc. I dałam jej jeszcze szklanekę z wodą - dorzuciła dumna z siebie.

- Rozumiem, a czy jest pani w stanie ją opisać?

- Hmm... - Kobieta zamyśliła się. - Ona wydała mi się znajoma, ale zupełnie nie wiem, do kogo była podobna. Może kiedyś już ją widziałam, ale nie mam pojęcia gdzie.

- A w szczegółach? Wzrost, włosy i tym podobne.

- Miała jasnoblond włosy, chyba do ramion, a może trochę dłuższe. Bardzo charakterystyczny, szpiczasty nos i wyłupiaste oczy. I dziwnie się zachowywała. Miała w sobie jakiś niepokój, jakby czymś się denerwowała.

- Rozumiem, a czy rozmawiała pani z nią o czymkolwiek?

- Niestety nie. Kiedy pozwoliłam jej skorzystać z toalety, zadzwonił telefon i go odebrałam. Później usiadła na kanapie. Odpoczęła chwilę i wyszła.

- Przyślę jeszcze do pani naszego rysownika - rzucił na odchodne milicjant.

- Dobrze, chętnie pomogę.

Arkadiusz Wodecki, nie widząc sensu przebywania dłużej w gabinecie, wrócił na komendę, gdzie od razu został wezwany do gabinetu swojego szefa. Komendant Kazimierz Borkowski pełnił tę funkcję od ponad dziesięciu lat i nikt inny nie byłby w stanie go zastąpić. Trzymał wszystkich za mordę i nie pozwalał na bójki, pijackie wieczory i niesubordynację. Każdy się go bał i nikt nie chciał z nim zadzierać.

- Wzywał mnie szef? - spytał funkcjonariusz drżącym głosem, jak tylko stanął w drzwiach gabinetu. Ten jak zwykle siedział na swoim olbrzymim fotelu, w ustach trzymał skręconego przez siebie papierosa, a przed nim leżała olbrzymia sterta akt. Uwielbiał wiedzieć wszystko o wszystkim. Czasami denerwowało to niektórych milicjantów, ale generalnie przynosiło dobre efekty. Sprawy przyspieszały, sprawców łapano wcześniej, a do tego, co dość zaskakujące, komendant nigdy nie przypisywał sobie cudzych zasług.

- Tak, usiądź - rzucił i dmuchnął dymem wprost na niego. Arkadiusz Wodecki należał do nielicznych pracowników komendy, którzy nie palili. Wielokrotnie próbował. Nie chciał być obiektem drwin, a nawet wyzwisk, ale nie był w stanie. Od tytoniu od razu miał odruch wymiotny. - Chciałem pogadać o sprawie tego zaginionego dziecka, a dokładniej o znalezionym ciele kolejnego. Ludzie zaczynają gadać. Telefony się rozdzwaniają, a to dopiero początek. Panika to najgorsza rzecz, jaka może nas spotkać. Obywatele zachowują się w sposób zaskakujący i przeszkadzają zamiast nam pomagać, wygadując...

- Zmyślają niestworzone historie, utrudniając nam pracę - dokończył myśl szefa.

- Dokładnie. - Borkowski ponownie się zaciągnął i przytrzymał dłużej dym w płucach, jakby dzięki temu więcej nikotyny miało w nich zostać. - Dlatego musimy wyprzedzić zbiorową paranoję, a uwierz mi, jak ludzie usłyszą o znalezieniu zwłok noworodka i zaginięciu innego, to irracjonalny chaos gwarantowany.

W tym momencie do gabinetu ktoś zapukał.

- Włazić - rzucił komendant, gasząc papierosa.

Jego głos był donośny i trochę agresywny, więc nie było zaskoczeniem, że milicjant, który stanął w drzwiach, miał przerażoną minę. Arkadiusz Wodecki najchętniej by wstał i pocieszająco poklepał go po ramieniu. Sam to przeżył kilka lat temu i również wielokrotnie miał stan przedzawałowy, gdy był wysyłany przez któregoś z kolegów do szefa lub wzywany przez niego.

- Jest już portret pamięciowy kobiety widzianej u tego lekarza - wydukał nowo przybyły.

Bez słowa wstali z zajmowanych krzeseł i ruszyli do głównej części komendy, gdzie w dużej sali pracowali milicjanci. Stało tam nie tylko kilkanaście biurków, ale również na jednej ze ścian mieściła się długa korkowa tablica, do której przyczepiano najistotniejsze informacje z prowadzonych spraw. Sprawa niemowlaków już dostała przydzielony kawałek, dlatego to właśnie tam zawisł portret pamięciowy kobiety, która mogła mieć coś wspólnego ze sprawą.

Każdy z milicjantów po kolei podchodził do niego i nie mogąc odnaleźć w pamięci nikogo podobnego, wracał do swojego biurka. Arkadiusz, gdy w końcu przed nim stanął, miał nadzieję, że rozpozna ją

i triumfalnie ogłosi, kim jest poszukiwana kobieta. Jednak tak się nie stało. Zacisnął szczękę, która bolała go od kilku dni. Kątem oka zobaczył równie napiętą twarz komendanta. Mężczyzna nerwowo wyjął z kieszeni białej koszuli z krótkimi rękawami wcześniej przygotowanego papierosa i zapalił go.

- Powielcie portret i ruszcie w teren. Ktoś musi znać tę kobietę - powiedział do wszystkich zgromadzonych i z naburmuszonym wyrazem twarzy wrócił do swojego gabinetu.

## Rozdział 9

teraz

Jak zarządził komendant, większość milicjantów ruszyła w teren w poszukiwaniu informacji o kobiecie. Jednocześnie inni funkcjonariusze cały czas przeczesywali okoliczne lasy, łąki i osiedla w celu znalezienia Szymona. Niestety nic nie przynosiło efektów. Minęły już trzy dni i mimo wielkiego zaangażowania zarówno ze strony milicji, jak i mieszkańców ani o milimetr nie posunęli się w kierunku jego odnalezienia, a z każdą godziną szanse na to malały.

Dodatkowo sekcja zwłok znalezionego chłopca nie przyniosła żadnych konkretnych informacji. Dziecko miało około dwóch tygodni, podobnie jak Szymon Trojanowski. Na ciele żadnych obrażeń, siniaków, zadrapań, poza jednym urazem głowy, który prawdopodobnie spowodował jego śmierć. Lekarz, który drżącymi rękoma wykonywał sekcję, nie był w stanie stwierdzić, czy rana powstała w wyniku uderzenia będącego celowym działaniem, czy może upadku dziecka lub wyslizgnięcia się z ramion matki.

Arkadiusz Wodecki zaczął powoli tracić nadzieję, jak zresztą wszyscy pozostali, gdy zadzwonił do niego ojciec zaginionego Szymona.

- Proszę porozmawiać z listonoszami, oni zawsze wiedzą, gdzie kto mieszka i co się dzieje - rzucił Trojanowski bez słowa wstępu. - Ktoś



coś musi wiedzieć. Nasz listonosz powiedział, że nie kojarzy żadnej kobiety, która była ostatnio w ciąży, ale może inni coś wiedzą.

W końcu milicjant zdołał przebić się przez monolog dzwoniącego:

- Nasi ludzie przepytują mieszkańców.

- Tak, a listonoszach pamiętali? Oni przecież niekoniecznie mieszkają w okolicy. Ktoś musiał ją zapamiętać - powiedział takim głosem, jakby zaraz miał się rozpląkać.

- Dziękuję za pomysł - skomentował milicjant.

Nie doczekał się już odpowiedzi. Mężczyzna odłożył słuchawkę i zapewne wrócił do prób rozwiązania zagadki. Nie mając żadnego punktu zaczepienia, Arkadiusz Wodecki wezwał do siebie dwóch milicjantów, którzy aktualnie niczym się nie zajmowali, poprosił o namierzenie okolicznych listonoszy i pokazanie im portretu.

Już następnego dnia mieli pierwszy trop. Jeden z pocztowców kojarzył twarz, jednak nie był w stanie przypisać jej do konkretnego adresu, ponieważ pracował dopiero od dwóch tygodni.

Namierzenie jego poprzednika nie było jednak takie łatwe. Mężczyzna niedawno się przeprowadził i nie zostawił nowego adresu. W końcu odnaleźli jego kolegę, który dysponował aktualnymi danymi mężczyzny. Nie czekając ani minuty, Arkadiusz Wodecki popędził pod wskazany adres.

Okazało się, że listonosz wyprowadził się do niewielkiego domku na obrzeżach miasta. Budynek niczym się nie wyróżniał. Brudna elewacja, kwiatki w oknach. Nie bawiąc się w formalności, funkcjonariusz popchnął uchyloną furtkę i trzema susami pokonał nadkruszone schody. Nie zdążył zapukać, gdy drzwi zaczęły się otwierać.

- Zwariował pan?! - krzyknęła wysoka kobieta, która w nich stała.

- Co to za zwyczaje, wchodzić tak komuś na posesję?! Przeprowadziliśmy się niby z gorszej dzielnicy, ale chamstwo, które tutaj panuje, jest po prostu przerażające!

Cały czas krzyczała tak, że nie mógł wyduścić z siebie ani słowa. Wreszcie udało mu się odezwać.

- Jestem z milicji. - Mówiąc to, wyciągnął legitymację służbową. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale pilnie potrzebujemy pomocy pani męża, Wiesława Góreckiego.

Wyraz twarzy kobiety momentalnie się zmienił. Szeroko otwarte oczy zmalały, zaciśnięte usta okazały się pełniejsze, a policzki nie były aż tak nadęte.

- Matko, przepraszam - mruknęła w końcu. - Mieszkamy tu od dwóch tygodni i cały czas coś się dzieje. Miało być lepiej, a wyszło strasznie. Rura w łazience nam pękła, ktoś przebił w naszym maluchu oponę, a mąż chodzi osowiały, jakby przeszedł na emeryturę za karę. Czepia się mnie o wszystko. To nie tak miało być. Mieliśmy...

Milicjant nie wytrzymał i przerwał kobiecie z wymuszonym uśmiechem:

- A czy mogę z nim porozmawiać?

Nie przyjechał tu wysłuchiwać o problemach starszego małżeństwa. Miał do znalezienia małego chłopca i liczył, że mieszkający tutaj mężczyzna mu w tym pomoże i w końcu na jego koncie pojawi się sukces, którego tak potrzebował. Kobieta ponownie zaciśnęła usta i weszła do domu, nie zapraszając milicjanta do środka. Po kilku chwilach w drzwiach pojawił się mężczyzna. Widać było, że został wyrwany z drzemki. Na twarzy miał odcisniętą poduszkę, a wokół ust coś, co przypominało zaschniętą ślinę.

- Żona mówiła, że przeszedł pan do mnie - wymamrotał zaspanym głosem. - Może pan wejdzie? - Ruchem ręki zaprosił go do środka.

Wnętrze nie prezentowało się lepiej niż dom z zewnątrz. Boazeria w korytarzu była poobdrapywana, dywan upstrzony plamami każdej wielkości i koloru, a na dodatek śmierdziało zgnilizną. To był kolejny problem Wodeckiego. Każdy, nawet najmniejszy smród wiercił mu dziurę w głowie i zostawał w niej na długie dni. Zapach krwi z masakry w kuchni czuł jeszcze przez długie tygodnie, a miał wrażenie, że cały czas jego mózg gdzieś go ukrywał, bo na samo wspomnienie robiło mu się niedobrze.

Usiedli w salonie na zapadającej się, wysłużonej kanapie, przy której na małym stoliku czekały już dwie kawy.

- Zofia przygotowała dla pana - powiedział Górecki i delikatnie się uśmiechnął.

Wodeckiego zawsze bawiło zachowanie ludzi, do których przychodził. Jedni od razu przyjmowali postawę obronno-agresywną, a inni, jak siedzący przed nim mężczyzna - służalczo-przerażoną.

Uśmiechali się, podsuwali ciasteczka, ale każde słowo wypowiadali drżącym głosem.

- Dziękuję - odpowiedział milicjant uprzejmie. W końcu to on po coś przychodził, więc musiał zasłużyć na informacje. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni znoszonej marynarki złożoną kartkę i powoli zaczął ją rozkładać. - Zna ją pan? - spytał i podsunął kawałek papieru w stronę emerytowanego listonosza.

- Coś zrobiła?

- Tego jeszcze nie wiemy, ale pilnie jej poszukujemy.

- Dobrze, już patrzę. - Mężczyzna sięgnął po leżące na podłodze okulary. Powoli założył je na nos i przysunął kartkę na kilkanaście centymetrów, jakby okulary były zdecydowanie za słabe. Milicjant wstrzymał oddech. Miał wrażenie, że to wszystko trwa bardzo długo. W końcu Wiesław Górecki teatralnie odłożył kartkę obok dwóch szklanek w metalowych koszyczkach i podniósł wzrok. - Tak, znam ją.

Arkadiusz poczuł, jak serce zaczyna mu znowu bić.

- Jak się nazywa?

- Z tego, co pamiętam, to chyba Reszka, ale nie jestem pewny. Za to wiem, gdzie mieszka.

- I była ostatnio w ciąży? - dopytał jeszcze dla pewności.

- Tak, i to w bardzo zaawansowanej, gdy ją widziałem ostatni raz - powiedział i bez żadnych próśb czy gróźb podał dokładny adres kobiety.

Milicjant podziękował serdecznie i wybiegł z mieszkania, zostawiając kawę, którą tak bardzo chciał wypić.

## Rozdział 10

teraz

Najchętniej pojechałby pod podany adres sam, prosto od listonosza, jednak wiedział, że dostałoby mu się za to. Potrzebował wsparcia, na wypadek gdyby kobieta chciała zrobić krzywdę dziecku lub sobie. Nie chciał brać na siebie takiej odpowiedzialności.

Kilka minut po tym, jak przekazał zebrane informacje komendantowi, znowu siedział w radiowozie, tym razem z trzema innymi funkcjonariuszami, a za nimi jechał drugi samochód, też wiozący cztery osoby.

Zajechali spokojnie pod wskazany budynek i zaparkowali w odległości ponad stu metrów od siebie, bez użycia sygnalizacji świetlnej czy dźwiękowej. Nie chcieli wywoływać zbędnego zamieszania, chociaż ewidentnie nie docenili czujności mieszkańców.

Zanim zdążyli wysiąść, już w co trzecim oknie poruszały się zasłony i franki, a zza nich obserwowały ich uważne oczy lokatorów.

- Jak ustaliliśmy, my idziemy na górę - Wodecki kiwnął na dwóch stojących najbliżej milicjantów - a reszta obstawia blok. Ruszamy - powiedział pewnym głosem, mimo że w środku trząsał się jak nagi człowiek wystawiony na mróz.

Ruszyli szybkim krokiem do klatki numer trzy, gdzie na trzecim piętrze, w mieszkaniu pod numerem trzydzieści siedem, mieli nadzieję znaleźć małego Szymona. Niemal biegnąc, wdrapali się na odpowiednie piętro i stanęli w dwóch rzędach. Stojący z przodu Arkadiusz Wodecki wziął głęboki wdech i trzy razy rytmicznie uderzył w drzwi.

Od razu usłyszeli za drzwiami jakiś szelest. W napięciu oczekiwali chwili, gdy zobaczą małego Szymona, ale gdy te się otworzyły, z milicjantów uleciało całe powietrze.

## Rozdział 11

teraz

- To na pewno nie on? - pytał po raz piąty komendant, który nerwowo odpalał papierosa od papierosa.

- Z całym szacunkiem, potrafię jeszcze odróżnić dziewczynkę od chłopca. Poza tym potwierdziła to wezwana na miejsce milicjantka.

- To co ona robiła w gabinecie tego doktora? Przecież nie powinno jej tam być! - wrzeszczał mężczyzna na Bogu ducha winnego

Arkadiusza Wodeckiego.

- Było dokładnie tak, jak mówiły pani Aneta Trojanowska i recepcjonistka. Kobiecie zrobiło się słabo i szukała miejsca, gdzie mogłaby usiąść. Weszła do gabinetu lekarskiego, bo wydało jej się, że to odpowiednie miejsce. Dostała wodę, posiedziała chwilę i poszła dalej. Prosta historia. Urodziła kilka dni później, dziewczynkę.

- Ja pierdziele, pracuję z baranami. Jest jakiś inny trop?

- Niestety nie - odpowiedział cicho komisarz w obawie, że i jemu się dostanie. W końcu to on prowadził dochodzenie.

Bez wiary w odnalezienie chłopca Arkadiusz Wodecki wrócił do swojego biurka. Wszystkie ślady, które sprawdzali, do niczego nie prowadziły. Kobieta z gabinetu okazała się ślepym zaułkiem. Próby ustalenia, kim był znaleziony w śmietniku chłopiec, spęły na niczym. Nikt nie zgłosił zaginięcia drugiego dziecka, co było dość zastanawiające. Przesłuchali praktycznie wszystkich okolicznych lekarzy przyjmujących porody. Poszerzali promień działań, ale Wodecki nie wyobrażał sobie, by mogły objąć cały kraj. Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Siedział przy biurku, próbując zebrać myśli i nadać im jakiś sens. Niestety nic nie pomagało. Wypił już cztery kawy, a nie było jeszcze dwunastej. Ze stęknieniem wstał z krzesła i ruszył w stronę pomieszczenia socjalnego, gdzie można było sobie zrobić coś do picia. Był w połowie drogi, gdy usłyszał dźwięk telefonu, który stał na jego biurku. Aparat rzadko dzwonił, bo mało kto miał do niego numer i sprawę do obgadania. Rzucił się pędem z powrotem do swojego stanowiska, po drodze potykając się o nogi kolegi, który wyciągnął się na krześle przy biurku i uciął komara. Dосkoczył do telefonu i mocno dysząc, rzucił:

- Komisarz Wodecki, słucham.

- Dzień dobry, czy to pan prowadzi sprawę tego chłopca? - usłyszał po drugiej stronie słuchawki. Głos był męski i należał raczej do starszej osoby.

- Tak, to ja.

- Ja się może przestawię, z tej strony doktor Stanisław Wysocki. Pracuję w naszym szpitalu, zajmuję się dziećmi, jestem pediatrą.

- Rozumiem - odezwał się milicjant już spokojniej.

- Słyszałem o zaginięciu. To straszne, jak ktoś mógł odebrać matce takie małe dziecko... Nie wyobrażam sobie, co ona teraz przeżywa.

- Ja również - wtrącił. - Czy mogę wiedzieć, jaki jest powód pana telefonu?

- Jeden mój kolega położnik gadał z kimś od was. Dodał dwa do dwóch i wyszło, że jest cień szansy, że to jakaś kobieta, której dziecko umarło. Z medycznego punktu widzenia jest to możliwe, to znaczy trochę do usprawiedliwienia. Taka kobieta mogłaby wpaść w depresję i nawet nie do końca kontrolując swoje zachowanie, zdecydować się na tak drastyczny krok, by porwać czyjeś dziecko. I wie pan, ja zacząłem się wszystkim przyglądać.

- Bardzo mnie to cieszy. Taka troska to rzadkość.

- Dziękuję. Tylko że .... - Mężczyzna zawiesił głos. - Ja niczego wyjątkowego nie zrobiłem, w tym odkryciu nie ma mojej zasługi. Ona przyszła na umówioną wizytę. Wiem, że niedawno rodziła, bo widziałem jej zaokrąglony brzuch, taki typowo pociągowy. Zachowywała się zupełnie normalnie, to znaczy była zdenerwowana, ale nie tak jak osoba, która miałaby na sumieniu porwanie.

- To jak?

- No tak troskliwie, jak matka, której dziecko coś złego spotyka.

- A coś spotkało jej dziecko? - dopytywał dalej milicjant.

- To było dziwne. Kobieta twierdziła, że jej syn wygląda jakoś inaczej. Więc jej tłumaczyłem, że noworodki zmieniają się delikatnie każdego dnia. Na to ona, że on inaczej pachnie. Tutaj nie miałem argumentu. A na koniec pokazała mi znamię.

- Znamię?

- Tak, to takie nieprawidłowości w skórze. I mówi, że cztery dni temu tego nie miał.

Na te słowa Arkadiusz delikatnie się uśmiechnął, gdyż z tą nowiną spłynęła na niego nowa nadzieja.

## Rozdział 12

## teraz

Kobieta siedziała przed nim z twarzą ukrytą w dłoniach i cały czas płakała. Gdy tylko na chwilę jej płacz cichł, Arkadiusz Wodecki próbował zadać jej pytanie, a wtedy ona znowu zaczynała szlochać głośniej.

- Jak to się stało, że Szymon Trojanowski został odnaleziony w pani domu? - spytał po raz ósmy, nie licząc już na dialog.

Niestety podobnie jak wcześniej nie usłyszał żadnej sensownej odpowiedzi. Kobieta w przerwach od histerycznego płaczu powtarzała w kółko to samo:

- To jest mój mały Antoś. Nie możecie mi zabrać mojego syna.

Po trzech godzinach spędzonych z nią w jednym pomieszczeniu Arkadiusz Wodecki wstał, zgarnął pustą szklankę i wyszedł. Nie miał siły ani pomysłu, jak do niej dotrzeć. Nie sprawiała wrażenia porywaczki, ale czuł, że jakimś dziwnym przypadkiem również może być ofiarą.

Gdy tylko wyszedł z pomieszczenia, trafił na nerwowo przechadzającego się komendanta.

- A co ty? Modliłeś się z nią tak długo? - rzucił, zupełnie zaskakując funkcjonariusza.

- Nie, próbowałem z niej coś wyciągnąć.

- I?

- Cały czas płacze i powtarza, że to jej syn. Każe nam jechać do jej domu po akt urodzenia, twierdząc, że to dowód. Tylko nie ma wytłumaczenia na to znamię - westchnął lekko załamany. Liczył na natychmiastowe rozwiązanie zagadki. - A co z jej mężem?

Na to pytanie komendant stanął i nerwowo podrapał się po łysinie, którą zazwyczaj ukrywał pod milicyjną czapkę. Teraz jednak panujący upał zmusił go do jej zdjęcia.

- Chce gadać tylko z tobą - powiedział obrażonym tonem. Zassał policzki i wytarł rękawem spływającą po skroni kroplę potu.

- Ze mną?

- Tak, z tobą! Nie słyszysz?

- Ale... dlaczego? - Wodecki był zupełnie dezorientowany. Nigdy nie słyszał o tej rodzinie, więc czemu mężczyzna miałby go znać?

- Nie wiem. Nie chce mówić. Od razu zakomunikował, że będzie rozmawiał tylko z tobą.

Funkcjonariusz szybko skoczył do łazienki, gdzie pochlapał spoconą twarz wodą, i ruszył do pokoju przesłuchań, zgarniając po drodze kolejną kawę w szklance w modnym metalowym koszyczku. Panujący ukrop powodował, że miał problemy z koncentracją.

Pomieszczenie sąsiadowało z tym, w którym spędził ostatnie trzy godziny, próbując wydusić coś z kobiety. Przed nim na korytarzu stał komendant z bojową miną i patrzył na niego surowo.

- Nie spierdol tego - rzucił szef i popchnął go delikatnie, choć stanowczo w stronę drzwi, dając tym czytelny znak, że nie ma po co wychodzić bez rozwiązania sprawy.

Pewnym krokiem Wodecki wszedł do sali i usiadł naprzeciwko mężczyzny. Przez chwilę patrzył na niego, próbując sobie przypomnieć, skąd może go znać, jednak w głowie miał pustkę. Brązowe oczy okalane dość krzaczastymi brwiami, pucułowate policzki i dość bujne siwe włosy. Zupełnie żadnych skojarzeń.

- Nie ma pan prawa mnie kojarzyć - odezwał się w końcu tamten.

- Nie?

- Zdecydowanie. Za to ja wiem bardzo dużo o panu - powiedział cicho. Jego głos brzmiał dziwnie, jakby dobiegał z jakiejś jamy. Obracał w palcach guzik od mankietu koszuli, który wisiał już na ostatniej cienkiej nitce. - Dobrze znałem pana wujka, Włodzimierza Wodeckiego. Niesamowity człowiek. I mimo że milicjant, to najuczciwszy chłop, jakiego znałem, więc mam nadzieję, że pan też taki jest.

- Wujek był niespotykanym, jak na swoje czasy, człowiekiem. Mam nadzieję, że chociaż w jakimś stopniu go przypominam. - Arkadiusz Wodecki poczuł się trochę nieswojo. Uważał się za człowieka uczuciowego i dość wrażliwego, jednak w pracy starał się być twardy i bezwzględny. Komenda, sytuacje, które spotykał, nie dawały miejsca na bycie miękkim. Poprawił krzywo leżące przed nim dokumenty i zapytał: - Co stało się z waszym dzieckiem?

- Ja nic nie wiem - odpowiedział mężczyzna zdecydowanie za szybko.



- W państwa domu znaleźliśmy dziecko, które nie jest państwa. Matka zaginionego Szymona Trojanowskiego potwierdziła, że to jej syn. Mamy lekarza, który zeznał, że chłopiec już po porodzie miał na lewym ramieniu znamię, które tak bardzo zaniepokoiło pana żonę, że aż poszła z nim do lekarza. Więc jeszcze raz spytam, co się stało z państwa dzieckiem?

- Ja... - wyjąkał. - Ja... Nic nie wiem - powtórzył i zwiesił głowę.

Arkadiusz Wodecki lekko uśmiechnął się do siebie. Tragedia mężczyzny była jego triumfem. Mógłby przysiąc, że już wie, jak to było. Część jego kolegów zadowoliliby się wymuszeniem zeznań z użyciem pałki, ale on chciał być tym dobrym. Jak jego wujek.

- Skoro pan tak twierdzi, to uznajmy, że ma pan rację. Opowiem panu, jak będzie teraz wyglądał przebieg wydarzeń. Prokurator przyjmie najbardziej prawdopodobną wersję zdarzeń, czyli że to pana żona przyczyniła się do śmierci waszego syna. Zbierze dowody, które to potwierdzą. Jeżeli pan myśli, że brak dowodów jest problemem, to zapewniam, że nie. - Na chwilę przerwał swój monolog i sięgnął do teczki. Wyciągnął zdjęcie znalezionego na śmietniku dziecka. Podsunął je bliżej mężczyzny, tak aby ten dobrze je widział. - Pana żona trafi najpierw do aresztu, później do więzienia. Na wyrok inny niż skazujący nie ma co liczyć. Ale nie to będzie najgorszą karą. W pierdłu takie jak ona mają ciężkie życie. Szczerzę wątpię, aby przeżyła rok lub dwa. Za takie coś - w tym momencie wbił palec wskazujący w leżące na stole zdjęcie - będą ją gnębić na każdym kroku. Nie dadzą jej żyć i albo zabiją, albo doprowadzą do takiego stanu, że sama ze sobą skończy.

Komisarz uśmiechnął się ponownie, jednak gdy zobaczył spływające po polikach mężczyzny łzy, poczuł delikatny ucisk w żołądku. Cały czas był tak zapatrzony w swój cel, czyli znalezienie porywacza Szymona i mordercy małego niezidentyfikowanego chłopca, że zupełnie nie zdawał sobie sprawy z faktu, że za tym wszystkim może czaić się jakaś ludzka tragedia.

Łzy płynęły coraz bardziej, aż mężczyzna z impetem uderzył przedramionami o stół, a z jego gardła wydobył się przerażający dźwięk. Bliżej nieokreślony krzyk, nieprzypominający żadnego słowa. Niósł w sobie tyle cierpienia i rozpacz, że ciężko było to opisać. Mimo że milicjant nie miał dzieci, ba, nawet partnerki, czuł ogrom bólu, który

przeżywał ten ojciec. Wiedział, że jego zwycięstwo jest kopaniem leżącego.

## Rozdział 13

teraz

Utrata dziecka to chyba najgorsze, co może spotkać matkę. Po miesiącach bycia w ciąży, która wbrew określeniu wcale nie jest stanem błogosławionym, ale wręcz przeciwnie – jest pełna bólu, cierpienia, izolacji, i w końcu na świat przychodzi mały człowiek, który zmienia wszystko. Bacznemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że na gorsze. Dziecko nie daje spać po nocach, nie pozwala robić tego co wcześniej. Spontaniczne wyjście ze znajomymi nie jest już możliwe, a zwykły dzień wygląda zupełnie inaczej. Wszystko trzeba podporządkować małej istocie, jej trybowi dnia, temu, kiedy je czy śpi.

A mimo to prawie każda kobieta chce to przeżyć. Poznać ten rodzaj bliskość. Poczuć ten niesamowity zapach, którego nigdy wcześniej nie czuła, a który po pewnym czasie bezpowrotnie zniknie. Chce poczuć pod palcami tak delikatną skórę, której jej żaden, nawet najdroższy, krem nie pomoże uzyskać. Chce patrzeć, jak z wiekiem dziecko pokonuje swoje ograniczenia i przystosowuje swoje małe ciało do nieznanego. Chce obserwować, jak zaczyna się turlać, raczkować, później niepewnie stawać, aż w końcu rusza w nieznaną na wyprostowanych nogach, zaliczając raz po raz kolejne wywrotki, zdobiąc małe ciało kolejnymi siniakami, a mimo to jak feniks z popiołów wstaje niezrażony i podejmuje kolejną próbę. Ten widok napawa dumą, ale i strachem. Czy sobie poradzi? Czy nie zrobi sobie krzywdy? I mimo że jest to niezwykle stresujące, praktycznie każda kobieta cieszy się na wspomnienie tych chwil.

A co, jak zostanie jej to odebrane? Pech, nieszczęśliwe zrzączenie losu, czyjaś zła wola doprowadza do sytuacji, po której już nic nie jest takie samo. Cały świat wali się momentalnie, a w głowie rodzą się

absurdalne pomysły, które stopniowo niszczą fundamenty naszej psychiki.

- Ja nie chciałem, nie chciałem... - powtarzał od ponad godziny siedzący przed Arkadiuszem Wodeckim mężczyzna.

Funkcjonariusz domyślał się, co padnie z jego ust, jednak chciał to usłyszeć. Chciał się dowiedzieć, co dokładnie stało się z ich synem Antonim - Antosiem, jak mówili zdrobniale. Chciał się dowiedzieć, dlaczego wybór padł na małego Szymona. Jak doszło do porwania? I co powiedział żonie? Czy prawdą było to, że nie miała ona pojęcia, że przez kilka dni karmiła, tuliła cudze dziecko?

Komisarz powoli dźwignął się z krzesła i zostawił zalanego łzami mężczyznę. Musiał chwilę odpocząć, a także dać się wypłakać przesłuchiwanemu. Porywaczowi. Mordercy. Słowa te rezonowały mu w głowie, nie dając wytchnienia.

Na zewnątrz czekał już komendant, a za nim kilku innych funkcjonariuszy, ciekawych przebiegu zdarzenia.

- To on - zaczął bez zbędnego wstępu. - Nie wiem dokładnie, co się stało, ale strzelam, że doszło do fatalnego wypadku. Poślizgnął się, zagapił, dziecko wypadło z rąk i tragedia gotowa. Z tego, co wiemy, to długo się starali o ciążę. Może bał się o żonę, więc postanowił zorganizować inne dziecko. Czy znał Trojanowskich, tego jeszcze nie wiem. Musimy ich spytać, czy kojarzą tych ludzi. Mężczyzna porwał małego Szymona i liczył, że może żona się nie zorientuje. W sumie to się nie dziwię, dla mnie wszystkie dzieci są takie same.

- Dla mnie też - skomentował komendant spokojnym głosem, jak nie on.

W tym momencie wszyscy nagle podskoczyli - z sali przesłuchań dobiegł jakiś dziwny dźwięk, tak jakby coś się nagle przewróciło. Stojący najbliżej drzwi Wodecki doskoczył do nich jednym susem i nacisnął klamkę. Gdy wpadł do pomieszczenia, zdębiał. Mężczyzna leżał na podłodze bez ruchu, a dookoła niego tworzyła się coraz większa kałuża krwi wypływającej z rozszarpanego nadgarstka. Pierwsza myśl, która zrodziła się w głowie młodego milicjanta, brzmiała: „Ale jak on to zrobił?!”. Gdy zobaczył leżący pod stołem metalowy koszycek na szklanę, wiedział już, że nici z awansu.

Zamiast tego był pewien, że scena ta będzie do niego często wracała w nocnych koszmarach.

## Rozdział 14

teraz

Aneta patrzyła na śpiącego w łóżeczku Szymona, a łzy płynęły jej po policzkach. Co jakiś czas do pokoju wchodził Mirek, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku, a także próbując nakłonić ją do pozostawienia syna chociaż na chwilę samego. Ona jednak za każdym razem odmawiała. Nie chciała nawet na sekundę opuścić syna. Słyszała kiedyś o matkach psychopatkach, które zabierały swoje pociechy nawet do toalety, tylko czy one miały ku temu powody, tak jak ona? Nie sądziła, ale też nie oceniała. Każdą matką kierowało co innego.

Od chwili, kiedy w końcu Szymon znalazł się znowu w jej rękach, zastanawiała się, czy gdyby straciła swoje dziecko w nieszczęśliwym wypadku, byłaby w stanie zrobić coś tak strasznego i pozbawić inną kobietę swojego maleństwa. Odebrać jej sens życia? Zabrać na zawsze to, co najważniejsze? Patrząc w niewinne oczy syna, nie mogła znaleźć odpowiedzi. Za to wiedziała jedno. Poświęci wszystko, aby nigdy nikt mu nie zagrażał, niezależnie od konsekwencji.

# Część 2

## Upadek

### Rozdział 1

#### Karolina

Chwyciła za klamkę i zamarła. Nigdy dotąd nie weszła do czyjegoś domu bez pozwolenia właściciela czy jednoznacznego zaproszenia. Jednak teraz miała inną motywację.

Wzięła głęboki wdech i mocniej nacisnęła kawałek metalu, który chłodził jej palce. Najbardziej bała się tego, że zapiszczy jak praktycznie każda klamka w jej domu, ale żaden dźwięk nie dobiegł do jej uszu. Odetchnęła z ulgą i popchnęła wielkie drewniane drzwi. Pewnie w normalnych warunkach przystanąłaby na dłużej i się nimi zachwyciła, ale teraz nie miała na to ani czasu, ani głowy. Nie przyszła tutaj dla przyjemności.

Weszła do przestronnego korytarza, który niczym nie przypominał tego w jej domu. Małego, klaustrofobicznego, ale z drugiej strony przytulnego i rodzinnego. Ten wyglądał zupełnie inaczej. Taki pusty. Bezosobowy. Pewnie atrakcyjny dla właściciela, ale nie dla niej. Stanowił swojego rodzaju jego wizytówkę. Gdy gość wchodził pierwszy raz do tego domu, w jego głowie rodziła się myśl: „Wow, tu mieszka na pewno ktoś ważny, bogaty. Ktoś, kto wiele w życiu osiągnął”.

Karolina też tak pomyślała. Ruszyła dalej. Mimo zadania, które miała do wykonania, wszystko bacznie obserwowała. Gołej betonowej podłogi nigdy nie widziała w żadnym znanym sobie domu. Kojarzyła się jej raczej z jakimś składem budowlanym, fabryką, może biurowcem, ale

nie domem. Co zaskakujące, miała nieodpartą chęć, żeby jej dotknąć, ale się powstrzymała. I bez tego wiedziała, że na sto procent jest zimna niczym lód. Nie mogliby takiej mieć u siebie. Jej dzieci, które uwielbiają biegać na bosaka, chodziłyby cały czas z przemarzniętymi stopami.

Zresztą całe pomieszczenie zionęło chłodem. Jedyne, co je trochę ożywiało, to wielkie drzewko stojące w rogu, jednak i ono zaskakiwało swoją nienaturalną doskonałością. Wysoka na ponad metr roślina miała idealnie przycięte gałązki i liście, by swoim kształtem tworzyły kulę. Takie rzeczy często można zobaczyć w ogrodach, szczególnie tych okalających zamki czy pałace, ale w zamkniętej czterema ścianami przestrzeni domowej wyglądało dość nietypowo. Karolina Gruszecka dobrze wiedziała, że w żadnym normalnym domu nie ma rzeczy aż tak idealnych. Bo gdy żyją w nim prawdziwi ludzie, nie ma tam miejsca na taką perfekcję. To ktoś coś przewróci, oberwie, zniszczy. Tam coś spadnie, połamie się... umrze.

Wiedziała o tym chyba jak nikt inny. Jej dzieci osiągnęły mistrzostwo w robieniu bałaganu, zawsze i wszędzie, no i w zastraszającym tempie. Starsza córka, Lena, okazjonalnie wpadała na genialny pomysł posprzątania w swoim pokoju. Zdarzało się to jednak niezwykle rzadko, a standardem był nieład. Wszelkie próby wymuszenia na niej, aby zrobiła coś z walającymi się kubkami i talerzami po zjedzonej kilka dni wcześniej zupie lub pustymi opakowaniami po chrupkach kukurydzianych, kończyły się zazwyczaj awanturą. Karolina przy każdej próbie zmuszenia jej do zrobienia porządków w końcu kapitulowała i odpuszczała temat - i nie wiedziała, dlaczego jest tak mało stanowcza. Na szczęście młodszy syn, Jonatan, grzecznie wykonywał jej polecenia i sprzątał. Oczywiście gdy przychodziła do niego na małą inspekcję, okazywało się, że jego porządki ograniczają się do upychania wszystkich możliwych rzeczy do jednej szuflady, w której potrafiła znaleźć zarówno noszone już ubrania, jak i rozsypany popcorn czy kawałki ciasteczek. Z czasem przestała się tego czepiać, bo wizualnie pokój mieścił się w jej normach. Z urazami też była za pan brat. Trzy razy szyta głowa, dwa gipsy i trzy skręcenia kostki. Lista siniaków czy rozciętych kolan zajęłaby kilka kartek formatu A4, a i tak podobno jej dzieci raczej należały do tych spokojniejszych. Jednak nie bałagan czy domowe wypadki stanowiły jej życiowy problem. Mogłaby żyć z brudną podłogą, do której człowiek się przykleja, gdy idzie w skarpetkach. Z

piętrzącymi się w zlewie naczyniami i górą prania w łazience. Nawet z rdzawymi zaciekami w kiblu lub cotygodniowymi wizytami na SOR.

Gdyby tylko on żył. Ale wiedziała, że jest to niemożliwe.

Znowu poczuła ucisk w brzuchu. Miała o tym nie myśleć, ale gdy stała na środku surrealistycznego korytarza, wspomnienia zaczęły atakować ją z każdej strony.

- Błagam, nie teraz - wyszeptła sama do siebie i momentalnie poczuła ten paraliżujący brak oddechu. Kiedyś poddawała się temu bezwiednie, co parokrotnie skończyło się omdleniem. Ale teraz, korzystając ze sztuczki, której nauczył ją jej terapeuta, zamknęła oczy i skupiła się na oddychaniu. Powoli jej mózg zaczął odrzucać atakujące go myśli i serce zwolniło. Wróciła.

Otworzyła ponownie oczy i ruszyła dalej. Dom wyglądał dokładnie jak na planach, które dostała. Długi korytarz przeszedł w jeszcze większy salon. Określenie „duży” zdecydowanie nie pasowało. Był olbrzymi, na pewno największy z tych, jakie dotychczas widziała, a co zaskakujące, wszystko to dla jednej osoby.

Stała na środku ciemnego salonu, delikatnie oświetlonego przez stojącą na zewnątrz latarnię, i próbowała sobie wyobrazić, jak żyje się w takim domu. Jak brzmi prowadzona przy olbrzymim stole rozmowa dzieci, które jedzą śniadanie i co chwilę przerywając sobie nawzajem, śmieją się z dowcipów, których ona zupełnie nie rozumie. Ale jej to nie przeszkadza. Ich radosny świergot jest miodem na jej serce. Patrzy na nich i mimo że cały blat ubrudzony jest rozlanym mlekiem i rozmiękłymi płatkami, co wręcz ją rani, a raczej jej nerwicę, z którą walczy od zawsze, ma w sobie radość. A wtedy przychodzi do niej on. Staje z tyłu, otacza ją swoimi mocnymi rękoma, opiera kłującą brodę na jej ramieniu i szepcze do ucha:

- Kocham cię, moja biedronko.

Karolina znowu zamknęła oczy. Czuła go każdą komórką swojego ciała. Czuła jego zapach. Tę niesamowitą mieszankę jego ulubionych perfum i własnego zapachu, tak unikatowego i cudownego. Chciała, żeby został z nią. Żeby nie odchodził. Ale chłód spływającej po twarzy łzy był jak cios, który wyrwał ją z pięknego snu na jawie.

Zresztą kolejnego z wielu takich snów. Tak rzeczywistego, tak realistycznego, że spokojnie można pomylić go z życiem. Ile by dała,

żeby zostać w nim na zawsze. Nigdy go nie opuszczać. Trwać w nim jak najdłużej. Jednak zachowałyby się egoistycznie. Dlatego codziennie rano, wstając z łóżka, powtarzała sobie: „Mam dla kogo żyć. Mam kim się opiekować. Muszę być silna”.

I była. Starła się. Ale często jej nie wychodziło.

Teraz miało się to zmienić, przynajmniej na to liczyła. Gdy dostała ten dziwny list, pomyślała, że to jakiś żart, mimo że prima aprilis obchodzili dobry miesiąc wcześniej.

„Najgorszy ból w życiu to ten, którym nie możesz się z nikim podzielić, bo ci, którym możesz o nim powiedzieć, nie rozumieją, a tym, którzy mogliby zrozumieć, nie możesz powiedzieć”.

„Jezu, jakie to jest prawdziwe”, pomyślała, gdy to przeczytała. Dokładnie takie miała odczucia od pierwszego momentu, gdy go zabrakło. Wszyscy klepali ją po ramieniu, pocieszali i powtarzali „będzie dobrze”. Ale gównie wiedzieli o tym, co czuła. Czego potrzebowała. Uśmiechali się, gadając głupoty. A ona chciała płakać. Zatopić się w swoim smutku. Zatracić w nim. Dać się pochłonąć i zniknąć.

Raz nawet myślała o tym, żeby porozmawiać z Leną. W końcu córka miała już trzynaście lat. Karolina nieraz słyszała, jak dziewczynka wieczorami płacze w poduszkę. Nigdy jednak nie przyszła do niej. Wielokrotnie stała przed jej drzwiami, gotowa wejść i płakać z nią. Rzucić się wspólnie w wir rozpacz. Wiedziała, że córka jak nikt inny zrozumie, co ona czuje, ale coś ją blokowało. Może strach przed tym, że się zatracą w tej rozpacz i będzie to droga bez powrotu. Albo że powie jej coś, czego będzie później żałować. Że przeleje na nią swoje troski, o których dziewczynka nie miała zielonego pojęcia. Dlatego wycofywała się i z daleka obserwowała jej rozpacz, sporadycznie pozwalając sobie na jakiś fizyczny kontakt, jakby mógł doprowadzić do jej załamania.

„Nie znasz mnie”, czytała dalej w liście, który znalazła wśród rachunków, „ale wiedz, że chcę Ci pomóc. Wiem, jak to jest, gdy każdego dnia wypełnia Cię smutek i nienawiść. Smutek spowodowany stratą i nienawiść do osoby, która go wywołała. Możesz próbować z tym walczyć. Chodzić na nieskończoną ilość terapii, faszerować się lekami, ale uwierz mi, to nic nie da. Ukojenie znajdziesz tylko w jednym. Zemście”.



I to tyle, a może aż tyle. Przeczytała ten krótki, jednakże bardzo treściwy list chyba z tysiąc razy. Znała każde słowo, układ liter, a mimo to cały czas nie była pewna, co to niby ma znaczyć. Przecież ona nigdy nie podniosła na nikogo ręki, a teraz miałyby pójść do tego mordercy i zabić go? Tak, mordercy, bo jak inaczej nazwać potwora, przez którego zginął niewinny człowiek? Na dodatek gdy wszyscy umyli ręce i nikt nie chciał pociągnąć go do odpowiedzialności.

Z początku uznała to za absurdalny pomysł. Przecież sam w sobie kojarzył jej się z jakimiś starożytnymi zasadami. Oko za oko, ząb za ząb. Ale gdy zaczęła to głębiej analizować, doszła do wniosku, że dałaby radę i może to właśnie tego rozwiązania szukała. Oczywiście nic by to nie zmieniło. Mąż nie stanąłby nagle w drzwiach z tym swoim rozbijającym uśmiechem i nie rzucił jakiegoś zupełnie nieśmiesznego żartu, z którego sam śmiałby się do rozpuku, a ona jak zwykle na początku patrzyłaby na to z delikatnym zażenowaniem, a po chwili zaczęła chichotać razem z nim. Nie dlatego, że go rozumiała, bo poziom abstrakcji w jego dowcipach zawsze był wysoki, ale dlatego, że zarażał swoim śmiechem. Jego dźwięk wywoływał ulgę. Miało się ochotę nagrać go i odtwarzać godzinami. Powtarzała mu nieraz, że spokojnie mógłby prowadzić terapię śmiechem zamiast jeździć autobusem. Chociaż podobno tam też często rozweselał ludzi, co pokazali podróżujący z nim ludzie, gdy zginął, zostawiając przed siedzibą firmy niezliczone kwiaty i kartki ze słowami wsparcia.

Jednak z czasem zaczęła zmieniać zdanie. I tym sposobem przekonała się, że czas to niesamowity zmieniacz percepcji. Niby kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą, jak to mawiał psychopatyczny Goebbels, ale sama miała wrażenie, że szalony pomysł odtwarzany w myślach tysiąc razy przestaje być taki irracjonalny.

I gdy już zaprzyjaźniła się z myślą o zabiciu mordercy swojego męża, przyszedł kolejny list, który ponownie zbił ją z pantafelku.

„Mam dla ciebie propozycję. Ktoś dla ciebie zabije...”

Gdy to przeczytała, list wypadł jej z ręki. „To są jakieś żarty”, pomyślała. Mimowolnie rozejrzała się po swojej kuchni, szukając ukrytej kamery. Czuła się jak w jakimś programie, gdzie widzowie obserwują zachowania uczestników i wystawiają ich na różnego rodzaju próby. Oczywiście jednak nic takiego nie znalazła.

Powoli schyliła się po leżącą na ziemi kartkę, jakby już samo czytanie jej czymś groziło. „Świat niestety pełen jest ludzi takich jak Ty. Ludzi, którzy niepotrzebnie cierpią, zranieni przez innych. Zranieni przez osoby, które są niegodne życia. Dlatego chcę Ci pomóc. Znam kogoś, kto zabije mordercę Twojego ukochanego Janusza”.

## Rozdział 2

### Szymon

Leżał na łące i patrzył na płynące po niebie chmury. Ich kształty płynnie się zmieniały. Starał się dostrzec w nich coś znajomego, ale nie przypominały mu niczego konkretnego. Nagle coś przysłoniło mu widok. Szybko podniósł się i zobaczył wielkiego motyla. Latał nad nim, robiąc w powietrzu ósemki. Rozmiarami przypominał helikopter, ale mimo to ruchy miał lekkie i perfekcyjne niczym najprawdziwszy owad lub mały ptak.

Szymon wyciągnął do niego rękę, a stworzenie ruszyło w jego kierunku. Od razu poczuł, że wie, kto to jest. Jej wolność radowała go i napawała optymizmem. Jednak jak każde ich spotkanie, i to szybko dobiegło końca.

Powoli otworzył oczy, cały czas mając w pamięci sen. Tak bardzo uwielbiał ich wspólne chwile. Czuł się wtedy trochę jak dziecko w zaczarowanej krainie. Wszystko wyglądało tak bajkowo, kolorowo i nierzeczywiście. Jedynie wybudzenie z tych sennych marzeń przynosiło smutek.

Usiadł na łóżku, uśmiechnął się na wspomnienie przyjaciółki, a przed oczami stanęła mu sytuacja sprzed prawie trzydziestu lat.

- Jestem więźniem w swoim ciele. - Basia spojrzała na niego wielkimi, poważnymi oczami i przerwała grę w piłkę, co robili w tajemnicy przed jego mamą.

- Jak to więźniem w ciele? - Zupełnie nie wiedział, jak ma to rozumieć. Nigdy o czymś takim nie słyszał. W końcu miał zaledwie

jedenaste lat i jego świat składał się raczej z przyziemnych spraw, jak chodzenie do szkoły czy gra z mamą w szachy.

- Ja nie jestem dziewczynką, tylko chłopcem. Chcę, żebyś tak mnie traktował. Możesz mówić do mnie Bartek? - usłyszał w odpowiedzi.

Gdy skończyli się bawić, wrócił do domu w dość melancholijnym nastroju. Matka od razu rzuciła się do niego, widząc jego zafrapowane oblicze. Zawsze tak robiła. Starła się go chronić i otaczać matczynym parasolem w każdej możliwej sytuacji, nawet tej, która nie wymagała żadnego wsparcia. Nieusatysfakcjonowana odpuściła, gdy po raz piąty powiedział, że nic mu nie jest, i oznajmił, że pójdzie się teraz położyć. Tępo gapił się na przyklejone na suficie naklejki i zastanawiał się, jak to jest być uwięzionym. Czy coś wtedy boli człowieka? Czy coś mu grozi? Czy można zorganizować jakiś plan ucieczki? Uśmiechnął się sam do siebie. „Tak”, pomyślał, „pomogę Basi i ją uwolnię”. „Bartkowi”, poprawił się po chwili.

Dokładnie pamiętał, jak tryskał dumą, gdy to wymyślił. Chciał zostać dzielnym rycerzem, który ratuje swoją przyjaciółkę z opałów. Tylko życie zazwyczaj okazywało się bardziej skomplikowane. Los sprawił, że inność Basi stanowiła problem nie tylko dla niej, ale dla większości otaczających ją osób, zaczynając od jej bliskich, poprzez znajomych, nauczycieli, a kończąc na jego matce. I to chyba bolało go najbardziej. Gdy w końcu zrozumiał, co Basia miała na myśli, mówiąc, że jest uwięziona w złym ciele, poszedł do mamy, chcąc uzyskać pomoc lub wsparcie.

- To jest dziwoląg - powiedziała, gdy w końcu skończył opowiadać o problemie. - Nie chcę, żebyś się z nią zadawał.

- Ale mam, to moja przyjaciółka. Ja nie mogę jej z tym zostawić.

- Masz dopiero jedenaste lat. Będziesz miał jeszcze w życiu mnóstwo przyjaciół.

- Basia jest najlepsza. To znaczy Bartek.

- Nie jest najlepsza, skoro ma coś z głową! - krzyknęła matka i wróciła do prasowania sterty koszul.

- Wcale nie ma nic z głową, tylko nie chce być dziewczynką.

- Czy ty siebie słyszysz? Kto normalny nie chce być tym, kim jest? Czy ty nie chcesz być chłopcem?

- Nie - szepnął Szymon.

- Czy twój tata nie chce być mężczyzną?

- No chyba nie.

- A ja, mogę cię zapewnić, że nie chcę być nikim innym niż twoją mamą. - Odstawiła na chwilę żelazko i podeszła do syna. - Wiem, że teraz wydaje ci się, że to koniec świata. Ale uwierz mi, tak nie jest. - Przytuliła go, zmierzwiła włosy i wróciła do pracy. - A teraz idź wyrzucić śmieci. Wiesz, że ojciec nie lubi, jak się piętrzą pod zlewem.

I to tyle z ich rozmowy. Rozkaz matki musiał wypełnić, inaczej spotkałaby go surowa kara. Wiedział, że nie ma sensu z nią zadzierać, bo nigdy się w takim starciu nie wygrywa. Przekonał się na własnej skórze, a także widział, jak wielokrotnie ojciec podwijał ogon i odpuszczał. Ale w przypadku Basi nie mógł odpuścić.

Jako pierwsza osoba w jego życiu nie oceniała go przez pryzmat tego, co spotkało go w okresie niemowlęcym. Przecież nie miał wpływu na to, że kiedyś go porwano, a mimo to wiele dzieciaków zwracało się do niego „Szymanek-porwanek”. Nawet nie pamiętał, kto wymyślił to wstrętne przezwisko, ale towarzyszyło mu przez całą podstawówkę, a później nawet i w liceum. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzi to tak śmieszyło. Poza tym dzieci co chwilę wymyślały jakieś straszne historie na jego temat. Na przykład że własna matka chciała się go pozbyć i wynajęła porywacza. Albo że swoim wyglądem przeraził porywaczy i go oddali. A w połowie podstawówki, gdy znacząco odbiegał wagą od reszty dzieci, ktoś rzucił, że został uwolniony, bo zjadł swoich porywaczy.

Dlatego tak ważne miejsce w jego sercu zajmował Bartek, jak zaczął o nim myśleć.

- Nie przejmuj się tym. To głupki. Nie znają cię i nie wiedzą, jaki jesteś spoko gość - powiedział przyjaciel, raz po raz dynamicznie uginając i prostując nogi w kolanach, jednocześnie pochylając się i prostując w biodrach. Jak zwykle próbował rozbujać się wyżej niż Szymon, lecz nie miał z nim szans. Gdy w końcu udawało mu się rozbujać, latał najwyżej. Tylko w tej jednej sytuacji swoją wagę mógł traktować jako zaletę.

- Tylko po co to robią? Nic im nie zrobiłem - pytał płaczącym głosem.

- To są tępaki. Z nimi nic nie zrobisz. Słyszałem kiedyś, jak tata powiedział, że debil na zawsze zostanie debilem, i z nimi tak jest.

- Nie powinieneś tak mówić - rzucił i poczuł, że to nie jego słowa. Robił się jak jego matka, która strofowała go przy każdej okazji.

- Może i tak, ale co z tego? Franek i Miłosz to głupki. Nikt ich nie lubi. Każdy, kto się z nimi kumpluje, robi to ze strachu, więc uwierz mi, nie ma co się tym stresować.

- Tak, ale za nimi powtarzają inni.

- Ale tak nie myślą, robią to ze strachu - powtórzył.

I tak zazwyczaj wyglądały ich rozmowy. Basia zawsze stanowiła dla niego podporę i odskocznię od codzienności, w której nie miał lekko, więc teraz on chciał zrobić to samo dla Bartka. Dlatego zakazu matki nie potraktował poważnie. Pierwszy raz w życiu robił coś wbrew jej woli - czy raczej rozkazowi. Raz na jakiś czas umawiał się z przyjaciółką, co wymagało nie lada sztuczek, bo matka kontrolowała każdy jego ruch. Niestety z czasem widywali się coraz rzadziej, aż pewnego dnia dowiedział się najgorszego. Basia nie żyła. Nie zdążyła zostać Bartkiem.

Szymon dotknął małego tatuażu na ramieniu, który zrobił sobie wiele lat temu. Motyl zdążył już delikatnie wyblaknąć, ale mimo to jego bliskość zawsze mu pomagała. Dawała mu ukojenie. Wtedy nie mógł zrobić zbyt wiele dla Bartka, jednak teraz wiedział, jak pomagać osobom podobnym do przyjaciela.

Spojrzał jeszcze z odrazą na zwiotczałą skórę na brzuchu i cyckim niczym u kobiety, po czym włożył koszulę. Nie udało mu się wyprasować jej tak idealnie, jak zrobiłaby to matka, ale miał nadzieję, że tym razem nie przyczepi się, gdy wejdzie do gabinetu. Te jej ciągle docinki - „Tylko fleje chodzą w takich koszulach” albo „Niby taki poważny, a wygląda jak małe dziecko” - dobijały go. I może by to zaakceptował, gdyby później nie wpadała bez zaproszenia do jego mieszkania i nie prasowała wszystkich jego rzeczy, łącznie z majtkami. Tylko skarpetki odpuszczała. Oczywiście doprowadzała tym do szału jego żonę, Ięgę.

Z jednej strony nienawidził tego. Tej jej wszechobecnej kontroli, tego wciskania nosa w każdy aspekt jego życia. Wkurzało go to niemilośnie, ale zarazem nie miał w sobie na tyle siły, żeby wreszcie

tupnąć nogą i powiedzieć „dość!”. Dlatego lata temu zaakceptował ten stan rzeczy i teraz już nie zamierzał nic z tym robić. Matka była, jest i będzie stałym elementem jego życia. Nie tylko tego prywatnego, ale również zawodowego.

Gdy zaczął wspominać o swoim własnym gabinecie, o którym marzył od zawsze, od razu rzuciła:

- Pomogę ci.

- Mamo, dam sobie radę.

- Możliwe, ale chętnie zajmę się umawianiem klientów, sprawami formalnymi i księgowością. Wiesz, że od dawna chcę odejść ze szkoły, i to jest rozwiązanie, którego szukałam - skomentowała z uśmiechem na twarzy.

- Daj mi się chwilę zastanowić.

- Dobrze - odpowiedziała.

I tyle. Może gdyby ktoś obserwował ich z boku, uznałby kwestię współpracy za otwartą i do przedyskutowania, ale w przypadku ich relacji oznaczało to coś zupełnie innego. Wiedział, że decyzja zapadła. Tydzień później matka wybrała już lokal oraz architektkę wnętrz, która miała z surowych ścian stworzyć przytulne gniazdko do zwierzeń.

Na początku trochę dziwił się, że matka koniecznie chce z nim pracować. Z uporem maniaka powtarzała wszysktem dookoła, że jej syn rozmawia z ludźmi i tym poprawia im humor. Mimo że wielokrotnie prosił, aby nie podchodziła tak lekko do wykonywanego przez niego zawodu, nie przeszkadzało jej to w rezygnacji z pracy i organizowaniu mu życia po raz nie wiadomo już który.

Szymon spojrział jeszcze raz na swoje odbicie w lustrze i nie znajdując w nim zadawalającego widoku, odwrócił się w stronę drzwi. Zgarnął jeszcze teczki klientów, z którymi planował się spotkać tego dnia, i wyszedł z mieszkania. Szykował się kolejny trudny dzień, choć liczył, że skończy się on poprawą humoru, jak mawiała matka, u którejś z odwiedzających go osób.

## Rozdział 3

## Szymon

Szymon Trojanowski powoli wszedł na klatkę schodową prowadzącą do swojego gabinetu i mimo że dzieliło go od niego kilka pięter, już słyszał podniesiony głos jakiegoś mężczyzny i stanowcze odpowiedzi swojej matki.

- Proszę pana, to tak nie działa. To nie byle jaki gabinet. Prowadzi go mój syn. Tutaj trzeba się umawiać.

- Ale ja muszę się z nim spotkać. Inaczej ja... - Mężczyzna zawiesił głos.

- Tylko bez gróźb. Nie pan jeden ma problemy. Każdy je ma. A teraz proszę usiąść i ochłonać. Zaraz się panem zajmę i ustalimy termin spotkania.

- Ale ja muszę...

Kobieta nie dała mu skończyć.

- Nie będę z panem dyskutować. Proszę siadać i się uspokoić.

W tym momencie Szymon popchnął drzwi, na których wisiała tabliczka:

SZYMON TROJANOWSKI

PSYCHOLOG

PONIEDZIAŁEK - PIĄTEK, GODZ. 10:00 - 21:00

TELEFON: 501 499 9773

Wszedł do środka i zerknął na mężczyznę, który chwilę wcześniej został spacyfikowany przez jego matkę jak małe dziecko, które chciało wziąć ze stołu cukierek, ale dostało po łapkach. Co najśmieszniejsze, słysząc rozmowę z za drzwi, spodziewał się jakiegoś chudego, wymizernionego człowieka, który łatwo poddałby się jego rodzicielce, ale po raz kolejny złapał się na tym, że nawet on, wykwalifikowany psycholog, stosuje filtry. Filtry, które powodują, że podświadomie zakładamy pewne rzeczy. Tak stało się i tym razem.

Na jednym z ustawionych pod ścianą czarno-białych krzeseł siedział niezwykle przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna. Jego muskularne ciało podkreślał perfekcyjnie skrojony garnitur, a na nogach miał nienagannie wypastowane buty. Szymon odruchowo spojrzął na swoje.

Gdy wychodził z domu, wydawało mu się, że wyglądają równie schludnie jak obuwie potencjalnego klienta, ale teraz wiedział, że się pomylił. Poczuł delikatny ucisk w brzuchu. „Jak nic matka się do tego przyczepi”, pomyślał.

- Dzień dobry - powiedział i delikatnie kiwnął głową na powitanie.

- Ja do pana. - Mężczyzna szybko wstał i podszedł do psychologa. - Muszę z panem porozmawiać.

- Ale nie umówił się pan wcześniej - wtrąciła matka władcym głosem, jak zwykle, gdy miała do czynienia z kimś, kto jej nie słuchał.

- Nie ma problemu. Jestem dzisiaj wcześniej, więc zdążę pana teraz przyjąć - powiedział Szymon i od razu skierował się do swojego biura, ignorując siedzącą za biurkiem kobietę. Momentalnie poczuł się lepiej. Taka mała rzecz, a dawała tak dużą satysfakcję. - Proszę tylko dać mi chwilę - rzucił i zniknął w swoim królestwie.

Po pięciu minutach uchylił drzwi do gabinetu i zaprosił mężczyznę, nadal nie patrząc na matkę. Wiedział, że śle w jego kierunku gromy, ale nie interesowało go to. Czuł wewnętrzną potrzebę pokazania wyższości. Zdawał sobie sprawę, że przy najbliższej okazji kobieta ściągnie go na ziemię i ustawi w szeregu, ale teraz delektował się chwilą.

- Proszę usiąść i opowiedzieć, co pana do mnie sprowadza. - Ruchem ręki wskazał na wygodny szezlong, który wybrała jego żona. Tylko na to pozwoliła jej jego matka, twierdząc, że skoro nie będzie pracowała w gabinecie, nie ma prawa do wyboru elementów wystroju.

- Ja... - zaczął mężczyzna i od razu się zaciął. - Ja nigdy nie...

- Proszę spokojnie. Nikt pana nie popędza.

- Wiem, ale... - Nagle wstał. - Ja chyba nie chcę - rzucił i ruszył w stronę drzwi.

- Nie ma się pan czego wstydzić - powiedział Szymon. Mężczyzna momentalnie stanął, mimo że rękę miał już wyciągniętą w stronę klamki. - Wizyta w miejscu takim jak to raczej nie uchodzi za oznakę męskości. Pewnie nieraz pan słyszał, że tylko nienormalni odwiedzają gabinety psychologiczne, ale tak nie jest. Praca nad sobą, nad swoimi problemami świadczy o dojrzałości. - Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na Szymona zrezygnowanymi oczami. - Może pan jednak usiądzie? Proszę powiedzieć, w czym rzecz.



- Dobrze. Znalazłem pana wizytówkę w torebce mojej partnerki, więc pomyślałem, że jest pan dobry. Ona bardzo chce, żebym zrobił coś z tym stresem, który mnie zabija, ale nawet jej nie powiedziałem, że się do pana wybieram. To ma być niespodzianka. Taka dość nietypowa.

- A co dokładnie się dzieje?

- Nie mogę spać. Budzę się w nocy zlany potem. Śnią mi się spotkania służbowe, na których szef mnie gnębi, mimo że dla nikogo nie pracuję.

- Często się to zdarza? - dopytywał zaniepokojony.

- Nie. Kilka razy miałem taki epizod.

- Coś jeszcze się wydarzyło niepokojącego?

- Nie. To znaczy... - Zawiesił głos.

- Proszę mówić.

- Ale to nie ma z tym nic wspólnego. Prowadzę kilka biznesów, zatrudniam wiele osób, za które czuje się odpowiedzialny. Aktualnie mój stres wynika tylko z pracy. Za dużo mam na głowie.

- Rozumiem, jednak musi pan wiedzieć, w jak zaskakujący sposób potrafi działać ludzki mózg. Wiele osób nie ma pojęcia, jak przewrotne mogą być mechanizmy jego działania. Na przykład przed pracą intelektualną bardzo wskazany jest ruch. Dlaczego? Bo kiedyś, gdy człowiek uciekał przed drapieżnikiem, musiał być bardzo skoncentrowany. Dlatego gdy zaczynamy się ruszać, wzrasta nasz poziom koncentracji.

- Nie wiedziałem.

- Mózg cały czas ma wiele nieodkrytych tajemnic. Ale wracając do sedna, co się wydarzyło, co według pana nie ma znaczenia?

- Ja... ja... chyba kogoś zabiłem.

## Rozdział 4

Karolina

„Świat niestety pełen jest ludzi takich jak Ty. Ludzi, którzy niepotrzebnie cierpią, zranieni przez innych. Zranieni przez osoby, które są niegodne życia. Dlatego chcę Ci pomóc. Znam kogoś, kto zabije mordercę Twojego ukochanego Janusza”.

Karolina Gruszecka, gdy pierwszy raz to przeczytała, ucieszyła się jak dziecko na małego pieska, o którym zawsze marzyło. Ale po chwili przyszła chwila refleksji: „A co w zamian będę miała zrobić?”.

Niestety aż trzy dni musiała radzić sobie z myślami galopującymi w głowie, która podpowiadała niestworzone pomysły. A może ktoś liczył na pieniądze w zamian za zabójstwo? W końcu kiedyś słyszała, że płatni mordercy występują nie tylko w filmach. Może ktoś wymyślił sobie, że będzie świadczył takie usługi zdesperowanym ludziom, których ktoś bardzo skrzywdził i którzy sami nie byli w stanie przekroczyć tej linii, odbierając komuś życie, lub najzwyczajniej bali się, że ich złapią. W końcu od razu trafiliby na listę podejrzanych.

Wyjaśnienie wraz ze szczegółami przyszło w kolejnym liście, w konsekwencji czego stała właśnie tutaj, w obcym domu. Ten wielki, bezosobowy salon, który mógł być tak radosnym miejscem, zionął smutkiem i samotnością. Zgodnie z informacjami, jakie znalazła w internecie, mieszkał tu czterdziestosześcioletni mężczyzna. Karolina nie wiedziała, co i komu zrobił, ale nie interesowało jej to. Nie chciała, żeby później nawiedzał ją w snach i groził, że powie wszystkim o tym, co zrobiła. Wolała o tym zapomnieć i jak najszybciej zamknąć ten rozdział raz na zawsze. Pomścić męża, ale zrobić to w sposób mądry, nienarażający jej dzieci na utratę drugiego z rodziców.

Powoli chwyciła przewieszoną przez ramię torbę i wyciągnęła dwie przygotowane wcześniej rzeczy, strzykawkę i zdjęcie. Było to zdjęcie mordercy jej męża, który oszczędzał na naprawach autobusów, którymi jej mąż woził ludzi. Tym samym narażał zdrowie i życie swoich pracowników, a także pasażerów. Pech chciał, że trafiło na Janusza.

Wtedy, w styczniowy poranek jej mąż punktualnie stawił się do pracy. Całą noc padał śnieg, a termometr pokazywał sporo poniżej zera. Jechał jak zwykle swoją ulubioną trasą, gdy hamulce odmówiły posłuszeństwa. Nie miał szansy, by wyjść z tego bez szwanku. Próbował jeszcze ominąć siedzącą na przystanku grupę młodzieży i z impetem uderzył w stojący przy drodze dąb, pomnik przyrody, na którego widok większość osób wzdychała z zachwytem. Karolinie jednak chciało się

wyć, gdy tylko go widziała. Kawał drewna, który odebrał jej radość, marzenia, chęć życia. Chwilę jej zajęło zrozumienie, że to nie to piękne drzewo jest winne, lecz pracodawca Janusza, zaślepiony żądzą pieniądza.

Jeszcze raz popatrzyła na twarz tego skurwiela i poczuła, jak krew w żyłach krąży jej coraz szybciej. Pewnym krokiem ruszyła do pokoju, gdzie spał niczego nieświadomy mężczyzna, który miał być jej celem.

Ktoś, kto to wszystko zaplanował, zrobił to doskonale i znał każdy detal z jego życia. Nie dość, że w umówionym miejscu leżały klucze, to alarm nie został uzbrojony, a dodatkowo ofiara jak co wieczór pochłonęła tonę tabletek nasennych. Zadanie Karoliny polegało tylko na odebraniu życia. TYLKO.

Jej mózg mówił, żeby uciekała jak najszybciej, ale serce oponowało z całą stanowczością. Mogła w końcu pomścić męża. Może nie wprost, ale wiedziała, że już niedługo ten skurwiela, który pozbawił jej dzieci ojca, też zginie. Dodatkowo nikt nie będzie mógł jej z tym połączyć, tak samo jak nikt nie powiąże jej ze śmiercią faceta śpiącego teraz spokojnie za drzwiami, których klamkę zaraz zamierzała nacisnąć.

Ten plan był wprost idealny. I chyba tylko ta myśl popychała ją do przodu. Nacisnęła powoli kawałek metalu, który dzielił ją od celu. Popchnęła drzwi i wtedy go zobaczyła. Leżał na plecach na ogromnym łóżku i nieświadomy zagrożenia spał sobie, raz po raz pochrupując. Podeszła bliżej. Światło księżyca padało na jego twarz. Nie wyglądał jak morderca, gwałcieciel czy porywacz. Raczej normalny, nawet trochę przystojny gość, któremu powiodło się w życiu, skoro mieszkał w takim domu.

- Skup się - powiedziała bezgłośnie sama do siebie.

Wzięła głęboki wdech i już miała wbić strzykawkę w jego ramię, zgodnie z poleceniem z listu, gdy zobaczyła leżący na stoliku obok łóżka talerz z resztkami jedzenia, a na nim nóż. Wyglądał na bardzo ostry. Sama siebie zaskakując, schyliła się po niego i najciszej, jak umiała, podniosła. Delikatnie dotknęła jego ostrza, a z jej palca pod naciskiem ostrego niczym brzytwa metalu momentalnie popłynęła krew. Poprawiła przewieszoną przez ramię torbę i chwyciła nóż oburącz.

Patrzyła na mężczyznę i poczuła narastającą odrazę do niego. Każda komórka jej ciała krzyczała: „Ten skurwiela nie zasługuje, by żyć!”. Jej

obecność tutaj oznaczała, że facet kogoś skrzywdził, podobnie jak właściciel firmy przewozowej. Dlatego dobrze wiedziała, że zasługiwał na jedno. Śmierć. A ona mu ją przyniosła.

Zamachnęła się mocno i zanurzyła ostrze w jego brzuchu. Najpierw raz, potem drugi i trzeci, i kolejny. To, czego się najbardziej bała, nie nadeszło. Nie obudził się. Nie walczył z nią. Po prostu podskakiwał rytmicznie jak laleczka, a z kolejnych ran tryskała krew, brudząc jedwabną pościel. Najpewniej nie najtańszą.

## Rozdział 5

### Szymon

- Jak można chyba kogoś zabić? - spytał Olaf Bogdański siedzącego po drugiej stronie barowego stołu kumpla i pociągnął łyk piwa.

Szymon Trojanowski średnio lubił ten trunek i wyjścia do obskurnych lokali, ale raz na jakiś czas dawał się wyciągnąć, żeby nie słuchać, jakim to jest pantoflem, który nie może wyjść nigdzie bez żony. Wiedział dobrze, że prawda jest inna. Mógł robić, co chce, jednak z własnej woli wybierał towarzystwo żony.

- Też tak sobie o tym pomyślałem, ale po jego wytłumaczeniach wygląda na to, że można. Zresztą nie powinienem ci tego mówić.

- Stary, umówiliśmy się kiedyś, że nasze rozmowy to taka terapia.

- Tak, ale ja już mam swoją.

- Tamta ci nic nie daje. Nigdy jej nie skończysz.

- To nie tak - powiedział Szymon i zacisnął pięść.

Nie znosił, gdy ktoś twierdził, że lepiej od niego wie coś, co dotyczy jego osoby.

- A jak?

- Ona mi pomaga, poza tym jest niekończącym się procesem. Podczas spotkań reagujemy na bieżąco na rzeczy, które zdarzają się podczas terapii moich klientów i nie tylko.

- Czyli nie pomaga, a rozmowa ze mną to inna sprawa. Ja zawsze rzeczowo i profesjonalnie ci doradzę.
- Ale ty nie jesteś psychologiem czy psychoterapeutą.
- Dlatego jestem w tym lepszy, bo nie ograniczają mnie żadne schematy, które stosujecie - odpowiedział Olaf z uśmiechem i pociągnął łyk piwa.
- Nie stosuję żadnych schematów. Skąd taki pomysł?
- Na bank tak samo rozmawiasz z ludźmi w depresji i z tymi, co są w żałobie.
- Może zanim zaczniesz się mądrzyć, poszedłbyś sam na jakąś terapię? Po pierwsze, bardzo by ci się przydała, po drugie, przekonałbyś się, że to zawsze jest pod pacjenta.
- No tak, zaczyna się... - westchnął. - A możemy wrócić do tematu? Jak można chyba kogoś zabić?
- No dobra, niechętnie, ale powiem, bo nie dasz mi żyć.
- Dobrze mnie znasz - odpowiedział Olaf z uśmiechem na twarzy i odruchowo przecesał dłonią mocno przerzedzone blond włosy.
- Facet twierdzi, że jakiś czas temu jechał samochodem i zadzwonił jego telefon. Na drodze panowały ciężkie warunki. Mgła, chyba padało i takie tam. Komórka wypadła mu z ręki i wleciała pod fotel, więc się schylił i nagle poczuł uderzenie. Szybko podniósł głowę, ale niczego nie zobaczył, więc pojechał dalej. Przez całą drogę nie mógł przestać o tym myśleć. Gdy dojechał w końcu do swojego domu, gdzie czekała na niego jego kobieta, cały drżał. Opowiedział jej, co się stało, i wrócili tam razem. Nic nie znaleźli na miejscu, ale na masce dopatrzyli się wklęśnięcia, a na zderzaku zaczepionych było kilka włosów.
- O matko. Brzmi jak w jakimś horrorze.
- Dokładnie. Ale żadnego ciała. Zupełnie nic. Przeszukali rowy przy drodze, okoliczny lasek i nic.
- A może ktoś zabrał ofiarę? - dopytywał Olaf.
- Twierdził, że sprawdził wszystkie ogłoszenia w lokalnej prasie i nic.
- To dziwne.
- I to bardzo.
- Czyli nie ma się czym przejmować.

- Niby tak, tylko skąd to wkleśnięcie i włosy na zderzaku? - rzucił Szymon i wypił kolejny łyk piwa. Powoli zaczynał czuć delikatne zawroty głowy wywołane procentami.

- Może wcześniej coś się stało.

- Twierdzi, że nic o tym nie wie. Ale w sumie ktoś mógł w niego uderzyć, gdy stał na przykład na parkingu.

- No, to faktycznie zagwozdka. - Olaf ponownie poprawił fryzurę ręką.

- Jakby mnie się coś takiego przytrafiło, chyba też miałbym stres. Chociaż facet upatruje źródło stresu raczej w swojej pracy, nie tym wydarzeniu.

- Stresować się można wszystkim. A jak ma jeszcze żonę, to komplet nieszczęść.

- Żony nie ma, ale za to ma mężatkę, która niby ma się niedługo rozwieść - wytłumaczył przyjacielowi Szymon.

- To ma komplet nieszczęść. Jeszcze powinien mieć twoją matkę jako teściową i mógłby wystąpić w programie...

Szymon szybko mu przerwał, nie chcąc słuchać docinków pod adresem rodzicielki.

- Strasznie śmieszne. Możesz zejść z mojej mamy?

- Ja nic do niej nie mam. - Olaf sięgnął po resztkę piwa i dopił je. - To jest do rany przyłoż kobieta, tylko stanowcza.

- Może czasami.

- Czasami? - prychnął mężczyzna, po czym chwycił dwa puste kufle i ruszył do baru. - Idę po jeszcze jedną kolejkę.

- Ja już dziękuję.

- Oj, przestań. Musisz trochę zluzować. Jesteś zbyt spięty. Zaraz opowiesz mi o Idze.

Szymon westchnął głośno i oparł brodę na rękach. O ile rozmawianie o jego matce drażniło go, o tyle rozmowy o Idze zwyczajnie wyprowadzały go z równowagi. Kochał i jedną, i drugą, ale miał wrażenie, że te uczucia w jakiś sposób go niszczą.

Ostatni rok jego małżeństwa składał się z pasma nieszczęść. Przeżyli dwa poronienia, które mimo braku jednoznacznej opinii lekarza żona zdecydowanie przypisała ułomności jego plemników. „Jak plemniki mogą być ułomne?“, zastanawiał się wielokrotnie, próbując nie słyszeć

płaczu Igi dochodzącego z pokoju gościnnego, gdzie przeniosła się w ramach jego kary.

Później doszły jeszcze problemy z jednym z klientów, a dokładniej z jego rodziną, gdy ten popełnił samobójstwo. Mimo że wkładał w swoją pracę całe serce, czasami terapia nie pomagała. Wiedział o tym, ale gdy pierwszy raz miało to tak tragiczne skutki, nie wytrzymał. Załamał się. Przez chwilę miał ochotę zamknąć gabinet i zająć się czymkolwiek innym. Na szczęście nie odpuścił i po miesiącu resetu wrócił. Ale nie dlatego, że dostał wsparcie od bliskich, lecz żeby im pokazać, jak bardzo się mylą, bo nie jest aż tak słaby, jak powtarzali mu na każdym kroku.

- Synku, wiem, że się starasz, ale może zajmij się czymś innym. Nie możesz tak przejmować się losem innych. To ci nie służy. Wiem, że nie jesteś już taki młody, ale mógłbyś pójść na architekturę. Dziadek Waldek bardzo by tego chciał - powtarzała jak katarynka, czym doprowadzała syna do szału.

- Mamo, błagam cię, odpuść. Ja nigdy nie pójdę na żadną architekturę. Mówię ci to od zawsze. Nie mam wyobraźni przestrzennej, jestem noga z matmy i guzik mnie to interesuje.

- Nie mów tak. Musisz coś zrobić ze swoim życiem. Może dzięki architekturze w końcu by ci coś wyszło.

Gdy usłyszał te słowa, odechciało mu się komentować. Poczł tylko wszechogarniającą bezsilność.

Na żonie też nie mógł polegać.

- Jak ktoś tak nieogarnięty może pomagać innym? Zaczynj może od siebie i swojej porąbanej rodziny zamiast uzdrawiać innych. Zresztą co ty sobie myślisz, że dobrym słowem komuś pomożesz? To twoje kładzenie ludzi na szeslongu coś im da?

- Gdy otwierałem gabinet, mówiłaś coś zupełnie innego. „Ale to cudowne. Będiesz pomagać ludziom” - próbował udawać jej głos, czym spowodował grymas na twarzy Igi. - A ten szeslong, którym tak gardzisz, sama wybrałaś.

- Pomyliłam się. Myślałam, że może jakoś sobie poradzisz z tym wszystkim, ale jak widać, przeliczyłam się w stosunku do ciebie. Zresztą nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz. Specjalista z ciebie żaden. Mężczyzna też. Chodząca kupa nieszczęść.

I mimo że Szymon wiedział, że topienie smutków w alkoholu nie jest najlepszym pomysłem, bo zazwyczaj tylko potęguje ból, ucieszył się na widok uśmiechniętego od ucha do ucha przyjaciela, który w takt muzyki płynącej z głośników szedł w jego stronę z dwoma kuflami wypełnionymi po brzegi piwem.

- To co, gotowy na dalszą część psychoterapii? - rzucił Olaf, zanim dotarł do ich stolika.

- A ty dalej swoje?

- Oczywiście oczywistość. Jesteś zdziwiony, jakbyś mnie nie znał. Jestem pierwszy do plotek, obgadywania i analizowania życia innych. Nie mam swojego, więc muszę żyć cudzymi.

- Chyba trochę przesadzasz.

- Może i tak, ale nie zmienia to faktu, że twoje życie jest dużo ciekawsze niż moje. No to dajesz. Jak twoja święta Iga?

- Nie będę nic mówił, jak będziesz robił takie głupie przytyki - powiedział z czystej przekory Szymon i spił piankę z piwa.

- Obiecuję być grzecznym i posłusznym chłopcem - wyrecytował Olaf, kładąc dwa palce na piersi. - Mów. Będziesz singlem czy nie? Wiesz, bardzo liczę na to, że w końcu będę miał się z kim umawiać na podwójne randki.

- Może zacznij najpierw od pojedynczej.

- Auć! - Olaf udał, że oberwał w brzuch. - To bolało.

- Sorry, ale taka jest prawda - skomentował Szymon.

- Może, ale nie o tym miało być. Mam już świętować czy kopać ci dół, do którego Iga prędzej czy później cię wpędzi?

- Nie wiem - westchnął psycholog. - Ja wierzę, że mamy co ratować i jeszcze będzie dobrze.

- Optymista.

- Może i tak, ale ja naprawdę ją kocham. Jest miłością mojego życia.

- Chyba nie. Blankę można tak nazwać. Iga jest jej marną namiastką. Już sam fakt, że nie przyjęła twojego nazwiska po ślubie, świadczy o tym, jaka z niej żona.

- Błagam, odpuść. Ja już mam dość. Liczyłem, że mnie wesprzesz i pomożesz, że chociaż ty będziesz podporą, a nie z każdej strony cios. Jak nie w ryja, to po plecach.

- No dobrze - powiedział Olaf i zmienili temat.



Szymon odetchnął, mogąc porozmawiać z przyjacielem o czymkolwiek innym. Miał już dość matki i Igi, zarówno w codziennych kontaktach, jak i jako postaci pojawiających się podczas rozmów.

## Rozdział 6

### Szymon

Od zawsze czuł, jakby żył w klatce. Jakby jego życie nie należało do niego. Jakby jego osobowość determinowało jedno wydarzenie z przeszłości. Dla wszystkich osób, które miały o tym jakiegokolwiek pojęcie, na zawsze został tym Szymkiem – Szymkiem, który został porwany.

Stanął w salonie swojej mamy przed gablotą upamiętniającą tamtą historię i oczekując na niedzielny obiad, rozmyślał, jak mogłoby wyglądać jego życie, gdyby nie to przypadkowe wydarzenie. Przecież porywacz mógł wybrać kogoś zupełnie innego. Czy wtedy matka dałaby mu żyć normalnie? Pozwalałaby się bawić z kolegami na podwórku? Jeździć z klasą na wycieczki? Chodzić na imprezy? Po prostu żyć i brać z życia pełnymi garściami? Nie, on nigdy nie mógł tego doświadczyć, a wszystko przez zdarzenie, którego zupełnie nie pamiętał. Miał przecież wtedy niespełna tydzień. Oczywiście na każdym kroku przypominano mu o tym, więc z czasem zaczął o tym myśleć jak o czymś, w czym jednak brał udział. Oczami matki, ciotek, które z drugiej ręki miały informacje, widział porywacza, swój pokój, z którego został wyciągnięty, a uczucia, które tarposiły matką, znał na wylot.

Raz na jakiś czas wpadała w łzawe stany i potrafiła godzinami opisywać praktycznie sekunda po sekundzie ich rozłąkę i to, co się wtedy dokładnie działo. Mówiła o tym, jak krzyczała, gdy zobaczyła puste łóżeczko. O milicjancie, który go szukał. O tym, jak całe miasteczko brało udział w poszukiwaniach, mimo że trwały wakacje i ci ludzie mogliby robić coś zupełnie innego.

Konsekwencją tamtych zdarzeń była nieznająca granic nadopiekuńczość kobiety. Gdy jeszcze żył ojciec, czasami w tajemnicy przed matką udawało mu się zrobić coś z niekończącego się wachlarza rzeczy zakazanych. Pograł z tatą w piłkę lub oglądali w tajemnicy bajkę, której ona nie akceptowała. Jednak nagle wszystko się skończyło. Ojciec umarł, a matka zamknęła go w swego rodzaju klatce. Najchętniej nie puszczałyby go nawet do szkoły, ale nie zdecydowała się na to tylko dlatego, że miałyby przez to problemy.

Ingerowała w to, co robił, co i ile jadł (a według jej norm z reguły jadł zdecydowanie za mało), a także, co najbardziej go denerwowało, z kim się spotyka. Nie tylko Basi nie lubiła. W sumie nikogo nie akceptowała. W każdym potrafiła znaleźć jakieś wady.

- Szymonku, mówiłam ci tyle razy, że nie możesz iść do Marka. Ja teraz mam dużo pracy w domu i nie mogę was pilnować. Muszę posprzątać i zrobić kolację. Zresztą możesz mi w tym pomóc.

- Mamo, ale ja już wszystko zrobiłem. Proszę. Przecież on mieszka w klatce obok - nie odpuszczał chłopiec.

- Nie ma takiej możliwości. Poza tym znowu masz ataki kaszlu i nie wiem, czy nie będziesz chory.

- Ale ja kaszlnąłem może ze dwa razy.

- W nocy mocno kaszlałeś, przez sen, to raczej nie słyszałeś. Zaniepokojona przyszłam do ciebie, więc wiem. I nie dyskutuj ze mną. Poza tym Marek ostatnio brzydko na ciebie mówił, więc po co ci taki kolega?

- Że jestem grubą świnią? Wszyscy tak mówią. - Wzruszył ramionami i sięgnął po stojące na stole ciasto. - Ja już się tym nawet nie przejmuję.

Kłamał. Zawsze się tym przejmował. Każda obelga skierowana w jego stronę bolała jak kopniak, jak rana, którą ktoś posypuje solą. Szymona spotykało to na każdym kroku. Jego codzienność przygnębiała go i raniła. Wiele razy myślał, żeby zniknąć. Żeby jak Basia stać się motylem i robić, co chce. Być wolnym jak ptak i nie martwić się o innych. Teraz, o niemal trzydzieści lat starszy, często miał podobne myśli. Jedynie martwienie się o klientów dawało mu wytchnienie, dawało mu chwile, dzięki którym czuł się ważny. Czuł, że jest komuś potrzebny, ale w taki budujący sposób, a nie tak jak matce, dla której

po śmierci ojca stał się najważniejszą, a czasami miał wrażenie, że wręcz jedyną osobą, dla której chce żyć.

- Siadaj już. - Z rozmyślań wytrącił go władczy głos matki. Jak zwykle nie pozwalała mu w niczym pomagać, powtarzając, że jej synek ma dwie lewe ręce do gotowania. - Wszystko jest już gotowe, więc gdzie jest Iga?

- Nie przyjdzie dzisiaj - odpowiedział cicho.

- Jak to? Przecież co tydzień jemy razem. Ostatnio chorowała, wcześniej wyjechała.

- Wiem. Jednak ona... - zawiesił głos, bojąc się powiedzieć prawdę.

- No mów.

Matka stanęła pół metra od niego i patrzyła tymi swoimi wylupiastymi oczyma, które w jej chudej twarzy wydawały się jeszcze większe. Szymon czuł, że kurczy się pod ich wpływem. Robi się coraz mniejszy i mniejszy. W ustach robi mu się sucho, a ręce mimowolnie zaczynają drżeć. Tylko matka umiała wywołać w nim taki stan.

- Chwilowo się wyprowadziła - wydusił w końcu.

- Jak to wyprowadziła? To niedorzeczne. Jest twoją żoną, ma się tobą opiekować, a ona co?! - Gwałtownie wciągnęła powietrze i mocno zacisnęła usta, jakby chciała zanurkować. - Mówiłam ci od samego początku, że to nie materiał na żonę. Może dla jakiegoś robota, ale nie dla kogoś takiego jak ty. Ona nie potrafi się dla nikogo poświęcić, tylko żąda od innych Bóg wie czego.

- Mamo, ja ją kocham...

- Miłość jest ślepa. Niestety. Kiedy zamierza wrócić?

- Mam nadzieję, że jak najszybciej.

- Oby - rzuciła. - Przecież to nie przystoi, żeby małżeństwo nie mieszkało razem. Znając życie, to sąsiedzi już gadają.

- Robię wszystko, aby wróciła - westchnął i sięgnął po ziemniaki.

Wiele by dał, żeby Iga siedziała z nimi przy stole, mimo że później dąsałaby się przez całe popołudnie, powtarzając, że jego matka jest wysłanniczką diabła. Ale i tak wołałaby to niż świadrujące spojrzenie matki.

# Rozdział 7

## Szymon

Szymon Trojanowski usiadł w wygodnym fotelu i popatrzył na siedzącego naprzeciwko niego mężczyznę. Pięćdziesiąt siedem lat, szczupły, wręcz wyżyłowany. Na jego lewym policzku lśniła dziwnego kształtu blizna, podobno ślad po drucie, który przebił policzek, gdy jako dziecko biegł przy ogrodzeniu i nie zauważył wystającej końcówki.

Sprawiał wrażenie bardzo sympatycznego i miłego człowieka, jednak jak tylko otwierał usta, czar pryskał. Z jego słów zionęła taka nienawiść i wrogość do całego świata, z jaką Szymon rzadko się spotykał.

- Pan nic nie rozumie. Przez nią wszystko straciłem. Zawsze miałem zaplanowany każdy element mojego życia. Jak w dużej układance. Wszystko do siebie pasowało, wszystko działało w idealnej równowadze, aż do czasu, gdy trafiłem na nią. I wtedy straciłem wszystko.

- Panie Jakubie, ale ta kobieta nie działała chyba na pana niekorzyść. Nie taki cel jej przyświecał.

- Nie interesuje mnie to, jaki miała cel, ważne jest to, co w wyniku jej błędu się stało. Zostałem z niczym. Po diagnozie, którą mi postawiła, rzuciłem wszystko. Zrezygnowałem z pracy. A wie pan, co robiłem?

- Nie, nie wiem - odpowiedział Szymon.

- Pracowałem jako dyrektor regionalny, podlegały mi setki agentów. Pracowałem na to latami. Kształciłem się. Wchodziłem w dupę, komu trzeba. Zapierdalałem jak...

- Proszę bez przekleństw.

- Przepraszam, ale nie jestem w stanie zapanować nad emocjami.

- Wiem, dlatego właśnie pan tu jest.

- I dlatego, że pierwszy raz w życiu coś źle zaplanowałem. Projekt „własna śmierć” spalił na panewce.

- I bardzo dobrze. Ale wróćmy do pana życia, tego przed tym wszystkim. Czym dokładnie się pan zajmował?

- Zaczynałem od sprzedaży nieruchomości, ale nie realizowałem się w tym. Wiem, że można na tym nieźle zarabiać, ale oczekiwałem od życia czegoś innego. Zacząłem sprzedawać ubezpieczenia, a z czasem fundusze inwestycyjne. Odnajdywałem się w tym, czułem się jak ryba w wodzie. Napędzałem wiele osób do działania. Pomagałem i doradzałem, zarówno moim klientom, jak i pracownikom. Dzięki tej pracy regularnie oszczędzałem. Kupiłem fajne mieszkanie w centrum, a z miesiąca na miesiąc moje oszczędności rosły, aż do chwili, gdy ta durna baba się pomyliła.

- Rozumiem, że się panu powodziło.

- Powodziło to mało powiedziane. Byłem na fali. Okej, nie miałem zbyt dużo czasu na konsumowanie tego, co zarabiałem, ale planowałem za dwa, trzy lata trochę zwolnić.

- Widzę, że plan to podstawa pana życia.

- Tak, i to chyba dobrze? Większość ludzi w ogóle nie zarządza swoim życiem. Żyje z dnia na dzień i na końcu nie ma niczego. Wszystko przewala na jakieś głupoty. Zawsze gardziłem takim podejściem, więc gdy mnie to dopadło, załamane się. Nie wiem, jak mogłem dopuścić do tego, żeby tak lekkomyślnie wszystko stracić.

- Z tego, co przeczytałem w ankiecie, to wyjechał pan na prawie pół roku i zwiedzał w tym czasie świat. Bawił się. Większość osób raczej by się z tego cieszyła - skomentował zdziwiony Szymon.

- Tak, ale ja miałem umrzeć. To miała być forma pożegnania. Najpierw miało to trwać maksymalnie trzy miesiące. Tyle mi dawała ta lekarka. Wszystko się jakoś przeciągało. Gdy po sześciu miesiącach ja cały czas chodziłem po tym świecie i czułem się całkiem nieźle jak na umierającego człowieka, wróciłem do Polski i poszedłem do tej baby. I wie pan, co ona mi powiedziała? Że nie jestem chory. Nie umrę. To znaczy, kiedyś to tak, ale nie teraz.

- To chyba dobra wiadomość.

- Nie! - krzyknął mężczyzna, aż Szymon lekko podskoczył przestraszony. - Nie dla mnie. Ja już pogodziłem się ze śmiercią. Wyczekiwałem jej. Tak zaplanowałem. Sprzedałem wszystko. Chciałem umrzeć na rajskiej plaży lub w Tokio, jedząc sushi. Miało być spektakularnie. Nawet założyłem blog, żeby to wszystko opisywać.

Nazwałem go „Ostatnia droga” i czuję się jak oszust. Okłamałem tych wszystkich ludzi, którzy mnie czytali.

- Panie Jakubie, chyba nikt nie będzie miał tego panu za złe. To dobra nowina, że pan żyje.

- Oj, nie. Nie dla wszystkich. Dostałem mnóstwo wiadomości w stylu „jesteś oszustem”, „miałeś umrzeć, jesteś potworem, nie można tak bawić się ludźmi”, „wspieraliśmy cię, wysyłaliśmy kasę na twoją ostatnią drogę, a ty nas oszukałeś”...

- Nie może pan brać takich tekstów do siebie. - Szymon próbował uspokoić coraz bardziej nakręcającego się klienta. Miał wrażenie, że jest on jak lawina, która z sekundy na sekundę nabiera coraz większej prędkości.

- Ale to prawda. Oszukałem ich! - krzyczał coraz głośniejszym głosem. - Miałem odejść. A na dodatek, gdy kończyły mi się fundusze, poprosiłem ich o małe wsparcie. Zebrałem na portalu crowdfundingowym...

W tym momencie psycholog przerwał mu pytaniem:

- Gdzie?

- To takie specjalne miejsce w internecie, gdzie można zbierać fundusze na różnego rodzaju projekty. Ja potrzebowałem dwadzieścia tysięcy i je zebrałem. Mieszkałem wtedy na rajskiej plaży i nie miałem już pieniędzy, a chciałem jeszcze chwilę zostać i tam umrzeć. Niestety tak się nie stało. Pożyczyłem kasę jeszcze od brata i wróciłem do kraju, wtedy bez umawiania się na wizytę podreptałem do tej baby. Gdy się okazało, że będę żyć, znowu musiałem się uśmiechnąć do brata. Pożyczyłem dokładnie dwadzieścia tysięcy i wpłaciłem na hospicjum. Chciałem się jakoś zrekompensować tym ludziom, którzy wpłacili na moją akcję, bo im samym nie mogłem oddać.

- I to nie pomogło?

- Niestety nie wszyscy byli zadowoleni. Doszukiwali się drugiego dna.

- To wszystko spowodowało, że chciał się pan zabić?

- Miałem tego dość. Zostałem bez pieniędzy, bez perspektyw na pracę. Spaliłem za sobą wszystkie mosty. Niestety powiedziałem paru osobom o kilka słów za dużo. Teraz nikt w branży już mnie nie zatrudni. Sprzedałem wszystko, co miałem, wypłaciłem całe oszczędności i przewaliłem je co do ostatniego grosza. - Zrobił chwilę przerwy i

uśmiechnął się pod nosem. – To trzeba być bezmózgim debilem, żeby roztrwonić tyle kasy w pół roku. Na niczym nie oszczędzałem. Spałem tam, gdzie chciałem. Leciałem, gdzie palec spadł mi na mapę. Słowo „jutro” przestało dla mnie istnieć.

– Chyba się to panu podobało.

– Ale nawet jeżeli tak, to co z tego?! – krzyknął. – Zostałem z niczym. Mój plan na życie legł w gruzach przez jedną niekompetentną kretynekę.

## Rozdział 8

### Kamil

Spojrzał na zegarek i z przerażeniem stwierdził, że zostały tylko cztery minuty. Równo o siedemnastej w głównym wyjściu ze Szpitala Zachodniego w Grodzisku Mazowieckim miała pojawić się kobieta ubrana w czarny płaszcz i z przewieszoną przez ramię granatową torbą.

Kamil Bednarczyk poprawił czarną czapkę z daszkiem i wysoki kołnierz, aby nikt go nie zapamiętał, i wbił wzrok w drzwi, jakby chciał spowodować, że się w nich nie pojawi. Liczył na to, że okoliczności spowodują, że nie będzie w stanie zrealizować zadania, do którego się zobligował. Zobligował – to słowo rezonowało mu w głowie, brzmiało jak tykanie zegara na ostrym kacu. W sumie to sam nie wiedział, co by się stało, gdyby tego nie zrobił. Nikt chyba by go nie skrzywdził. No, jego życiowy cel na pewno by się nie spełnił i ten buc nadal by chodził po ziemi. To przez niego wszystko stracił. Wszystkie życiowe plany i marzenia odeszły. A w sumie nawet i więcej, bo jego żona Magda nie wytrzymała depresji, w którą wpadł. Niby przysięgali sobie być ze sobą na dobre i złe, ale jak przyszło złe, to po prostu zniknęła.

I teraz miał szansę w końcu się od tego uwolnić. Jak za dotknięciem magicznej różdżki sprawić, aby jego problem zniknął raz na zawsze, chociaż żona, zanim odeszła, powtarzała wielokrotnie:

- Problemem nie są inni, ale ty. To ty zawalasz projekty i powodujesz, że nie wybierają twoich prac - powiedziała podczas jednej z kłótni.

„Jak ona się myliła”, pomyślał teraz. Według Kamila żona nie mogła zrozumieć, że nie jeśli nie ma pleców, nikt nie wybiera jego, dlatego tak bardzo potrzebował wsparcia jej ojca, który miał mnóstwo znajomości.

- On już ci nie pomoże. Zawiodłeś go zbyt wiele razy. I w sumie to się nie dziwię. Problemem nie są oni, inni, ci państwo - wypowiadała te słowa ze słyszalną wrogością - lecz ty. Jesteś nieudacznikiem. Przestań w końcu marzyć i zrób coś.

- Przecież robię.

- To ja robię. Zapieprzam całymi dniami, abys ty mógł się realizować.

- Przecież ci powtarzam, że jak w końcu mi się uda, będziemy ustawieni na lata.

- Ty naprawdę z choinki się urwałeś, skoro myślisz, że wybudowanie jednego małego osiedla czy remont ratusza zmieni nasze życie... Przecież to trzeba cały czas zapierdalać, robić coś nowego, a obwiniając cały świat za swoje niepowodzenia, nigdy niczego nie osiągniesz.

- Tak, wiem, ale gdyby twój ojciec mnie wsparł ten ostatni raz, miałbym szansę się rozwinąć.

Takie rozmowy prowadzili średnio dwa czy trzy razy w tygodniu. Rozmowy, które nic nie dawały. Oczywiście Magda miała trochę racji w tym, że jednym projektem nie zmieniliby ich życia, ale później wszystko potoczyłoby się z górki. Potrzebował efektu kuli śnieżnej i dobrze wiedział, kto stoi na drodze do jego szczęścia.

Łukasz Nawrocki. Najbardziej obrotny ze znanych mu architektów działających na Targówku. Znał każdego i podobno każdy chciałby, aby coś mu zaprojektował. Tylko problem polegał na tym, że jego realizacje wcale nie powalały. Nie raz, nie dwa, gdy Kamil analizował jego projekty, dostrzegał liczne błędy, a mimo to tamten wygrywał przetargi, doprowadzając go tym na skraj załamania psychicznego. To przez niego stracił marzenia, perspektywy rozwoju, a nawet rodzinę. Nienawidził gościa całym sobą. Na myśl o nim dłonie zaciskały mu się automatycznie w pięści, a paznokcie wrzynały w wewnętrzną część



dłoni. Wielokrotnie wizualizował sobie, jak potrąca go swoim samochodem lub zrzuca w przepaść z klifu, dlatego gdy dostał tajemniczy list, wiedział, że to impuls, którego od jakiegoś czasu potrzebował.

„Wiem, że jest Ci ciężko, dlatego chcę Ci pomóc. Rozwiążę Twój problem. Wyeliminuję Łukasza Nawrockiego i w końcu będziesz mógł rozwinąć skrzydła”.

Czytał te słowa wielokrotnie i wyobrażał sobie zarówno chwilę triumfu zawodowego, jak i śmierć człowieka, którego tak nienawidził. Zadowoloną minę Magdy, która wraca do niego i przeprosza za swój brak wiary w niego. Uściski i gratulacje od teścia, który nie może przestać zachwycać się nad jego osiągnięciami. No i jeszcze artykuły w gazetach ze zdjęciami z otwarcia odrestaurowanego gmachu sądu czy z budowy sporej wielkości osiedla.

Widział również leżącego na podłodze w kałuży krwi mężczyznę, do którego raz po raz strzela z pistoletu. Innym razem potrąca go na pasach. Mężczyzna zostaje wyrzucony w powietrze i z impetem uderza o asfalt. W lusterku widzi, że jeszcze się rusza, więc wrzuca wsteczny bieg i ze sporą prędkością się cofa. Zwalnia, gdy czuje pod kołami nierówności. I nie dlatego, żeby zmniejszyć jego cierpienie, ale dlatego, żeby dłużej delektować się chwilą.

Nie przyznał się do tych myśli nawet swojemu psychologowi.

## Rozdział 9

### Szymon

Nigdy nikomu tego nie powiedział. Idze - bo zrobiłaby się jeszcze bardziej zazdrosna. Matce - boby go wyśmiała i kazała przestać. Olafowi - bo czuł, że przyjaciel by nie zrozumiał.

Raz na kilka miesięcy wyciągał ukrytą w szafce płytę i oglądał film, który dawno temu sam zmontował ze zdjęć i filmików, które gdzieś się zachowały. Nie wyglądał on na produkcję rodem z Hollywood, ale dla

Szymona miał niesamowity ładunek emocjonalny. Dzięki niemu mógł przenieść się w czasie i być z nimi. Z trzema osobami, które kochał całym sercem, a które tak nagle zniknęły z jego życia.

Jako pierwszy opuścił go ojciec. Tylko dzięki niemu Szymon czasami mógł liźnąć normalnego życia. Bez kontroli na każdym kroku, ciągłego komentowania jego zachowania i zabrania praktycznie każdej aktywności, na której spędzali czas jego rówieśnicy. Ale niestety nagle tata zniknął. Poszedł do szpitala niby na rutynowe badania, ale nigdy już z niego nie wyszedł. Szymon nie mógł się z tym pogodzić. Na dodatek sytuacja rodzinna nie sprzyjała przeżywaniu żałoby. Od zawsze wiedział, że matka średnio lubi się z siostrą taty, ale na pogrzebie konflikt sięgnął zenitu.

- To przez ciebie Mirek nie żyje. Mogłaś pozwolić mu odejść, ale nie. Wolałaś jak zwykle postawić na swoim. I po co ci to było?! - krzyczała na cały głos siostra taty. Szymon stał w kącie, zupełnie nie rozumiejąc sensu dopływających do jego uszu słów.

- On mnie kochał. Zabłądził.

- Ty się kompletnie oderwałaś od rzeczywistości. On codziennie chodził do Eli. W końcu spotkał kogoś, kto go nie ograniczał. Nie tłamsił. To przez ciebie jego serce w końcu nie wytrzymało.

- Wszyscy wiedzą, że jesteś pijaczką - rzuciła matka Szymona, chcąc zmienić temat. - Nie masz swojego życia, więc próbujesz zniszczyć innym ich. Ale nic z tego. Nie zbliżaj się do nas! - ryknęła i szarpnęła zdziwionego syna za rękę, po czym odciągnęła go w drugi kąt sali, w której odbywała się stypa. Tym sposobem wraz ze śmiercią ojca z życia młodego Trojanowskiego zniknęła spora grupka członków rodziny ze strony ojca.

Jako druga zostawiła go Basia, chociaż z czasem zrozumiał, że to bardziej on zostawił ją. Jego najukochańsza przyjaciółka. Zawsze przypominała mu motyla. Miała w sobie jakąś niesamowitą lekkość, a przebywanie z nią dawało człowiekowi radość. Przyjaźnili się od początku podstawówki, ale mimo swojego młodego wieku i faktu, że wielu rzeczy nie rozumiał, czuł jej wyjątkowość.

Gdyby urodziła się dwadzieścia lat później i miała bardziej postępową rodzinę, pewnie żyłaby i radowała swoją osobą wszystkich dookoła. Ale nie miała tego szczęścia.

- Babochłop!
- Trans-srans!
- Dziwoląg!
- Pizduś!

Dzieci biegały za nią i dręczyły głupimi wyzwiskami, gdy tylko dowiedziały się o jej wewnętrznych rozterkach. Od kiedy ją znał, nie lubiła stroić się w kolorowe ciuchy, chodziła ubrana bardziej jak chłopiec niż dziewczynka. Nigdy nie widział jej w sukience. Tak samo nigdy nie widział, żeby bawiła się lalkami. Zdecydowanie wolała grać w piłkę i chodzić po drzewach. Jemu osobiście to w ogóle nie przeszkadzało, a wręcz pasowało. Sam od zawsze czuł się inny.

Z perspektywy czasu nawet nie pamiętał, co nim kierowało, gdy podrzucił jej pewien pomysł. Teraz dobrze wiedział, że popełnił błąd. Jednak wtedy zupełnie tego nie rozumiał.

- O czym będziesz pisał swoje wypracowanie? - rzuciła Basia, gdy jak co dzień wracali spacerem do swoich domów.

- Ja chyba o śmierci taty. A ty?

- Nie wiem jeszcze.

- To może o tym uwiezieniu? - spytał. Wtedy jeszcze nie do końca rozumiał, o co w tym chodzi. Trochę się wstydził, ale liczył, że dzięki temu wypracowaniu dowie się więcej.

- Nie wiem, czy powinnam.

- Oj, dlaczego nie? Przecież to nie twoja wina. Poza tym może ktoś ci dzięki temu pomoże.

Na samo wspomnienie łzy napłynęły mu do oczu. Gdy tylko dzieci zrozumiały sens wypracowania, którego nauczycielka nie omieszkała przeczytać przed wszystkimi, znęcając się przy tym nad Basią, rozpętało się piekło. Wieść rozniosła się lotem błyskawicy i jego przyjaciółka stała się głównym obiektem drwin, wytykania palcami, wyzwisk, a nawet ataków agresji. Dodatkowo matka Szymona, chcąc chronić syna przed wpływem przyjaciółki, zabroniła mu spotykania się z nią, dlatego tym bardziej śmierć Basi była dla niego ogromnym ciosem i stratą.

Trzy lata później poznał Blanę, która tak jak Szymon od lat zmagająca się z nadwagą i podobnie jak on nie miała zbyt wielu koleżanek czy kolegów. Starali się spotykać jak najczęściej, jednak nadopiekuńcza i

kontrolująca matka Szymona nie ułatwiała im życia. Mimo to czasami udawało mu się ją przechytrzyć i wyłuskany czas spędzał z Blanką. Chodzili wtedy do kina lub po prostu na spacer. Na co dzień nie mieli przyjaciół w swoich szkołach czy na podwórkach, dlatego to społeczne odrzucenie ich połączyło. Potrafili godzinami chodzić po mieście i tylko raz na jakiś czas odezwać do siebie. To kochał w ich znajomości najbardziej - brak jakiegokolwiek presji. Nawet milcząc w jej towarzystwie, czuł się doskonale.

Wszystko się zmieniło, gdy zaprosiła go na urodziny do koleżanki. Niby wstydziła się pójść sama, dlatego poprosiła go o wsparcie. Musiał długo prosić mamę o pozwolenie, obiecując przy tym niekończącą się listę rzeczy, aż w końcu zgodziła się, wyznaczając przy tym absurdalną porę powrotu do domu. Ucieszył się, bo jeszcze nigdy nie brał udziału w żadnej imprezie. Bawili się świetnie. Tańczyli, śmiali się, aż w końcu zmęczeni usiedli przy kuchennym stole, gdzie nie musieli się przekrzykiwać.

- Mam coś - szepnęła wtedy Blanka i uśmiechnęła się, sięgając po swój plecak przewieszony przez krzesło.

Otworzyła go i wyciągnęła reklamówkę, Szymon nie miał zielonego pojęcia, co to może być. Gdy zobaczył puszkę piwa, zbladł. Matka, gdyby się dowiedziała, zabiłaby go albo co najmniej dałaby szlaban do trzydziestego piątego roku życia.

- Skąd ty to masz? - spytał przerażony.

- Podkrađłam tacie. Pół lodówki jest tym wypełnione, więc jednej puszki mniej nawet nie zauważy.

- Ale ja nie mogę.

- Naprawdę? Dzisiaj są też moje urodziny - powiedziała z uśmiechem i otworzyła trunek.

Szymon nie wiedział, kiedy je obchodzi, więc nie zdziwił się bardzo. Po dłuższych pertraktacjach dał się namówić na kilka łyków. Skończyło się tym, że wypili praktycznie po równo, po pół piwa. Dopił właśnie resztkę napoju i triumfalnie odstawił szklankę, tak jak robią to dorośli mężczyźni, pijąc kolejną pięćdziesiątkę wódki, przetarł usta wierzchnią stroną dłoni, gdy Blanka pochyliła się i pocałowała go. Zupełnie się tego nie spodziewał. Nagle pomieszczenie zaczęło wirować. Później

wielokrotnie analizował, czy nie zachował się dziwnie, nie uraził jej, ale chyba nie, bo od tego czasu byli parą.

I wszystko układałoby się pięknie, gdyby nie matka, która musiała się wtrącać do każdej sytuacji. Nie mogła znieść faktu, że jej syn nie spędza z nią każdej wolnej chwili. Już nie pomagał tak chętnie na działce, nie garnął się do wieczornych spacerów z nią. Coraz częściej wybierał Blankę, aż pewnego marcowego wieczora, gdy siedzieli z matką przed telewizorem, jak mieli w zwyczaju, powiedział:

- Po maturze chcemy wyjechać do Trójmiasta. Blanka zamierza studiować tam mechanikę i budowę maszyn, a ja pójdę na psychologię.

- Jak to wyjechać? - Kobieta powoli podniosła głowę znad krzyżówki.  
- Przecież mieliśmy inne plany.

- Wiem... Ale... - zaczął się jąkać, tracąc moc w głosie. Wiedział, że tak będzie, jak w końcu zbierze się w sobie i powie o ich planach. Wielokrotnie ćwiczył całą konwersację i wydawało mu się, że jest dobrze przygotowany na to starcie, jednak bardzo się pomylił.

- Tylko w Warszawie masz szansę osiągnąć sukces. Tam, nad morzem, nie ma dobrych uczelni, poza tym po co masz jechać z tą dziewczuchą?

- Nie mów tak na nią - powiedział oburzony.

- Ale to nic złego. Poza tym jesteś jeszcze za młody, aby dla chwilowego zauroczenia rezygnować z marzeń.

- To nie jest chwilowe zauroczenie! - krzyknął zdecydowanie za głośno. - My się kochamy i chcemy być razem.

- Szymuś, co ty wiesz o miłości? Jesteś jeszcze za młody. Poza tym nawet jak wyjedziecie, to gdzie będziecie mieszkać?

- W mieszkaniu babci Blanki, odziedziczyła je kilka lat temu - odpowiedział dumnie, jakby miał w tym jakiś udział.

- Świetnie, a za co jeść będziecie? Trzeba jeszcze rachunki zapłacić.

- Mamo, wiem. Damy radę. Będziemy pracować popołudniami i wieczorami.

- Super, widzę, że macie dobry plan. A gdzie będziecie pracować?

- Nie wiem, wymyślimy coś.

- Twoja dorosłość bardzo mnie przekonuje - rzuciła ironicznie. Robiła to za każdym razem, gdy przedstawiał jej swoje poglądy lub

pomysły, z którymi się nie zgadzała. – A tak czysto hipotetycznie, nie żebym wam nie kibicowała, ale co się stanie, jak wam nie wyjdzie?

– A po co tak zakładać? – powiedział Szymon.

– Życie, synku. Niestety, nawet pięknie wyglądające związki często się rozpadają.

– Tak jak ty i tata? – wtrącił i od razu pożałował. Na twarzy jego matki pojawił się purpurowy cień, a usta stały się jakby cieńsze.

– Jak śmiesz?! Bardzo się kochaliśmy z twoim tatą.

– Może i tak, ale ciocia Hania... – Nie zdążył skończyć.

– Ciocia Hania to chora kobieta, której nikt nigdy nie kochał. Poza tym mieszka za granicą od trzydziestu lat, więc guzik z pętelką wie...

I tak skończyła się ich pierwsza dorosła rozmowa. Kolejne wcale nie przebiegały lepiej. Szymon upierał się, że kocha Blankę nad życie, a matka sięgała po przeróżne argumenty, aby wybić mu z głowy plan wyjazdu.

On jednak nie odpuszczał. Pierwszy raz w życiu chciał się uwolnić od matki. Sprawdzić, jak to jest nie być kontrolowanym na każdym kroku. Jak to jest móc podejmować decyzje samemu. Po dwóch miesiącach mieli z Blanką wszystko przygotowane. Dokupili kilka rzeczy i odliczali dni do wyjazdu do Trójmiasta.

Jednak nigdy do tego nie doszło.

Na tydzień przed wyjazdem pojechał do niej do domu. Otworzyła jej matka, a on od razu wiedział, że coś jest nie tak. Kobieta płakała

Blanka zniknęła. Zostawiła list, w którym informowała rodziców, że jej życie nie układa się tak, jakby chciała, i musi znaleźć swoją drogę. Nie napisała, dokąd jedzie i czy sama. Obiecała, że się odezwie, jednak nigdy tego nie zrobiła.

I tak odeszła kolejna bliska jego sercu osoba. Po ponad dwudziestu latach cały czas pamiętał jej śmiech, dotyk jej dłoni i ust na swojej skórze. Ich chwile w milczeniu, wspólne wycieczki, ich plany. Wszystko to w jednej chwili zniknęło, a zostały tylko zdjęcia i filmiki, które z roku na rok robiły się coraz bardziej poprzecierane.

## Rozdział 10

## Szymon

Nadal nie mógł się przyzwyczaić do powrotów do pustego mieszkania. Ta przerażająca cisza wywoływała głęboki smutek. Kochał hałas, który zawsze generowała wokół siebie Iga. Uwielbiała spędzać czas przy muzyce płynącej z jej komórki. Gdy przychodziła do domu pierwsza, ustawiała ją tak głośno, że zazwyczaj nie słyszała, jak wchodził do mieszkania, i podskakiwała ze zdenerwowania, gdy pojawiał się obok niej.

A teraz nic. Cisza.

Stał na środku salonu i nie mógł się odnaleźć. Podszedł do stojącego na półce zdjęcia z ich ślubu, wziął je do ręki i pogłaskał jej twarz. Tak ostatnio próbował zapełnić pustkę, którą zostawiła w jego sercu. Ciągle miał nadzieję na powrót żony do domu, ale wczorajsza sesja terapii małżeńskiej nie napawała go optymizmem.

- Bo ty mnie nie rozumiesz. Cały czas tylko myślisz o swoich klientach, a ja nie czuję się dla ciebie ważna - powtarzała Iga, pociągając nosem.

- Wiesz dobrze, że tak nie jest. Kocham cię nad życie, jesteś dla mnie najważniejsza.

- Nie, nie wiem. I wcale tak nie jest. Przynosisz swoją pracę do domu. Twoi pacjenci wchodzą do naszej sypialni. - Siedzący naprzeciwko pary terapeuta zrobił dziwną minę sugerującą, że chyba nie rozumie, o co chodzi. - Mąż zabiera do domu teczek klientów, żeby sobie wieczorami o nich rozmyślać. Jak w takich warunkach można spłodzić dziecko?! - trajkotała dalej.

- Ale ja robię to dla ciebie.

- Dla mnie? Niby w jaki sposób miałyby to być dla mnie dobre?

- Dzięki temu mogę być szybciej w domu i nie muszę siedzieć nad teczkami w gabinecie.

- Aha, i myślisz, że jak siedzisz w domu z nosem w tych papierach, to mi lepiej. Gówno prawda...

- Proszę, uspokój się. Pan Waldemar raczej nie chce tego słuchać.

- A może właśnie chce? Poza tym jak zwykle obchodzi cię bardziej to, co inni myślą, a nie ja. - Kobieta na chwilę przerwała, zapatrzyła się przez okno i nagle wypaliła: - Wie pan, że mąż nie pozwala mi kaszleć?

Jak po chorobie męczy mnie kaszel, to zawsze mnie strofuje, gdy dostaję ataku. Nie interesuje go, czy wszystko jest ze mną okej, tylko co ludzie powiedzą, mówi, że w miejscach publicznych nie powinno się tak robić. Kiedyś, gdy lecieliśmy samolotem...

- Proszę cię, przestań - powiedział Szymon, przerywając żonie.

- Ale dlaczego? Przecież sam powiedziałaś, zachęcając mnie do tych spotkań, żebym się otworzyła i opowiedziała doktorowi...

- Psychoterapeucie - wtrącił siedzący dotychczas cicho mężczyzna.

- Niech będzie, psychoterapeucie. Zachęcałaś mnie do otwartości, bo niby zazwyczaj tłumię w sobie uczucia i dowiadujesz się o problemie więcej dopiero wtedy, gdy już wybuchnę, a teraz nie chcesz tego słuchać. - Iga patrzyła na swojego męża lekko wybałuszonymi szarymi oczami, w które w normalnych okolicznościach uwielbiała patrzeć, ale teraz miał ochotę odwrócić głowę. Nie czuł się komfortowo.

- Przepraszam. Ja nie powinienem... - zaczął.

- No tak, i teraz zaczniesz przeproszać, że żyjesz. - Iga spojrzała na terapeutę. - Mój mąż niestety nie potrafi być mężczyzną. Jak się kłócimy, a proszę mi uwierzyć, że ostatnio robimy to często, to on zawsze odpuszcza i przyznaje mi rację.

- To chyba dobrze, że się z tobą zgadzam - wtrącił Szymon zdezorientowany.

- Nie! To nie jest dobre. Ja chcę, żebyś walczył jak lew o swoje. Żebyś nie odpuszczał i nie poddawał się. Ty myślisz, że ja się uważam za najmądrzejszą. Często się mylę, a i tak po chwili przyznajesz mi rację. I tu chodzi o wszystko. Takie najzwyczajniejsze pierdoły. Zanim się wyprowadziłam, zaginęło moje ukochane pióro, i co? Najpierw powiedziałaś, że pewnie gdzieś je wrzuciłam i nie pamiętam gdzie, ale po chwili namysłu stwierdziłaś, że może to ty je zabrałaś albo gdzieś położyłaś, i zaczęłaś mnie za to przeproszać. Absurd. Oczywiście znalazło się w mojej przepastnej torbie, co mogłam przewidzieć.

- Przepraszam, nie chciałem cię zranić.

- No i właśnie o tym mówię. Nie przepraszaj mnie. Walcz o swoje zamiast zawsze odpuszczać - powiedziała zrezygnowana, ale jakby trochę łagodniejszym głosem.

- Dobrze, postaram się.



- O matko. Widzi pan, co on robi? - Momentalnie zmieniła ton. - Normalny facet powiedziałby coś w stylu „dobra, postaram się, ale może ty też daj coś od siebie”. Ale nie, mój mąż uwielbia się umartwiać i o wszystko obwiniać. Oczywiście czasami ma powody, ale wtedy jakoś niezbyt się poczuwa. Tego, że przez niego nie możemy mieć dzieci, jakoś nie bierze do siebie.

- Bo żaden lekarz tego nie potwierdził na pewno - powiedział cicho.

- Szymon, czy ty jesteś ociężały umysłowo? Całe życie wyglądałeś jak słoń i tylko dzięki mnie w końcu schudłeś. I ty myślisz, że to nie miało wpływu na twoje zdrowie? Zadziwię cię, miało, i to bardzo. Gdyby nie ja, staczałbyś się dalej, aż pewnego dnia nie dźwignąłbyś się z łóżka i zostałbyś w nim na zawsze, głaskany przez swoją mamuszkę.

- Tylko nie obrażaj mojej matki.

- Ja jej nie obrażam, tylko stwierdzam fakty. Ona tobą steruje...! - krzyczała podniesionym głosem Iga, wyrzucając z siebie całą masę negatywnych opinii o swojej teściowej, której szczerze i z całego serca nienawidziła. A ponieważ czas ich sesji dobiegał końca, terapeuta próbował jeszcze na koniec poprawić atmosferę między nimi, ale bezskutecznie. Dał im nawet zadanie domowe. Mieli wysyłać do siebie pozytywne komunikaty. Zwracać się do siebie w miłszy sposób. Mówić trochę ciszej, wolniej niż zwykle. Podczas rozmowy uśmiechać się, a czasami nawet wykonać jakiś gest. Dotknąć ramienia rozmówcy czy musnąć włosy.

Wszystko brzmiało fajnie, ale od wielu dni Szymon nie spędził z żoną nawet minuty poza terapią. Umówili się na kolację w restauracji, ale Iga odwołała w ostatnim momencie, tłumacząc się dużą ilością pracy.

## Rozdział 11

### Karolina

Od momentu, kiedy pierwszy jej cios przeszył ciało mężczyzny, żyła w strachu. Przed tym wszystkim wierzyła, że poczuje niesamowitą ulgę,

bo w ramach rewanżu ktoś zabije mordercę jej męża, ale tak się nie stało. Wpadła z deszczu pod rynnę.

Dotychczas przeżywała rozpacz po śmierci Janusza. Każdego dnia wspominała ich wspólne chwile, rozmyślała, co by robili, gdyby nadal żył. Dokąd pojechaliby na wakacje albo co zrobiliby w danej sytuacji. Ale od kilku dni nie mogła już o tym myśleć. Jej głowę zaprzętał inny problem. Co zrobi, gdy pewnego dnia zapuka do ich drzwi policja. Co zrobi, gdy ją aresztują, a jej dzieci zostaną same. Bez ojca, który zginął tragicznie, i bez matki morderczyni. Nie dość, że trafiłyby zapewne do domu dziecka albo do kogoś z rodziny, to jeszcze na każdym kroku wytykano by im to, co zrobiła ich matka, zupełnie zapominając o okolicznościach.

Karolina Gruszecka starała się o tym nie myśleć, nie sprawdzać wiadomości, ale nie dawała rady. Od kilku dni kupowała wszystkie gazety, zarówno te o zasięgu lokalnym, jak i ogólnokrajowym. Sprawdzała wszystkie portale, a w samochodowym radiu miała ustawioną lokalną rozgłośnię. Za każdym razem, gdy szła z kiosku do mieszkania, czuła ciężar niesionych gazet. W końcu trafiła na artykuł.

*W sobotni wieczór na jednym z podwarszawskich osiedli rozegrał się dramat w czterech ścianach. Znany okolicznym mieszkańcom architekt Łukasz N. został zamordowany.*

*- Zawsze, gdy widział, jak wracałam z targu czy sklepu, pomagał z zakupami. Takich ludzi już nie ma. Był przy tym zawsze elegancko ubrany, no i taki przystojny. Nigdy nie sprawiał żadnych problemów. To jest niewyobrażalne, że ktoś go zabił - wspominała zmarłego jedna z jego sąsiadek.*

*Ze wstępnych ustaleń policji wynika, że mężczyzna został zaatakowany, gdy spał. Prawdopodobnie sprawcy włamali się w celach rabunkowych, myśleli jednak, że nikogo nie ma w domu. Gdy okazało się, że jest inaczej, postanowili usunąć potencjalnego świadka. Na razie są to tylko spekulacje, niepotwierdzone żadnymi twardymi dowodami.*

*Udało nam się zdobyć komentarz przedstawiciela Policji do spraw kontaktów z prasą.*

*- Niestety w sobotni wieczór został zamordowany w swoim domu 46-letni mężczyzna. Z tego, co dotychczas udało nam się*

*ustalić, przebywał w domu sam. Na chwilę obecną nie wiemy, dlaczego doszło do tej strasznej zbrodni.*

*Łukasz N. skończył architekturę i szybko stał się jednym z najbardziej znanych i najchętniej zatrudnianych architektów w okolicy. Z jego usług korzystali zarówno celebryci, jak i instytucje państwowe czy prywatne firmy.*

Przez chwilę patrzyła na zdjęcie mężczyzny. Zupełnie nie przypominał faceta, którego zastała w łóżku. Tamten był taki bezosobowy, pusty, a ten miał rodzinę, znajomych, swoją pracę. Może w artykule nie rozpisywano się o jego bliskich, ale Karolina wiedziała, że na pewno jest ktoś, kto za nim tęskni. A ona to zniszczyła i czuła, że od chwili, kiedy nóż przeciął po raz pierwszy jego skórę, jej życie nieodwracalnie się zmieniło. Zawsze już będzie żyła w strachu, nerwowo oglądała za siebie i podskakiwała na dźwięk dzwonka do drzwi.

## Rozdział 12

### Szymon

Szymon Trojanowski usiadł w swoim fotelu i czekał. Marcel Zawadzki fascynował go w jakiś przedziwny sposób. Może dlatego, że tak bardzo się różnili. Dla niego jakaś kobieta chciała zrezygnować z dotychczasowego związku, podczas gdy żona Szymona nie robiła praktycznie nic, aby uratować ich małżeństwo. Wizualnie również byli z dwóch światów. Nowy klient wyglądał jak model z reklamy Hugo Bossa, a psycholog z wylewającym się brzuchem ledwo mieścił się w rozmiar XXL. A dodatkowo mężczyzna miał w sobie jakiś magnetyzm. Jakieś bliżej nieokreślone coś, co powodowało, że chciało się z nim spędzać czas. Był jak ci amerykańscy złotouści mówcy, którzy wychodzą na scenę, chrzanią farmazony, a mimo to ciągną za sobą tłumy.

Specjalnie na dzisiejsze spotkanie Szymon Trojanowski prasował swoją najlepszą koszulę dwa razy dłużej niż zwykle. Chciał wyglądać

jak Marcel Zawadzki. Pragnął ten jeden raz poczuć się chociaż trochę jak ktoś lubiany. W podstawówce zawsze z kłującą zazdrością patrzył na przewodniczącego klasy, który otoczony wianuszkiem zarówno dziewczyn, jak i chłopców rozprawiał o swoim zespole muzycznym, który planował kiedyś założyć. A on stał na końcu klasy, wstydząc się podejść i stać się częścią tej grupy. Wiedział, że da im tylko przyzwolenie na obrażanie, wyzwiska czy zaczepki w stylu „Znowu mamusia cię ubrała?”, „Jaki masz dzisiaj stanik?” lub najgorsze z możliwych: „Uciekać! Cyckozaur atakuje!”. Krzyżąc to, dzieciaki przestawały robić to, co robiły, i na trzy-cztery uciekały, zostawiając go na środku sali ze łzami w oczach.

Ale teraz, w zaciszu swojego gabinetu, miał okazję być blisko takiej osoby, jaką kiedyś mógł tylko obserwować z daleka. Ba! Mógł nawet z nią rozmawiać i jej pomagać.

Poprawił właśnie stojące na małym kawowym stoliku książki. Miał jeszcze trzy minuty do wizyty, gdy drzwi do gabinetu się otworzyły.

- Dzień dobry, od razu przepraszam za mój strój - powiedział mężczyzna, podszedł do Szymona i energicznie wyciągnął rękę do siedzącego cały czas na swoim miejscu psychologa. Ten uściśnął jego dłoń, nie wstając, za co szybko zganił się w myślach i z lekko wybałuszonymi oczami odprowadził wzrokiem swojego idola, który zasiadł na swoim miejscu. - Jak coś robię, to na sto procent. Postanowiłem bardziej o siebie zadbać. Wizyty tutaj to tylko część. Zawsze ćwiczyłem, ale teraz mam dla kogo starać się bardziej, więc muszę zrzucić kilka zbędnych kilogramów. - Poklepał się po płaskim brzuchu i usadowił wygodnie na szeszlunku.

- Dzień dobry - odpowiedział trochę zmieszany Szymon. Dobrze wiedział, że on również powinien zadbać o siebie, ale nie miał tak silnej woli. Już zrzucenie trzydziestu kilogramów stanowiło dla niego nie lada wyzwanie i pewnie nie udałoby mu się to, gdyby nie operacja bariatryczna, dzięki której zmniejszono mu pojemność żołądka. Bezpośrednio po niej zmienił znacząco nawyki żywieniowe, jednak nigdy nie mógł zmusić się do wysiłku fizycznego i nadal, tak samo jak w dzieciństwie, przebiegnięcie trzydziestu metrów było niemal heroicznym wyczynem. - Cieszę się, że jest pan w dobrej formie. Wysiłek fizyczny jest dobrym wentylem dla naszych złych emocji. Dzięki aktywności fizycznej nasze ciało wytwarza endorfiny, które dają nam

szczęście. – Uśmiechnął się do mężczyzny i sięgnął po swój notatnik. Otworzył na odpowiedniej stronie, gdzie na górze drukowanymi literami napisał „Marcel Zawadzki” i wstępny plan spotkania. – Dzisiaj chciałbym skupić się na pana dzieciństwie i młodości.

I tak zaczęło się godzinne spotkanie, podczas którego Marcel Zawadzki opowiedział o swojej młodości, rodzinie. Jego życie wyglądało zupełnie inaczej niż Szymona. Może nie było jakieś nadzwyczaj szczęśliwe, ale na pewno pełne przyjaciół i dziewczyn, które zawsze go otaczały. Ciemny punkt na tym obrazie stanowiły relacje z ojcem – wojskowym, który już od najmłodszych lat wymagał od syna dużo więcej niż większość rodziców od swoich dzieci. Doskonale tłumaczyło to perfekcjonizm, który wyraźnie cechował siedzącego w gabinecie mężczyznę.

– U mnie w domu zawsze wszystko musiało być idealnie poukładane, posprzątane. Bylejakości, niedociągnięć ojciec nie akceptował – opowiadał z zaangażowaniem.

– To chyba dobrze – skomentował Szymon.

– Wie pan, jak masz siedem lat i po raz dziesiąty czyścisz podłogę w łazience, bo podobno są zacieki, a ty jako szczeniak cały czas zalewasz ją łzami bezsilności, bo nie masz już pomysłu, jak zrobić lepiej, to nie jest dobrze. Jego podejście niszczyło mnie od środka. Z czasem zrodziło się we mnie mnóstwo agresji i...

Zawiesił na chwilę głos i zapatrzył się za okno. Padający delikatnie deszcz zamazywał obraz stojącego nieopodal Pałacu Kultury i Nauki, który górował nad resztą budynków. Wyglądał jak olbrzym wśród krasnoludków.

– Coś się stało? – spytał w końcu Szymon, chcąc zachęcić mężczyznę do dalszego mówienia.

– Kiedyś nie wytrzymałem – powiedział w końcu i wrócił wzrokiem do pokoju. Patrzył na swojego psychologa brązowymi oczami, a Szymon miał wrażenie, że coś się w nich zmieniło. Pojawił się w nich smutek. – Przyszedłem wtedy ze szkoły i gdy tylko stanąłem w progu, usłyszałem płacz matki. Poszedłem do pokoju, skąd dochodził, i zamarłem. Klęczała na podłodze i zbierała rzeczy, które ojciec wyrzucił z szafy. Uznał, że nie będzie nosił niewyprasowanych idealnie koszul czy spodni. Zacząłem jej pomagać, ale powiedziała, że to jest jej wina i musi teraz sama to

posprzątać. Jaka wina?, krzyknąłem na nią – powiedział podniesionym głosem, próbując odtworzyć dawną sytuację. – Gdy jeszcze raz spróbowałem pomóc, odepchnęła mnie i powiedziała, że mam sobie iść. Niechętnie to zrobiłem, ale czułem się z tym fatalnie.

– Rozumiem pana gniew. Czyjeś nerwice, a umówmy się, to, co pan opisuje w kontekście swojego ojca, to... – Nie skończył, bo Marcel Zawadzki podniósł rękę jak uczeń w szkole.

– Ale to nie koniec.

– Przepraszam. Proszę mówić dalej.

– Wkurzony jak osa wrzuciłem plecak do pokoju i poszedłem do kuchni, żeby zobaczyć, czy nie trzeba czegoś posprzątać, czy wyrzucić śmieci, i tam zastałem ojca. Siedział jakby nigdy nic i jadł obiad. Zamarłem. Myślę, że gdyby wzrok mógł zabijać, to już by nie żył. Podeszedłem do niego i stanąłem nad nim, mimo że wiedziałem, jak bardzo tego nie lubi. Spojrzał na mnie z pogardą, jak to zazwyczaj robił, i spytał, dlaczego nie posprzątałem w piwnicy, co miałem w obowiązku robić raz na dwa tygodnie. Grzecznie, jednak z zaciśniętą szczęką, odrzekłem, że miałem ważny sprawdzian z chemii i zrobię to dzisiaj. Muszę tylko dorzucić, że wtedy uczyłem się do matury i miałem sporo nauki. A co ten fiut mi odrzekł? Że gównu go to obchodzi i jak matka jestem nierobem. Nie wytrzymałem. Wziąłem stojący przed nim talerz z obiadem i z całej siły cisnąłem o podłogę. Odwróciłem się na pięcie i chciałem odejść, ale nie zaszedłem daleko. Mój rodzony ojciec przywalił mi z całej siły w nogę, tuż pod kolanem. Padłem na ziemię rażony bólem. Miałem wrażenie, że noga mi pękła na pół. Do teraz mam z nią problem. Stał nade mną i śmiał się, plując resztkami jedzenia, które miał w buzi. Wtedy weszła moja mama. Nigdy nie widziałem jej takiej przerażonej. Leżałem na ziemi, ona stała jakieś pięć metrów ode mnie, a i tak dobrze widziałem, że się trzęsie. – Przerwał na chwilę i położył sobie rękę na udzie, które od dłuższej chwili nerwowo podskakiwało. – Wiedziałem, że nie wie, co zrobić. Stać po stronie ojca czy doskoczyć do mnie. Wybrała to drugie. Przez ułamek sekundy poczułem wdzięczność, lecz szybko to uczucie zastąpił strach. I słusznie. Ojciec, widząc matkę klęczącą obok mnie, ponownie zamachnął się i kopnął ją w brzuch. To był impuls. – Mężczyzna zacisnął dłoń prawej ręki i ponownie zaczął rytmicznie trząść nogą. – Rzuciłem się na niego. Nie spodziewał się tego, więc miałem przewagę. Runął na ziemię. Usiadłem

na nim i zacząłem okładać. Próbował się bronić, ale po kilku uderzeniach odpłynął. Zabiłbym skurwiela, gdyby nie matka, która próbowała mnie odciągnąć i błagała, żebym przestał. Przestałem.

- To musiało być dla pana ciężkie.

- Zdecydowanie. Gdy przyjechała policja, co zaskakujące, nikt nie traktował mnie jak przestępcy. W tamtych czasach dopiero zaczynano mówić głośniej o przemocy w rodzinie. Mieliliśmy duże szczęście, bo policjantka, która przesłuchiwała mamę, zrobiła to najdelikatniej, jak umiała. Wtedy dopiero dowiedziałem się przerażającej prawdy. Ojciec bił ją latami, a ona dla mojego dobra to ukrywała. Nie wiem, jak mogłem tego nie zauważyć. - Sięgnął po stojącą przed nim szklankę i napił się wody.

- Niestety to zdarza się dość często. Matki dla dobra dzieci kreują alternatywną rzeczywistość.

- Wiem, ale i tak miałem do siebie żal. Na szczęście ojciec nie wrócił już do domu. Poszedłem do niego do szpitala. Nie z troski, ale musiałem mu coś powiedzieć. Ubrałem się jak totalny menel. Dziwnie się czułem w poplamionej bluzie, którą pożyczyłem od kolegi, i niewyprasowanych spodniach, ale wiedziałem, że taką małą rzeczą mocno go wkurzę. I tak się stało. Na dzień dobry zwyzywał mnie od maminsynków, co trzymają się matczynej spódnicy. Później stwierdził, że dałem mu radę tylko dlatego, że on nie walczył. Ja nic nie komentowałem. Patrzyłem z politowaniem na jego poturbowaną gębę i najchętniej bym na niego napluł. Zamiast tego grzecznie poinformowałem, że jeżeli kiedykolwiek do nas wróci, opowiem wszystkim sąsiadom, jego znajomym, w jego pracy, jakim jest małym człowieczkiem, który wyżywa się na żonie. Momentalnie poczerwieniał na twarzy i już się do mnie nie odezwał. Wiedziałem, że to zadziała. Zawsze wszystkim mówił, jak to brzydzi się przemocą, a że uważał się za człowieka niezwykle słownego, nie mógł sobie pozwolić na coś takiego. Na szczęście miał jakieś małe mieszkanie po rodzicach, które niby miałem odziedziczyć, ale nie miało to znaczenia. Odszedł. Mama odżyła, ale niestety jego musztra w nas została. Często się łąpałem, zresztą nadal tak mam, na tym, że dopatruję się plam na powierzchniach, które już trzy razy wypolerowałem. To jest silniejsze ode mnie - powiedział Marcel Zawadzki i wygładził spodnie do biegania, które delikatnie, niemal niezauważalnie zagięły się na prawej nodze.

# Rozdział 13

## Kamil

W końcu się pojawiła. Kobieta wyglądała dokładnie tak, jak opisano ją w liście. Ze szpitala wyszła około czterdziestoletnia tleniona blondynka z bardzo krótkimi włosami postawionymi na sztorc. Z daleka widział jej mocny makijaż. Szła pewnym krokiem, wprawiając w ruch czarny płaszcz, który miała na sobie, trochę jak torreador podczas walki z bykiem. Jedyne, co mu nie pasowało, to przewieszona przez ramię torebka, która zupełnie się nie wyróżniała.

Z daleka obserwował swoją ofiarę i z przerażeniem stwierdził, że wygląda na sympatyczną osobę. Szła szybko w stronę parkingu dla personelu medycznego, co jakiś czas unosząc rękę i machając do mijanych ludzi. Wszyscy oni z uśmiechem na twarzy odpowiadali na jej gest.

Podeszła do swojego niebieskiego mini morrisa, który doskonale do niej pasował, wyciągnęła z torebki kluczyki i otworzyła bagażnik. Szybko zmieniła buty na obcasie na takie na płaskiej podeszwie i wsiadła do samochodu. Kamil obserwował z daleka, jak powoli wyjeżdża z parkingu i włącza się do ruchu. Po chwili ruszył za nią swoim wysłużonym fordem ka, który swoje najlepsze lata miał zdecydowanie za sobą. Nigdy nikogo nie śledził, więc nie wiedział, jaką odległość zachować, aby nie zgubić jadącej przed nim kobiety, ale i nie ściągając jej uwagi na swój samochód.

Miał ogromną nadzieję, że przesłany w jednym z listów plan udało mu się zrealizować w stu procentach. Niby wyglądał banalnie, ale Kamil nigdy nie czuł się pewnie w kwestiach motoryzacyjnych i bał się, że mógł coś pomylić. Już niedługo miał się przekonać, czy dał radę.

# Rozdział 14



## Szymon

Szymon Trojanowski traktował poznawanie nowych klientów jak prezent. Niby zazwyczaj mniej więcej wiedział, czego się spodziewać, a mimo to cieszył się jak małe dziecko. Tym razem nie było inaczej. Gdy dostał od matki lakoniczną informację, że jakaś kobieta zapisała swoją siostrę na wizytę, wiedział, że czeka go niełatwy przypadek. Będzie musiał nie tylko pomóc klientowi, ale też na dodatek zmierzyć się z jego lękiem przed terapią, a może nawet w uświadomieniu sobie, że problem w ogóle istnieje.

Sięgnął po stojącą na stoliku herbatę i pociągnął łyk. Ani za mocna, ani za słaba. Współpraca z matką, mimo że wiązała się ze spięciami na wielu frontach, miała również swoje plusy. Nigdy nie musiał jej tłumaczyć, co lubi, a czego nie. Znała go lepiej niż ktokolwiek.

Odstawił kubek na miejsce i wstał, słysząc delikatne puknięcie w uchylone drzwi.

- Proszę wejść, zapraszam!

Podszedł w stronę otwierających się drzwi. Do gabinetu weszła średniego wzrostu brunetka i wyciągnęła do niego rękę. Uścisnął ją delikatnie, nie odrywając wzroku od twarzy kobiety. Było w niej coś intrygującego, mimo że mało kto powiedziałby, że jest ładna. Krzaczaste brwi i mocno rozstawione oczy nie dodawały jej uroku, a tłuste włosy wzbudzały lekkie obrzydzenie, ale nie mógł przestać na nią patrzeć.

- Dzień dobry, Małgorzata Laskowska - powiedziała cicho, jakby niepewnie.

- Dzień dobry, Szymon Trojanowski. Proszę usiąść i opowiedzieć, co panią do mnie sprowadza.

- Ja ... W sumie...

- Proszę na spokojnie. Mamy czas - wtrącił psycholog i uśmiechnął się do kobiety.

- Ja nie chciałam tu przychodzić - wyrzuciła w końcu z siebie po dłuższej chwili.

- Rozumiem, a kto chciał?

- Moja siostra.

- A dlaczego uznała, że wizyta u mnie dobrze pani zrobi?

- Nie wiem. Ona chyba uważa, że jak się rozmawia o problemach, to one się rozwiązują same. Ale mój się nie rozwiąże, nawet jakbyśmy siedzieli tu latami - powiedziała kobieta i zaczęła płakać.

Początkowo delikatnie szlochała, ale z sekundy na sekundę szloch ten przeszedł w głośny płacz, aż w końcu kobieta wpadła w histerię. Szymon wiedział, że w pierwszej fazie najlepiej dać się wypłakać, dlatego postawił przed nią pudełko z chusteczkami i cierpliwie czekał. Po pięciu minutach kobieta zaczęła się uspokajać.

- Rozumiem, że spotkało panią jakieś nieszczęście. Jeżeli nie chce pani, nie musi mi na razie o tym opowiadać.

- Nelka od zawsze uwielbiała grać na fortepianie. - Kobieta wydmuchała nos w chusteczkę, wydając przy tym głośne dźwięki, a kolejną poprawiła rozmazany tusz do rzęs. - Nie wiem, po kim miała talent, bo nie po mnie ani mężu, ale gdy zaczynała grać, uszczęśliwiała wszystkich. Nigdy nie byliśmy bogaci, ale udało nam się uzbierać na pianino i lekcje gry. Ćwiczyła codziennie. Mogła nie obejrzyć bajki, ale grać musiała. Nie wywieraliśmy na nią presji, ona sama chciała. Wiem, że czasami rodzice zmuszają swoje dzieci, ale u nas nigdy tak nie było. Czasami nawet prosiłam, żeby już nie grała, bo późno i sąsiedzi się wściekną, ale ona nie odpuszczała. Mówiła, że musi ćwiczyć codziennie, żeby być coraz lepszą. - Kobieta sięgnęła po swoją torebkę, wyjęła z niej zdjęcie i podała Szymonowi. - To Nelka, a dokładniej Kornelia, ale nie lubiła, jak ktoś do niej tak mówił.

- Wesoła dziewczynka - powiedział Szymon, nie wiedząc, jak skomentować. Domyślał się, że zaraz dowie się czegoś straszego.

- Wesoła, inteligentna, utalentowana. Ktoś powie, że jako matka nie jestem obiektywna. Może i tak, ale była niezwykle dzieckiem. Takim ciekawym wszystkiego. Woląla czytać książki czy grać na pianinie niż siedzieć przed komputerem, jak większość dzieci. I wie pan, co się stało? - spytała, a właściwie wykrzyczała. - Córka praktycznie co wieczór lub późnym popołudniem szła na spacer. Uwielbiała chodzić, szczególnie po lesie. Przez długi czas chodziłam z nią, ale od dwóch lat już ograniczyłam spacer z powodu problemów z nogą. Nelka była bardzo dobrze widoczna. Odblaskowa kurtka, latarka, a mimo to ktoś ją zabił i zostawił w ciemnym lesie. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby

porzucić małe dziecko na pewną śmierć? Policja tłumaczyła, że przez gęstą mgłę była ograniczona widoczność, do tego kręta droga, ktoś mógł jej nie zauważyć wcześniej. Ale nie ma możliwości, żeby nie poczuł uderzenia. Nie widział mojej małej dziewczynki, która jak z procy wystrzeliła w las. Wyobraża pan sobie, że ten morderca po krętej drodze musiał jechać ponad sto kilometrów na godzinę! Przy uderzeniu z taką prędkością nie ma szansy, żeby samochód nie doznał żadnego uszczerbku. Musiał coś rozwalić, a na jego karoserii musiał zostać ślad mojej córki, fragment jej ubrania lub kręcone rude włosy... - Kobieta na chwilę zawiesiła głos, przełknęła głośno ślinę i kontynuowała: - A najgorsze w tym wszystkim jest to, że według policji, a dokładniej lekarza sądowego, mimo siły uderzenia Nelka miałaby szansę wyjść z tego cało, gdyby ktoś udzielił jej natychmiastowej pomocy.

## Rozdział 15

### Kamil

Jechał za nią powoli i w sporej odległości. Zupełnie nie wiedział dlaczego, ale po paru kilometrach miał silne przeczucie, że ona wie, że jest śledzona. Pomysł ten był irracjonalny, jednak panoszył się po jego głowie, a on powoli utwierdzał się w tym przekonaniu.

Przebili się przez Grodzisk Mazowiecki i w końcu wjechali na autostradę A2 w stronę Warszawy, gdzie kobieta znacząco przyspieszyła. Niechętnie zrobił to samo. Od dawna nie ufał swojemu samochodowi. Miał obawy, że przy większej prędkości odpadnie koło lub zapłonie silnik, dlatego starał się jeździć odpowiednio wolno. Teraz aż cały się trząsał, a poziom jego zdenerwowania rósł wykładniczo. Serce szalało i Kamil miał wrażenie, że zaraz wybuchnie lub wyskoczy mu z klatki piersiowej.

Jednak nie mógł odpuścić. A właściwie nie chciał. Wykonał swoje zadanie i już tylko jego własna ciekawość kazała mu śledzić kobietę.

Mimo korkowej pory całkiem szybko pokonali zator na wysokości Powązek i po chwili wjechali na Wisłostradę w stronę Wilanowa.

Ucisk na żołądku zrobił się nie do zniesienia. Już chciał zawrócić i pojechać do domu, gdy to się stało.

Samochód kobiety z impetem przywalił w jadący przed nią pojazd. Zapewne wciskała pedał hamulca do ostatniego momentu, żeby uniknąć kolizji, jednak przewód, który naruszył sekatorem kupionym specjalnie do tego zadania, musiał pęknąć chwilę wcześniej. Jej samochód wbił się w ciężarówkę, która wyprzedzała jadący prawym pasem pojazd.

Nagle wszystkie samochody zwolniły, a część z nich zaczęła zatrzymywać się na pasie zieleni oddzielającym jezdnie. Kamil nigdy nie lubił krwawych obrazów w filmach, a gdy je oglądał, zamykał oczy lub przewijał do następnej sceny, ale teraz czuł wewnętrzną potrzebę, by przyjrzeć się swojemu dziełu z bliska.

Stał za białą toyotą yaris, z której wyskoczyła młoda dziewczyna, i niespiesznie ruszył w kierunku samochodu lekarki. A może pielęgniarki? W sumie to nie wiedział. Fakt, że pracowała w szpitalu, powodował, że zakres możliwych wykonywanych przez nią zawodów dość mocno się zawęził, ale widać było, że jest kimś szanowanym.

To, co zobaczył, gdy stanął jakieś pięć metrów od jej auta, przeraziło go. Samochód był wciśnięty w stojącą przed nim ciężarówkę. Wbił się tak głęboko, że gdyby nie wiedział, że jechała mini morrisem, nie rozpoznałby modelu auta. Jednak nie to go przerażało. Kobieta nadal żyła. W pierwszym momencie się przestraszył. Nie tylko tym, że nie wykonał zadania, ale przede wszystkim jej wyglądem. Z czoła leciała jej krew, a nogi zmiażdżone były fragmentami stojącego przed nią samochodu, co powodowało, że nie mogła się ruszać.

- Czy ktoś zadzwonił już po służby? - rzuciła dziewczyna z białej toyoty.

- Tak, już jadą - odpowiedział starszy pan, który prawdopodobnie kierował ciężarówką. - Musimy ją wyciągnąć, i to szybko.

- Nie. Lepiej, żeby tak została. Zaraz powinna dotrzeć karetka, skoro pan zadzwonił. No i straż. Oni się wszystkim zajmą - powiedziała dziewczyna dość spokojnym głosem, chcąc uspokoić zebranych.

- Ale wyjdzie z tego? - dopytywał kierowca ciężarówki.

- Nie wiem - skomentował Kamil.

- Ja jechałem bardzo spokojnie, gdy poczułem uderzenie. - Mężczyzna osunął się powoli na ziemię, tak jakby dopiero teraz dotarło do niego, co właśnie się wydarzyło.

Kamil szybko doskoczył do niego, bojąc się, że zemdleje. Nie wyglądał najlepiej. Cały się trząsał i zrobił się przerażająco błydy.

- Boże drogi, co ja narobiłem... Przecież ona może umrzeć - dukał. - Ja nigdy nawet stłuczki nie miałem, a jeżdżę prawie dwadzieścia lat jako kierowca...

Kamil Bednarczyk miał ochotę powiedzieć mu prawdę, że to nie jego wina, a walcząca o życie kobieta jest złym człowiekiem, więc nie ma co się przejmować, ale powstrzymał się.

- Zaraz przyjedzie pogotowie i pomoże tej kobiecie - rzucił, sam siebie zaskakując. Wcale nie na to liczył. Miał nadzieję, że już niebawem usłyszy płacz dziewczyny, która stała obok samochodu i trzymała ofiarę za rękę, próbując dawać poszkodowanej otuchę.

## Rozdział 16

### Szymon

Wyszedł na klatkę schodową z mieszkania, w którym od kilku lat mieszkał z Igą, i momentalnie poczuł wszechogarniający smród. Jeszcze niedawno robili z żoną zakłady, z którego mieszkania wydobywa się ten odór i co to takiego. Ona obstawiała, że to pani spod trójki gotuje żarcie dla psa, on - że małżeństwo z mieszkania numer osiem startuje w konkursie na najbardziej śmierdzące danie.

Szybkim krokiem pokonał trzy piętra i z ulgą wyszedł na zewnątrz. Skręcił w prawo przy sklepie spożywczym, w którym zazwyczaj robił zakupy, i spojrzął na zegarek. Ósma trzydzieści siedem. Miał jeszcze ponad godzinę do pierwszej klientki. Zwolnił. Lubił warszawski Ursynów za spokój, a zarazem za dostęp do wszystkiego, co potrzebne. Masa przelewających się ludzi powodowała, że czuł się niewidzialny, a

ten stan uwielbiał. Jadąc czerwonym wagonem metra, wśród tłumu spieszących się ludzi, niczym się nie wyróżniał. Jak tysiące innych osób, których twarzy się nie zapamiętuje. Wsiadł w centrum i niespiesznie ruszył do budynku, gdzie znajdował się jego gabinet. Ta część stolicy zdecydowanie mu się nie podobała. Za dużo samochodów, za głośno. Może na Ursynowie nie panowała totalna cisza, ale jednak z jakichś względów nazywano go sypialnią Warszawy.

Wszedł na trzecie piętro i otworzył kluczami drzwi wejściowe. Zazwyczaj czekała już na niego matka z listą klientów na dany dzień, ale dziś wyjątkowo jej nie zastał. Rano wysłała do niego wiadomość, że będzie dopiero o dwunastej.

W pierwszym momencie nie zrozumiał sensu SMS-a. Nigdy wcześniej nic podobnego się nie zdarzyło. Zawsze przychodziła na długo przed nim i wychodziła, gdy on siedział już w domu. Za każdym razem, gdy próbował wymusić na niej, aby odpuściła i zajęła się sobą, mówiła, że w domu się nudzi.

Teraz miał możliwość, by podelektować się samotnością w gabinecie, ale niestety, jak cisza w mieszkaniu, ta tutaj też go denerwowała. Miała w sobie jakieś złowieszczy wydźwięk. Jakby zwiastowała coś złego.

Mimo nieobecności matki na biurku znalazł listę dzisiejszych klientów. Jako pierwsza miała pojawić się ponownie Małgorzata Laskowska, kobieta, której córka zginęła w wypadku. W ciszy przygotował się na ich spotkanie i czekał. Również o dziesiątej kobieta zapukała do gabinetu i po zdawkowym przywitaniu usiadła na szeszlunku. Zaledwie pięć minut później tkwiła z głową między nogami, rytmicznie się bujając, i płakała tak głośno i intensywnie, że siedzący naprzeciwko niej Szymon miał ochotę wstać, podejść do niej i tak po ludzku przytulić.

- Proszę spokojnie oddychać. Wdech i wydech. - Schylił się, wyciągnął z szuflady przygotowane wcześniej papierowe torebki i podał jedną z nich kobiecie. - Proszę przystawić do ust, tak jakby chciała pani nadmuchać balon, i spokojnie wypełniać torebkę powietrzem.

Laskowska powoli podniosła głowę i spojrzała na niego zapłakanych oczami.

- Już nic nie ma sensu.

- Rozumiem, że czuje pani pustkę, ale musi pani dać sobie więcej czasu.

- Więcej czasu? Nelka została zamordowana sześć miesięcy temu. Była pogodną, ambitną dziewczynką. Mimo że miała zaledwie trzynaście lat, miała już swoje marzenia. Chciała zostać muzykiem, dawać koncerty. I w jednej chwili wszystko to zostało przekreślone. A wie pan, co jest najzabawniejsze? - Zaczęła się śmiać jak jakiś potwór z horroru. - Jej mordercy nigdy nie skazano. Ten skurwiel nadal chodzi po ulicach i w każdej chwili znowu może kogoś pozbawić życia. Ba, nawet go nie zidentyfikowano!

- Bardzo mi przykro, ale...

Nie zdążył dokończyć, bo kobieta mu przerwała:

- Przykro może być, jak zabraknie ulubionych bułek w piekarni. Tu jest rozdarcie serca, brak sensu życia. Pustka, która towarzyszy mi każdego dnia od momentu, kiedy wstaję rano, i nie znika, gdy wieczorem zamykam oczy. Ten koszmar jest ze mną cały czas. Nawet jak na chwilę próbuję zapomnieć, to wszystko dookoła mi ją przypomina. Bohater ulubionej bajki. Kolor brązowy, którego nie lubiła i unikała jak ognia. Albo jabłka. Ligole, które mogłaby jeść kilogramami. Wszystko to, dzień w dzień, na każdym kroku mi ją przypomina i powoduje, że pustka po niej jest coraz większa. Więc proszę mi nie chrzanić, jak to panu jest przykro, bo guzik pan wie.

- Faktycznie nigdy niczego takiego nie przeżyłem i szczerze pani współczuję. - Skłamał. Sporo przeżył, ale nigdy nie opowiadał o tym klientom. - Moim zadaniem nie jest rozkładanie pani uczuć na części pierwsze, ale znalezienie rozwiązania, które chociaż trochę pomoże pani uporać się z tą traumą. Wiem, że to łatwo powiedzieć, że będzie lepiej. Jednak uważam, że powinna pani próbować żyć normalnie. Wychodzić na zakupy, chodzić do pracy. Nie będzie łatwo, ale musi pani próbować.

- Ale ja już nie mam życia. Straciłam nie tylko Nelkę. Jestem w separacji. Już dzień po jej śmierci czułam, że nie przetrwamy tego jako małżeństwo. Miałam wrażenie, że mąż szybko się pogodził z jej śmiercią. Liczyłam, że będziemy w tym razem, a on po trzech tygodniach zachowywał się tak, jakby Nelki nigdy nie było.

- Każdy z nas inaczej przeżywa śmierć bliskiej osoby.

- Wiem, i rozumiem, że każdy na swój sposób to trawi, ale on o niej zapomniał. O naszej ukochanej córce. A przecież tak bardzo się o nią staraliśmy. Po pięciu latach prób zajścia w ciążę musieliśmy zrobić in vitro. Kosztowało nas to mnóstwo pieniędzy. I wie pan co? To była najlepsza decyzja w moim życiu, mimo że ciążę przeszedłam koszmarne. Stopy miałam tak opuchnięte, że nie mieściłam się w żadne buty. Hemoroidy niemiłosiernie uprzykrzały mi życie. Wkurzało mnie wszystko i wszyscy, ale nigdy nie żałowałam. Ten moment, gdy ją zobaczyłam... - Na chwilę przerwała i otarła spływającą po poliku łzę. - Nie zapomnę tego do końca życia. Nagle w moich rękach wylądował cud. Miała wielkie, niebieskie oczy, którymi patrzyła w taki mądry sposób. A zarazem była taka delikatna i krucha, jak porcelanowa laleczka. Może to było prorocze. Wraz z jej śmiercią moje serce rozpadło się na milion części. Nigdy już nie będzie takie samo. Nigdy nie będę matką.

- Jest pani jeszcze młoda. Ile ma pani lat?

- Trzydzieści dziewięć. Ale jeżeli myśli pan, że mogłabym mieć jeszcze dzieci, żeby zastąpić Nelkę... - Nie dokończyła, a jedynie gwałtownie pokręciła głową.

- Nie, nie o to mi chodziło

- Ale i tak nie mogłabym. Jestem po zabiegu usunięcia macicy. Już nie jestem wartościową kobietą.

- Proszę tak nie mówić. To nie jest prawda.

- Jest! - krzyknęła Małgorzata. - To narządy rozrodcze dają nam możliwości rozmnażania się. Gdy ich nie mamy, jesteśmy bezużyteczne dla społeczeństwa.

Szymon miał ochotę jeszcze raz zaprzeczyć, lecz w głębi duszy rozumiał jej rozterki. On sam znajdował się w podobnej sytuacji. To on w jego małżeństwie czuł się wybrakowany. Nie zostało to potwierdzone, jednak jego schorowany organizm po przejściach w ten sposób mógł objawiać swoją ułomność.

- Z tego, co pani mówiła, nigdy nie znaleziono sprawcy. Jak pani się z tym czuje?

- Jak ja się z tym czuję?! Co za głupie pytanie? Policja, nie mając żadnego tropu, kilka dni temu umorzyła sprawę. Zginęło dziecko, a te nieroby stwierdziły, że mają ważniejsze rzeczy do robienia niż szukanie



mordercy mojej córki. – Widząc jego zmieszane spojrzenie, od razu dopowiedziała: – Tak, mordercy. Bo jak inaczej można nazwać kogoś, kto zostawia dziecko w krzakach na pewną śmierć? Nie ma przecież opcji, że... – W tym momencie kobieta przerwała i wyciągnęła z torebki dzwoniący telefon. – Przepraszam, muszę.

I tym sposobem przerwano im spotkanie. Okazało się, że matka klientki Szymona potknęła się i stłukła biodro. Wymagała natychmiastowej wizyty u lekarza, co oczywiście spadło na jej córkę. Małgorzata w pośpiechu się pożegnała, zostawiając psychologa z głową pełną szalejących myśli: „Czy naprawdę jestem takim beznadziejnym mężczyzną? Czy uda mi się, jeszcze zabłysnąć i odzyskać szacunek Igi?”.

Pod wpływem impulsu sięgnął po leżącą na stoliku komórkę i odnalazł stronę polecanego przez jednego z klientów trenera personalnego. Może nadszedł dobry moment, aby w końcu wziął się za siebie.

## Rozdział 17

### Jakub

„Boże, jaki ja byłem głupi”. To zdanie Jakub od dłuższego czasu wypowiadał w myślach po kilka razy dziennie. Niestety prawda bolała. Trzeba być niezłym idiotą, żeby przepuścić cały majątek. Przepuścić wszystko, na co pracował latami. Zostawał w biurze po nocach. Właził klientom w dupę. Odbierał telefony od zalanego klienta, który potrzebował podwózki. Jakub robił praktycznie wszystko, nie myśląc o tym, jak bardzo się szmacił. Wszystko w imię gromadzenia majątku – i co teraz mu z tego zostało? Nic. Zero. Wielki dług na kartach i u brata, a do tego żadnych perspektyw.

Ponownie spojrzął na ten dziwny list, który ktoś wrzucił do jego skrzynki, i zastanawiał się, co to może znaczyć. Rozpatrywał to jako głupi żart, bo niby co innego miałyby to być.

„Wiem, że twoje życie legło w gruzach. Wiem, że czujesz rozpacz, rozgoryczenie, jednak mam dla Ciebie rozwiązanie. Mogę pomóc Ci uwolnić się od trawiącej Cię nienawiści i pozwolić pójść dalej”.

I tyle. A może aż tyle. Nie miał pojęcia, jak to interpretować ani kto mógłby wysłać tak dziwny list. Przecież nikt przy nim nie został, czemu zresztą wcale się nie dziwił.

Gdy okazało się, że umiera, niewiele myśląc, chwycił za telefon i dał upust swoim tłumionym od lat emocjom. W pierwszej kolejności wybrał numer swojego szefa. Chwilę wcześniej napił się najlepszej whisky, jaką miał w barku i którą zachował na jakąś wyjątkową okazję. Nie przewidział, że będzie się ona wiązała z jego śmiercią.

- Cześć, co tam? - usłyszał po drugiej stronie i nie myśląc o konsekwencjach, rzucił:

- Nienawidzę cię.

- Słucham? - zdziwił się rozmówca.

- To chyba pierwszy raz w życiu. Udajesz zainteresowanego drugim człowiekiem, a tak naprawdę chodzi ci tylko o wyduszenie z niego jak najwięcej. Ty nawet nie patrzysz na człowieka, jak z nim rozmawiasz, jakby nie był wart twojego spojrzenia.

- Hola, hola. Co ty wygadujesz? Pijany jesteś?

- Jeszcze nie. Jesteś wstrętnym fiutem, który nie przestrzega zasad, i wiesz co? Nikt cię nie szanuje. Wszyscy śmieją się z ciebie za twoimi plecami. Gadają, że swoje kompleksy ukrywasz za szybkimi samochodami i drogimi garniakami. Ale i tak każdy o tym wie. Zresztą twoja żona mi to powiedziała, jak pukałem ją na twoich urodzinach. Och, jakie ma jędrne pośladki. Mógłbym...

Nie skończył, bo mężczyzna się rozłączył.

Jakub uśmiechnął się sam do siebie i pociągnął solidny łyk złotego trunku. Uwielbiał te miodowe akcenty, a smak suszonych owoców, których na co dzień unikał jak ognia, tutaj zupełnie mu nie przeszkadzał, wręcz przeciwnie. Doskonale dopełniał bukiet whisky i sprawiał, że pijący delektował się każdym łykiem, starając się zapamiętać go na jak najdłużej.

Usiadł przy kuchennym stole i przeglądał kontakty. Zadzwoił jeszcze do trzech osób, którym wygarnął wszystko, co o nich myśli. Sam nie uważał się za ideał. Naginał zasady, czasami szedł na skróty,

ale zawsze okazywał innym szacunek. Jednak teraz, wiedząc, że umiera, miał niewyobrażalną ochotę na wyrażenie, co myśli o paru osobach, zupełnie ignorując to, że ich obrazi, i nie przejmując się konsekwencjami. Było tu i teraz. Przecież przyszłość nie miała go już dotyczyć. Niestety stało się inaczej, a jego akcja telefoniczna nie tylko zraziła do niego odbiorców jego słów, ale również było o niej głośno w jego kręgach.

W efekcie gdy okazało się, że jednak będzie żył długie lata, nie miał do kogo się odezwać. Nikt nie wysłał nawet wiadomości „Dobrze, że żyjesz”, „Fajnie, że lekarka się pomyliła”, a tym bardziej nie zapraszał na wypad do baru wieczorową porą czy na elegancką kolację.

Poza tym, że zraził do siebie wiele osób, przestał mieć dla nich jakąkolwiek wartość, bo tę w ich oczach definiowały jego pieniądze. Wcześniej często był sponsorem, dzięki czemu przyciągał ludzi. Zawsze miał przeznaczony procent zarobków na tego typu rzeczy. Ktoś mógłby powiedzieć, że je przepuszczał, ale nic z tego. Ci ludzie, którzy z nim pili, jedli, bawili się, stawali się pewnego rodzaju dłużnikami i podsyłali znajomych jako klientów lub zdradzali małe tajemnice, które pomagały Jakubowi w biznesie. Ale teraz, z zerem na koncie, przestał być dla nich atrakcyjny. Nawet nie pofatygowali się, by napisać zdawkowego SMS-a – „Stary, nie martw się, będzie dobrze”.

Stał z listem w ręku, popijając tanie piwo, na które nie byłoby go nawet stać, gdyby nie kolejna pożyczka od brata, i zastanawiał się, kto za tym stoi. Liczył, że jest to ktoś, kto faktycznie chce pomóc, a nie tylko podsyca nadzieje, żeby później pokazać symbolicznie środkowy palec i odwrócić się na pięcie, zostawiając go samego.

## Rozdział 18

### Małgorzata

Nelka śniła jej się praktycznie każdego dnia. Ktoś kiedyś powiedział, że jest to spowodowane faktem, że codziennie wieczorem rozmyśla o

córcie, dlatego potem w snach spotyka ją w najprostszych sytuacjach życiowych. Jadły razem śniadanie, szły do kina lub siedząc na ławce w parku, rozmawiały o przyszłości. Wszystko wyglądało tak realistycznie, że Małgorzata czuła, jakby było prawdziwe. Cieszyła się w głębi duszy, że sny nie są upstrzone bajkowymi klimatami, skrzatami czy innymi dziwnymi postaciami.

Powoli otworzyła oczy i niechętnie wróciła do rzeczywistości. Tyle by dała, żeby zostać tam na zawsze. Dwa razy już próbowała, ale bezskutecznie, tak jakby ktoś dawał jej znak, że to jeszcze nie moment na ostateczne zakończenie.

Gdy przyszedł pierwszy list, od razu poczuła ulgę, tak jakby ktoś wysłał jej lek na nieuleczalną chorobę. Czytała jego treść setki razy, ale nigdy nie poczuła strachu. Towarzyszyły jej jedynie ekscytacja i radość.

„Strata dziecka to najgorsze, co może spotkać rodzica. Zdaję sobie sprawę, że Twoja nienawiść do człowieka, przez którego cierpisz, jest przeolbrzymia, dlatego chcę Ci pomóc”.

Czytając słowa wydrukowane na zwykłej kartce A4, miała przeczucie, co nadawca planuje. Drugi otrzymany list tylko to potwierdził.

„Jest pewien mężczyzna, który swoją zachłannością doprowadził do śmierci niewinnego człowieka. Trzeba wymierzyć mu sprawiedliwość”.

Małgorzata uśmiechnęła się. Zawsze uważała się za porządną osobę. Miała na koncie kilka mandatów za złe parkowanie. Raz pokłóciła się z kasjerką, która nabiła jej trzy razy ten sam produkt, mimo że w koszyku miała tylko jeden, no i jako dziecko napluła babci do zupy, gdy ta ją oszukała i nie pozwoliła pojechać do kuzynki. I nic więcej. Tak wyglądała lista jej życiowych występków. Miała trzydzieści dziewięć lat i śmiało mogła powiedzieć, że jest prawym obywatelem, ale od kiedy jej córka leżała kilka metrów pod ziemią, w klaustrofobicznym pudle, przestało mieć to dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

Bezpośrednio po śmierci córki chciała za wszelką cenę znaleźć mordercę, jak od początku nazywała sprawcę wypadku. Gdy w końcu udało jej się go odnaleźć, liczyła na stanowcze kroki ze strony władz. Niestety los chciał inaczej. Brak chęci współpracy ze strony policji i prokuratury sprawił, że nie mogła na to liczyć. Już nawet zaczęła rozmyślać nad zabiciem mężczyzny, gdy dostała list. Proste rozwiązanie

wyglądało naprawdę genialnie. Nie dość, że jej problem miał zniknąć, to na dodatek mogła pomóc komuś z podobnym problemem, a wszystko praktycznie bez możliwości połączenia jej z tą zbrodnią. Plan idealny.

## Rozdział 19

### Kamil

Nigdy nie lubił oglądać wypadków. Gdy przejeżdżał koło jakiegoś, odwracał głowę, nie gapił na ofiary jak większość osób. Zawsze przerażały go krew, ludzkie ciała powykęcane w nienaturalnych pozycjach i krzyk panujący na miejscu zdarzenia. Tak przynajmniej sobie to wyobrażał. Jednak tu, gdzie teraz stał, panowała cisza. Uwięziona ofiara nadal tkwiła we wraku swojego samochodu, a siedząca obok niej dziewczyna głaskała ją po ręce. Miał ochotę podejść do niej, odepchnąć ją i powiedzieć, żeby zostawiła kobietę w spokoju, jednak wiedział, że nie może. Zamiast tego stał obok mężczyzny, który od razu dostał łatkę sprawcy.

W końcu po dziesięciu minutach od wypadku usłyszał dźwięk przebijającej się przez prawdopodobnie gigantyczny korek karetki. Kamil miał wielką nadzieję, że, jak to w polskim zwyczaju, kilku baranów zignoruje stawiane coraz częściej znaki uczące kierowców tworzenia korytarza życia. Korytarza, dzięki któremu ktoś miał większe szanse na przeżycie, to znaczy szanse na to, że pomoc dotrze na czas. Jednak w tym jednym, wyjątkowym przypadku liczył, że tak się nie stanie. Liczył, że jak dotrą, młoda dziewczyna ze łzami w oczach puści rękę lekarki lub pielęgniarki i cichym głosem wyszepta:

- Już jest za późno.

Kończąc to krótkie, lecz jakże dramatyczne zdanie, rozplacze się na dobre, a z jej gardła wydobędzie się dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszał. Dźwięk rozpacz, bezsilności, ale również złości. Dźwięk, który zostanie z nimi wszystkimi na lata, a z niektórymi nawet do końca życia. A później zapadnie cisza. Wszyscy będą sali w bezruchu i modlili

się w ciszy, aby to ktoś inny wydobył z siebie pierwszy dźwięk. Nikt przecież nie chce bezcześcić tej strasznej chwili. Jednak robi to on – mylnie odbierany przez większość jako sprawca tego zdarzenia – kierowca ciężarówki. Zacznie krzyczeć, zagłuszając płacz kobiety:

– Ja nie chciałem! Nie wiem, jak to się stało!

Jego fantazję na jawie przerwał pisk opon karetki. Zanim jeszcze pojazd się zatrzymał, już pędziło do nich dwóch medyków. W praktycznie tej samej chwili zajechał czerwony samochód pożarniczy, a w nim strażacy niezbędni do uwolnienia zakleszczonej kobiety. Wszyscy uwijali się w ukropie i mimo że Kamil stał dwadzieścia metrów od złożonego w harmonijkę mini morrissa, nic nie widział. Fachowcy robili wszystko, aby wyciągnąć ofiarę z samochodu.

Po piętnastu minutach w końcu udało się i kobieta leżała na noszach. W otoczeniu czterech medyków i kosmicznie wyglądającego sprzętu przeniesiono ją do karetki. Ku uciesze Kamila helikopter nie mógł wylądować z powodów technicznych, jednak już sam fakt niesienia jej do transportu medycznego świadczył o jednym. Ona żyła, a lekarze i pielęgniarki zrobią wszystko, aby ją uratować. W tym momencie jego ciałem wstrząsnęły konwulsje i cały zjedzony parę godzin wcześniej obiad wylądował na nawierzchni drogi. Stojący obok mężczyzna spojrzał na niego ze współczuciem i pewnie pomyślał: „Biedak, mocno to przeżywa”, ale nie dlatego Kamil zwymiotował. W tym momencie uświadomił sobie, że raz jeszcze będzie musiał zrobić coś tak straszego. Przecież nie wykonał swojego zadania.

## Rozdział 20

### Szymon

Każdy dzień w gabinecie różnił się od innych. Niby zawsze już dzień wcześniej miał zamkniętą listę klientów, których problemy z reguły znał, ale każda wizyta zawierała element zaskoczenia. Tego dnia nie było inaczej. Na pierwsze spotkanie o dziesiątej rano przyszła

ponownie Małgorzata Laskowska, matka dziewczynki, która zginęła w wypadku samochodowym. Od razu zauważył, że emanuje z niej zupełnie inna energia. Wyglądała inaczej. Po pierwszych trzech zdaniach miał ochotę zapytać, czy coś brała, jednak nie zrobił tego. Nie do końca czuł, że ma prawo ingerować w tego typu sprawy. Obserwując jej zachowanie, postanowił zmienić plan spotkania. Liczył na to, że dowie się czegoś więcej i pozna źródło jej zaskakującej zmiany.

- Widzę, że dzisiaj dużo lepiej się pani czuje - zagaił Szymon Trojanowski wprost, nie chcąc robić bezsensownych podchodów.

- Tak. W końcu odnalazłam jakiś wewnętrzny spokój - oznajmiła z uśmiechem na twarzy.

- Bardzo się cieszę, że to słyszę. Trauma ma kilka faz i niestety musimy je przejść. Wszystko zaczyna się od fazy nazywanej krzykiem, w której towarzyszą nam wściekłość, smutek, czasami strach, w zależności od tego, co ją wywołało. Później przychodzi zaprzeczenie. Na pewno przeżyła pani chwile, kiedy powtarzała sobie, że to nieprawda, a córka zaraz wejdzie do domu. Kolejna faza to ta, w której przyczyna traumy zionie z każdego miejsca. Pojawiają się działania kompulsywne, ataki paniki. Czwarta przynosi ulgę. Człowiek zaczyna dostrzegać inne aspekty swojego życia, komunikuje się z innymi, odróżnia fantazje od rzeczywistości, co niestety wcześniej nie było takie proste. Na koniec przychodzi pogodzenie się. Oczywiście, nie oznacza to zapomnienia, ale życie dalej. Każda z tych faz jest w pewien sposób ważna. Jednak najistotniejsze jest to, aby po jakimś czasie w końcu zacząć chociaż szcątkowo żyć normalnie.

- Ale ja nie chcę żyć normalnie - powiedziała, czym zbiła go z pantafyku. Zupełnie nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Rozumiem. Po stracie bliskiej osoby nic już nie jest takie normalne.

- Nie jest i nie będzie, ale wiem, że sprawiedliwości stanie się zadość.

- Czyli złapali tego kierowcę?

- Nie, chociaż ja wiem, kto to jest.

- Jak to? - spytał Szymon mocno zaintrygowany. Z dotychczasowych wypowiedzi kobiety wynikało, że sprawca zbiegł z miejsca zdarzenia, a policja nie miała żadnych dowodów wskazujących konkretną osobę.

- Nie zdążyłam ostatnio dokończyć. Ten skurwiel tak mocno uderzył w moją córkę, że wylądowała w krzakach kilka metrów w głąb lasu. Jest też oczywiście możliwe, że sama ostatkiem sił się tam doczołgała. Niestety padał deszcz i jakiś specjalista od takich rzeczy powiedział, że nie jest w stanie ustalić, gdzie Nelka wylądowała po uderzeniu. Zresztą to nieważne. Ważne jest to, że wszystko działo się przy o wiele za dużej prędkości. Koleś pędził jak szalony, zupełnie nie licząc się z konsekwencjami. Nie myślał o tym, że przez jego brawurę ktoś może stracić życie. - Kobieta na chwilę zamilkła, sięgnęła do stojącego przed nią pudełka z chusteczkami, wyciągnęła jedną i głośno wysmarkała nos. Szymon momentalnie poczuł się niekomfortowo, a jego ciało nienaturalnie się napięło. Od kiedy pamiętał, denerwowały go dźwięki takie jak kichanie, smarkanie, przełykanie czy mlaskanie. Zrobił głęboki wdech i wydech, aby się uspokoić, a zarazem nie zwrócić na siebie uwagi. - Wracając do sedna. Od momentu, kiedy wyczułam, że policja nie podchodzi do sprawy poważnie, prowadziłam własne dochodzenie. Przez długi czas nic nie miałam. Ale ostatnio coś się stało - kobieta podniosła wzrok, który cały czas miała skierowany w podłogę, i popatrzyła na Szymona zapłakаныmi oczami - dotarłam do dziewczynki, która coś widziała. Uprzedzając pana pytania, wcześniej mi się to nie udało, bo nie mieszka na stałe w okolicy. Dwa dni po wypadku wyjechała. Powiedziała, że nawet o tym nie słyszała, ponieważ absorbowało ją pakowanie. Okazało się, że tego wieczora widziała kogoś, kto jechał zdecydowanie za szybko tą drogą. Opisała dość szczegółowo jego samochód. Zupełnie przypadkiem udało mi się ustalić, czyje to auto. Jeden z mieszkańców kojarzył jego właściciela.

- Czyli sprawa powinna zostać otwarta, o ile ją wcześniej umorzyl.

- Powinna. Ale nie u nas. Policja, mając świadka, tak poprowadziła przesłuchanie, że dziewczynka zaczęła plątać się w zeznaniach. Dla spokoju przesłuchali gościa i nic. Powiedział, że tamtego dnia faktycznie tamtędy jechał, ale spokojnie, a jego samochód nie nosi żadnych śladów wypadku. - Kobieta zrobiła na chwilę przerwę, zapatrzyła się w ścianę, a w jej oczach pojawił się niepokojący błysk. W końcu delikatnie się uśmiechnęła i powiedziała: - I już moja w tym głowa, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Tymi słowami skończyła wątek. Szymon próbował dowiedzieć się czegoś więcej, jednak kobieta milczała jak zakłeta.



# Rozdział 21

## Jakub

Zawsze wydawało mu się, że cierpliwość to jedna z jego zalet. Teraz jednak wiedział, że bardzo się mylił. Nigdy na nic tak nie czekał jak na drugi list. Nawet w dzieciństwie wizja prezentów pod choinką czy urodzinowej niespodzianki nie wzbudzała w nim takich uczuć. Teraz jednak przekonał się, czym jest poirytowanie, i dobitnie odczuwał na własnej skórze, że może ono popsuć człowiekowi humor. Nie żeby ostatnimi czasy miał dobry, ale jego poziom spadł znacząco i oscylował w okolicach stanów depresyjnych.

W końcu po prawie ośmiu dniach tortur znalazł kolejny list w skrzynce pocztowej. Wyglądał dokładnie tak jak poprzedni. Jego dane wystukane zostały na maszynie do pisania. Zero informacji o nadawcy czy znaczka. Przez chwilę trzymał kopertę w rękach i przyglądał się uważnie, jakby mogła coś mu przekazać. Jakieś wskazówki dotyczące tajemniczej osoby, która go wysłała. Miał wrażenie, że waży więcej, niż powinna. Jakby słowa w niej zawarte dodawały jej wagi. Tuczyły swoim ciężarem. Ostrożnie otworzył kopertę, czując się trochę jak saper rozbijający bombę, po czym wyciągnął z niej kartkę. Niczym się nie wyróżniała. Zwykły papier ksero, formatu A4, bez żadnych ozdób. Taka kartkę każdy może mieć w domu. Ale to tekst, który się na niej znajdował, powodował szybsze bicie jego serca.

„Wiem, że Twoja nienawiść rozsadza Cię każdego dnia, dlatego pomogę Ci usunąć obiekt Twojej złości, frustracji i upokorzenia. Jednak, jak sam pewnie się nieraz przekonałeś, nie ma nic za darmo. Ty też komuś będziesz musiał pomóc. W ten sam sposób”.

Patrzył na kawałek papieru, który bez problemu mógłby zgnieść, spalić, po prostu wyrzucić do śmieci, a słowa na nim zapisane wymazać z pamięci. Ale nie chciał. Nie chciał, aby taka okazja przeszła mu koło nosa. W końcu mógł coś zrobić ze swoim życiem i jak feniks odrodzić się z popiołów.

Dobrze wiedział, że ktoś pewnie by powiedział: „Ale to nic nie zmieni w twojej sytuacji. Nadal nikt nie będzie cię wspierał, a kasa na konto

nie wróci". Okej. Może i miałyby rację. Ale Jakub od zawsze działał zadaniowo. Potrzebował celu, który dałby mu nadzieję, że ze zresetowaną głową, zostawiając za sobą dawne życie, zacznie od nowa. Kiedyś, zanim dostał list, chciał ukarać lekarkę zgodnie z prawem, dlatego poszedł z tym do adwokata.

- Proszę pana, ma pan jakieś szanse na wygraną, jednak są one minimalne. A nawet bliskie zera. Jeżeli mam być szczerzy, praktycznie żaden sąd w Polsce nie zarządzi jakiegokolwiek odszkodowania. Przecież ta kobieta działała w dobrej wierze. Nie udowodni pan, że chciała inaczej. Obrona będzie co chwilę podnosić argumenty, że każdy zdrowy psychicznie człowiek marzyłby o takim obrocie sprawy i że powinien być pan wdzięczny, a nie ciągać po sądach osobę, która leczy ludzi i ma w tym osiągnięcia i długą listę wyleczonych pacjentów. Zrobi pan sobie tylko zły PR, a nic nie zyska.

I tak padł pomysł zemśczenia się zgodnie z prawem. Pewnie gdyby analogiczna sytuacja wydarzyła się w Stanach Zjednoczonych, już miałby na koncie niezłą sumkę i cieszył się z powrotu do zdrowia. Ale w Polsce takie rzeczy się nie zdarzają. Lekarz nie jest pociągany do odpowiedzialności za popełnione błędy, a szczególnie taki jak jego. Jakub Drzewiecki rozmyślał o tym godzinami. W jego ocenie to, co się stało, kwalifikowało się jako błąd, niezależnie od tego, jak ocenia to społeczeństwo. Gównu go obchodziło, co o tym myślą inni. Miał umrzeć. Przygotował się na to. Chciał zrobić to najlepiej, jak potrafił, jak wszystko, co w życiu robił. I nie udało mu się, jednak nie z jego winy.

Dlatego teraz ten trzymany w ręku kawałek papieru mógł w końcu coś zmienić. Pomóc i być impulsem do działania. Tylko... Poczł, jak pot spływa mu po plecach. Czy będzie w stanie zrealizować postawione przede nim zadanie? Czy jest typem osoby, która potrafi stanąć twarzą w twarz z ofiarą, spojrzeć jej głęboko w oczy i bez cienia wątpliwości pociągnąć za spust? Kiedyś słyszał, że w każdym z nas tkwi morderca i tylko okoliczności, w których się znajdujemy, determinują, czy się on ujawni, czy będzie trwał uśpiony do końca naszych dni.

„Wiem, że Twoja nienawiść rozsadza Cię każdego dnia, dlatego pomogę Ci usunąć obiekt Twojej złości, frustracji i upokorzenia. Jednak, jak sam pewnie się nieraz przekonałeś, nie ma nic za darmo. Ty też komuś będziesz musiał pomóc. W ten sam sposób”.

Nie musiał już czytać tego tekstu, był on wryty w jego pamięci, jak u większość dzieci fragment pana Tadeusza. W nocy, wyrwany ze snu, mógłby go wyrecytować bez zająknięcia. Tekst ten budził w nim zarówno euforię, jak i strach. Strach przed tym, jakie będą konsekwencje tego, co miałyby zrobić. Czy autor listu będzie wymagał od niego, żeby kogoś zabił? A co, jak tego nie zrobi? A co, jak doniesie na policję? Oczywiście nie planował tego.

Zawsze starał się działać zgodnie z prawem. Nie zawsze mu to wychodziło, ale nigdy nie zrobił niczego, co naraziłoby inną osobę na utratę życia lub zdrowia. A teraz miałyby kogoś zabić? Pomysł był dość abstrakcyjny, jednak po głębszej analizie Jakub doszedł do wniosku, że doskonały. Już wielokrotnie wcześniej myślał o tym, jak fantastycznie by się czuł, zabijając tę durną babę. Mógłby ją potrącić lub zepchnąć ze schodów. Tylko policja od razu wpadłaby na jego trop, dlatego zabicie zupełnie nieznanego osoby, by ktoś inny zajął się lekarką, było doskonałe w swojej prostocie. Nikt nie mógłby go z tym połączyć. Oczywiście pod warunkiem, że by tego nie spieprzył.

W końcu po tygodniu tortur, bo tak się czuł, żyjąc w oczekiwaniu na kolejny list, dostał wiadomość.

„Twoim zadaniem jest zabicie pewnego mężczyzny. Co tydzień odwiedza on basen przy...” Czytał to z zapartym tchem. Ktoś, kto to wymyślił, miał głowę na karku. Wszystko dokładnie przemyślał. Każdy detal. Jedynym niepewnym elementem tej układanki był on sam.

## Rozdział 22

### Kamil

Leżał na łóżku i czuł rozsadzającą go złość. Od zawsze czuł się wybrakowany. Każdy jego pomysł kończył się spektakularnym fiaskiem. Teraz okazało się, że nawet zabić nie umiał porządnie. Miał wrażenie, że zaraz wybuchnie. Chciał coś z tym zrobić, uwolnić się od tego uczucia, ale w głowie miał wielką pustkę.

Na szczęście już następnego dnia dostał wsparcie. W skrzynce czekał na niego list. Był praktycznie pewien, że będzie miał wydzwięk oskarżycielski. Że pomysłodawca tej całej akcji będzie go osądzał i obarczał winą za niepowodzenie, ale nie. Dostał wsparcie psychiczne i rozwiązanie. Rozwiązanie, które może go nie satysfakcjonowało, bo było trudniejsze do realizacji niż przecięcie przewodów, jednak dawało możliwość skończenia tego, co zaczął.

Jedyne, co przerażało Kamila Bednarczyka, to fakt, że wokół sprawy zrobiło się głośno. Zupełnie przez przypadek natrafił na artykuł:

*Milena Nowicka to niesamowita postać Szpitala Zachodniego w Grodzisku Mazowieckim. Pani doktor słynie nie tylko z ratowania ludzi, ale również z pomocy rodzinom i bliskim chorych. Wraz z grupą przyjaciół założyła Fundację Razem Raźniej, która jeździ po lokalnych szpitalach oraz hospicjach i daje niesamowite przedstawienia.*

*Niestety teraz to pani doktor potrzebuje wsparcia. W wyniku wypadku samochodowego doznała poważnych obrażeń głowy oraz licznych złamań. Aktualnie jej stan jest stabilny, a jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, jednak czeka ją długa droga do pełnej sprawności.*

- Kurwa! - krzyknął sam do siebie i z całej siły zamknął klapę laptopa.

Zanim przeciął przewody w mini morrisie, liczył się z tym, że jego ofiara ma rodzinę, przyjaciół, znajomych, ale wierzył, że nie jest kryształową osobą. Musiała coś komuś zrobić, skoro zasłużyła na śmierć. Jednak lektura artykułu wzbudziła w nim strach. Myśli wirowały w głowie, podpowiadając coraz bardziej szalone pomysły. A co, jak się teraz wycofa? Czy będzie mu coś groziło? Może ktoś doniesie na niego policji? A może sam stanie się ofiarą?

## Rozdział 23

Jakub

Po raz ostatni postanowił posłuchać siedzącego mu na ramieniu aniołka i zadzwonił do szpitala. Niby mieli przygotować dla niego jakieś zadośćuczynienie, ale zgodnie ze słowami adwokata nie miał szansy na zbyt wiele. Na cokolwiek. Mimo to chciał dać im ostatnią szansę. Chciał po raz ostatni wyciągnąć do nich rękę.

- Sekretariat doktora Grzegorzewskiego. W czym mogę pomóc?

- Z tej strony Jakub Drzewiecki, chciałem spytać...

Nie zdążył skończyć, bo kobieta mu przerwała.

- Panie Drzewiecki, mówiłam panu, że to potrwa. Nasi prawnicy zastanawiają się, jak możemy panu pomóc zgodnie z prawem. Poza tym teraz najważniejsze jest życie i zdrowie pani doktor.

- Jak to? - spytał zdziwiony.

- Nie słyszał pan? Pani doktor Nowicka miała wypadek, walczy o życie i...

Więcej nie usłyszał, ponieważ się rozłączył. Patrzył w telefon jak zaczarowany, nie do końca rozumiejąc ciężar wypowiedzianych przez kobietę słów.

Stało się. Cały czas, gdy myślał o listach, czuł, że to jakaś gra, fikcja, że to nie na poważnie. Fakt, że on miał pozbawić kogoś życia, był praktycznie tak samo nierealny jak to, że ktoś dla niego miał pozbawić życia lekarkę. Kobietę, która zrujnowała mu życie i odebrała nie tylko pieniądze, pozycję, perspektywy, ale i chęć do życia. Spowodowała, że najchętniej rzuciłby się z mostu i rzeczywiście skończył swój żywot.

A teraz miał namacalny dowód, że to wszystko dzieje się naprawdę i ktoś faktycznie zrobił to dla niego. Jakaś nieznana osoba wzięła jego sprawy w swoje ręce. Coś poszło nie tak, ale nie zmieniało to faktu, że została podjęta próba. Dla niego oznaczało to tyle, że również będzie musiał kogoś zabić.

Czy bał się tego? Oczywiście. Przerazenie ogarniało jego umysł, nie zostawiając miejsca na inne uczucia. Miał pozbawić kogoś życia. Kogoś, kto pewnie miał rodzinę. Bliskich. Najwyraźniej miał również wrogów, ale otaczały go też osoby, które go kochały, lubiły, a może i podziwiałały. Dlatego Jakub z pełną premedytacją podjął decyzję, że nie będzie sprawdzać, kim jest jego ofiara. Mogłoby się okazać, że kiedyś się poznali lub mają wspólnych znajomych. Wolał tego nie wiedzieć. Chciał skupić się na zadaniu i podejść do tego profesjonalnie.

Pomysł na zabicie jego ofiary prezentował się dość specyficznie. Gdy dostał pierwszy list, myślał, że czeka go klasyczne morderstwo. Że będzie musiał zdobyć broń, a może że ją dostanie, a potem w jakiejś ciemnej uliczce wyceluje w tył głowy swojej ofiary i pociągnie za spust. Ale nie. On miał zrobić coś zupełnie innego.

Wszystko wydawało się ekstremalnie łatwe, niemal dziecinne proste do wykonania. Należało tylko wykonać plan krok po kroku, a na końcu czekała go nagroda. Zemsta.

## Rozdział 24

### Ryszard

Gdy tylko Ryszard Kozłowski przekroczył próg komendy, poczuł ulgę. Od trzech miesięcy jego dzieci chorowały na zmianę, co oznaczało, że musiał przebywać z nimi więcej, niżby chciał. Kochał je, ale panujące w domu jazgot, krzyki, szuranie krzesłami, niekończące się pytania: „kiedy obiad?”, „pobawimy się?” albo najgorsze hasło: „nudzi mi się” doprowadzały go do wyczerpania psychicznego. Przez dłuższy czas nie miał pojęcia, jak jego żona Monika sobie z tym radzi. Posądział ją nawet o konszachty z diabłem, aż w końcu zdradziła mu swój sposób:

- Ja od rana lecę na ashwagandzie i innych zamulaczach. Nie trzepią mocno, ale dają radę. Chcesz? - zapytała i wyciągnęła w jego stronę pudełko pełne jakichś tabletek.

Niestety, nawet jakby chciał, to nie mógł. Musiał zawsze być sprawny umysłowo, dlatego by uciec przed nieustającym domowym chaosem, robił wszystko, aby jak najwięcej przebywać poza domem.

Wdrapał się na pierwsze piętro niewysokiego budynku komendy rejonowej policji, po drodze pozdrawiając kolegów miłym uśmiechem, który nie był dla niego naturalny, i po dłuższej chwili stanął przed drzwiami niewielkiego biura, w którym pracował z trójką innych funkcjonariuszy. Średnio się lubili. Zresztą nie mógł powiedzieć, że z kimkolwiek z pracy łączyła go jakakolwiek więź. Nikt nie zareagował

entuzjastycznie na jego wejście. Żadnego „cześć”, „jak się masz”. Już się do tego przyzwyczaił i nie przejmował się tym.

Wyciągnął z przewieszzonej przez ramię płóciennej torby z kolorowym nadrukiem przygotowany przez żonę zestaw obiadowy, który miał pomóc mu zrzucić zbędne kilogramy, i postawił na biurku. Uruchomił komputer i w oczekiwaniu rzucił niby od niechcenia:

- Coś ciekawego się działo?

- Poza morderstwem tego architekta to zupełnie nic - odpowiedział siedzący najbliżej Ryszarda Kacper Romanowski. To z nim najczęściej rozmawiał, może dlatego, że facet miał lekkie zaburzenia, podejrzewano nawet autyzm, dzięki czemu nigdy nie brał do siebie głupich uwag Ryszarda.

- A wiadomo coś więcej o zdechlaku? - spytał i od razu pożałował. Jak zwykle musiał chlapnąć coś nie na miejscu, mimo że starał się nad tym panować.

- Czekamy na wyniki badań. Na razie wiadomo, że zginął od ciosów nożem. Co zaskakujące, jego własnym, kuchennym. Prawdopodobnie do steków, dlatego bardzo ostrym. Żadnych śladów włamania, tak jakby morderca miał klucze i znał kod do alarmu.

- Alarm się zepsuł - wtrącił siedzący w kącie Bartosz Topola. Kiedyś trenował karate, jednak po nagłym zakończeniu kariery sportowej postanowił realizować się w policji. Zawsze miał wszystko zaplanowane i był niezwykle skrupulatny. Stanowił zupełne przeciwieństwo Kozłowskiego. - Gdy technicy już się pakowali, pod dom zamordowanego podjechał jakiś facet i powiedział, że przyszedł naprawić alarm. Już został przesłuchany. Twierdzi, że nikomu nie mówił o alarmie. Pracuje sam. Nie zatrudnia nikogo.

- To dziwne - skomentował Ryszard i otworzył skrzynkę mailową.

- A nie, przepraszam - rzucił Romanowski, nie odrywając wzroku od swojego komputera. - Wypadek na Wisłostradzie. Jakaś niezła masakra, tak Witek z drogówki powiedział, ale to nie nasza brocha. Jakaś pielęgniarka czy lekarka ze Szpitala Zachodniego w Grodzisku przywaliła swoim morrisem w ciężarówkę. Podobno...

Reszty Ryszard nie usłyszał, bo już biegł na drugie piętro komendy, gdzie siedział rzeczony Witold Domański, gdy akurat nie był w terenie.

Policjant znalazł go przy jego biurku, wypełniał właśnie jakieś dokumenty. Kozłowski, zupełnie nie panując nad tonem, krzyknął:

- Wiadomo coś o ofierze z Wisłostrady? Jak się dokładnie nazywa?

- Stary, spokojnie. - Kolega odwrócił się do niego. - Powtórz, bo nie zrozumiałem.

- Czy znasz personalia osoby z wypadku na Wisłostradzie? - spytał, próbując zachować spokój.

- Tak. Miała ze sobą dokumenty. To...

Gdy usłyszał dane, cały pokój zaczął wirować, a nogi automatycznie się pod nim ugięły.

## Rozdział 25

### Jakub

Od dwóch dni nie mógł spać. Żołądek skręcał mu się z nerwów, a na samą myśl o jedzeniu robiło mu się niedobrze. Wiedział, że musi się przemóc i zjeść cokolwiek, bo byłoby to dość zabawne, gdyby go złapali, ponieważ zemdlał na miejscu zbrodni. Kupił w aptece małe jogurty pitne ze zwiększoną kalorycznością i wypił je z obrzydzeniem. Powiedzieć, że było to niedobre, to jakby nic nie powiedzieć. Ale spełniło swoją funkcję.

Pełen energii, spakował torbę na basen i po raz setny zajrzał na fanpage Szpitala Zachodniego w Grodzisku Mazowieckim, gdzie na bieżąco publikowano informacje o stanie zdrowia tej durnej baby. Bez zmian. Trochę niepokoiło Jakuba to, że ktoś się ociąga i cały czas nie dokończył swojego zadania. „To kwestia czasu”, pomyślał i wyszedł z wynajmowanego mieszkania, które cały czas śmierdziało poprzednimi lokatorami - parą dwóch meneli, którzy zbierali po śmietnikach butelki i puszki.

Droga na basen zajęłaby mu dziesięć minut samochodem, ale postanowił pójść pieszo. Chciał zostawić po sobie jak najmniej śladów. Bilet na basen kupił przez internet, na świeżo stworzone konto



mailowe, które założył w kafejce. Do tego ubrał się w zupełnie nierzucający się w oczy strój.

Na basenie kręciło się sporo osób, więc nikt nie zwrócił na niego uwagi, szczególnie że na głowie miał czepek, a na twarzy gogle pływackie. Chwilę popływał, cały czas próbując wymyślić, gdzie może się ukryć i poczekać na pojawienie się ofiary.

Na jego szczęście część zjeżdżalni była w remoncie i odgradzona została od reszty kompleksu rusztowaniem, na którym zawieszono wielką plandekę z informacją ZJEŹDŹALNIE NIECZYNNE Z POWODU REMONTU. PRZEPRASZAMY ZA UTRUDNIENIA. Uśmiechnął się sam do siebie. Szczęście mu sprzyjało. Wyszedł z basenu, owinął się ręcznikiem i ruszył w stronę remontowanej części. Rozejrzał się i nie widząc nikogo patrzącego w jego stronę, wszedł w zakazaną strefę. Pozostała godzina do zamknięcia basenu.

Usiadł w kącie, za pudłami, tak aby nikt go nie zauważył, i czekał. Miał wrażenie, że wskazówka na jego zegarku stoi w miejscu. W końcu ludzie zaczęli wychodzić, o czym świadczył cichnący zgiełk. Niewiele później zapadła totalna cisza i ktoś zgasił wszystkie światła. Zapanowała ciemność. Powoli wyszedł zza kartonów i wyprostował się. Od tego siedzenia na podłodze zaczął boleć go kręgosłup i zrobiło mu się zimno. Niestety to był spory problem. Tej części planu nie dopracował. Drugi komplet ubrań zostawił obok wejścia dla personelu, którym zamierzał wyjść. Jednak zupełnie nie pomyślał o tym, że czekając na ofiarę w samych gaciach kąpielowych z zarzuconym na plecy ręcznikiem, może zmarznąć.

Pocierając ramiona rękoma, przeszedł do kompleksu saun, który mieścił się tuż obok zamkniętych zjeżdżalni, i po chwili znalazł pomieszczenie, które mogło być znakomitym punktem obserwacyjnym. ZAKAZ WSTĘPU. TYLKO DLA PRACOWNIKÓW. Idealnie.

Chwycił za klamkę i w tym momencie zauważył po prawej stronie czytnik kart.

- Kurwa - powiedział sam do siebie, licząc jeszcze przez ułamek sekundy, że to nic nie znaczy.

Gdy jednak klamka mimo mocnego nacisku nie drgnęła nawet o milimetr, wiedział, że nici z planu. Ruszył na dalsze poszukiwania, gdy usłyszał jakiś dźwięk. Z listu, który otrzymał, wynikało, że jego ofiara

powinna pojawić się dopiero za godzinę. Musiało się coś wydarzyć, że mężczyzna przyszedł wcześniej. W tym momencie światła w strefie saun zapaliły się. Jakub stał centralnie na środku pomieszczenia, z którego wchodziło się do poszczególnych kabin. Nie mógłby być bardziej widoczny. W ostatnim momencie rzucił się w stronę stojących po prawej stronie leżaków i przywarł do podłogi tak, jakby próbował się jeszcze bardziej rozpląszczyć. Sekundę później otworzyły się drzwi i ktoś wszedł. Widział tylko przesuwające się po podłodze stopy w czarnych klapkach typu japonki. Patrzył, jak przechodzą obok leżaków, między którymi się schował, i kierują w stronę jednej z saun. Miał wielką nadzieję, że mężczyzna pójdzie od razu do suchej, w której miał spędzić ostatnie chwile swojego życia. Jakub usłyszał trzaśnięcie drzwi i znowu nastała cisza. Wiedział, że teraz czas na jego ruch.

## Rozdział 26

### Szymon

Fakt niestawienia się pacjenta na umówioną wizytę nie jest niczym niespotykanym dla żadnego psychologa, psychiatry czy terapeuty. Pacjenci często rezygnują z terapii i bez słowa przestają się pojawiać. Jednak od kiedy Szymon rozpoczął swoją praktykę, starał się w takich sytuacjach nie odpuszczać i chociaż grzecznie próbować się pożegnać. Niestety w przypadku Marcela Zawadzkiego nie było mu to dane. Mężczyzna nie odbierał telefonu, nie odpowiedział również na jego SMS.

Może nawet by się tym bardzo nie zdenerwował, gdyby nie fakt, że ostatnimi czasy jego życie prywatne było pasmem nieszczęść i rozpaczy. Iga nie przyszła na ich terapię małżeńską, a od kilku dni nie odbierała telefonu. Wiedział, że w pracy ma kipisz, bo musi przygotować rozliczenia, jednak zawsze, nawet w okresach najbardziej intensywnej pracy, oddzwaniała. A teraz nic.

- Ona nie jest ciebie warta - skomentowała jego zatroskaną minę matka.

- Według ciebie nikt nie jest mnie godny.

- Bo trafiasz na nieodpowiednie kobiety.

- Czyli uważasz, że w ciągu moich trzydziestu siedmiu lat nie spotkałem żadnej wartościowej? - rzucił Szymon i usiadł na jednym z krzeseł w poczekalni.

Niemіłosiernie piekły go uda po ostatnim treningu. Chętnie pochwaliby się matce tym faktem, ale wiedział, że nie spotka się to z entuzjazmem. Matka w każdej formie aktywności dostrzegała zagrożenie, jak zresztą we wszystkim. Najchętniej zamknęłaby go w złotej klatce i nigdy nie wypuszczała.

- Jeszcze nie masz trzydziestu siedmiu.

- Mamo, to nie ma znaczenia! - krzyknął, czego od razu pożałował. Mimo że bardzo demotywowała go taka nadopiekuńczość, wiedział, że matka robi to w dobrej wierze. - Czyli uważasz, że przez całe moje życie nigdy nie spotkałem odpowiedniej kobiety?

- Tak. Te, które poznałeś, nawet nie przechodziły koło ideału - powiedziała, po czym w końcu podniosła wzrok znad klawiatury.

- Ty tak serio?

- Oczywiście. To nie powód do żartów. Moim zdaniem źle szukasz.

- Ale ja nie szukam. Mam żonę - skomentował zdenerwowany. Chciałby mieć w matce oparcie, usłyszeć dobre słowo, ale nie. Niby zawsze twierdziła, że wszystko, co robi, to dla jego dobra, ale od lat wiedział, że inaczej rozumieją, czym to dobro jest.

- A co to za żona, która nie mieszka z mężem...

- Tak, nie powinno tak być, ale mamy problemy. Zresztą kto ich nie ma?

- My z tatą nie mieliśmy - powiedziała pewnym głosem. Najchętniej by jej przerwał i wyrzucił, że to nieprawda. Dobrze wiedział o romansie ojca z sąsiadką, panią Elą. Co śmieszne, podobno każdy o tym wiedział, ale ku zaskoczeniu wszystkich matka nic z tym nie robiła i cały czas powtarzała, jakim to świetnym są małżeństwem. Teraz robiła to nadal, nawet po tylu latach od jego śmierci. - Twój ojciec był doskonałym mężem, wspaniałym ojcem i...

Nie skończyła mówić, bo jej przerwał:

- Błagam, nie mów, że kochankiem. Nie przeżyję tego.

- O co ty mnie posądzasz?! Twój ojciec był znakomitym pracownikiem. Cenili go wszyscy, którzy go spotkali. A ta twoja Iga to co? Żona z niej słaba. Nie karmi cię dobrze, zmusiła cię nawet do operacji zagrażającej twojemu życiu.

- Raczej ratującej życie.

- Czytałam w internecie, że często występują poważne skutki uboczne. Poza tym nie potrzebowałeś jej.

- Mamo, wyglądałem jak spasiona świnia. Pociłem się, wchodząc po schodach na pierwsze piętro - rzucił Szymon.

Dobrze pamiętał, jak się wtedy czuł. Odraza, wstręt do własnej osoby, te uczucia nie opuszczały go nawet na moment. To właśnie dzięki Idze po raz pierwszy zdecydował się powalczyć o siebie. Niektórzy uważali, że idąc na operację, wybrał drogę na skróty, ale inaczej nie dałby rady. Po zabiegu schudł czterdzieści kilogramów, zmienił nawyki, dlatego wróciło tylko kilkanaście kilogramów. Teraz planował znowu o siebie zawalczyć.

- Ja też się męczę, wchodząc po schodach, a lekarz twierdzi, że mam niedowagę. Sam widzisz, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Ma.

- Poza tym Iga nie może ci dać dzieci! - Poruszyła kolejny temat, który uwielbiała wałkować. - No i jeszcze ta jej praca. Wrzuca w tabelki jakieś cyferki i czeka, aż system wyrzuci jej wynik. Zero wysiłku i finezji. Nie to co ty. Pomagasz ludziom. Sprawiasz, że ich problemy stają się mniejsze. Oczywiście byłoby lepiej, jakbyś pracował jako architekt lub prawnik, ale już trudno. I tak jesteś lepszy od tej imitacji kobiety.

- Mamo, przestań, to moja żona. Nie możesz tak o niej mówić.

- Mogę i będę, szczególnie że widzę, jak cię rani i że przy niej nieniechę. Czy ty widziałeś, jak ostatnio wyglądasz? Cień człowieka.

Tak ostatnio przebiegały ich rozmowy. Kiedyś przez ułamek sekundy miał nadzieję, że matka polubi Igę. Potem liczył, że chociaż zaakceptuje, ale to też trwało krótko. Teraz marzyło mu się zawieszenie broni. Najgorsze, że i żona nie pałała miłością do swojej teściowej.

- Wiesz, co ona mi powiedziała? - rzuciła Iga pewnego dnia, gdy wieczorem usiedli na kanapie i szukali filmu do obejrzenia we dwoje.

- Ale kto? - spytał Szymon, nie odrywając wzroku od ekranu i cały czas przeskakując po wyświetlanych okładkach propozycji filmowych.

- No twoja matka. Wstąpiłam dzisiaj do ciebie do gabinetu, gdy miałam przerwę.

- Jak to? O której? - spytał zdziwiony.

- Chyba około dwunastej.

- Dlaczego nie weszłaś do mnie?

- Miałaś klienta - powiedziała Iga.

- Nie. Od jedenastej do trzynastej miałem przerwę i robiłem notatki z terapii.

- Ja pierdzielę! - krzyknęła Iga. - Ona jest nienormalna. Powiedziała, że masz klienta i broń cię Boże, nie mogę do ciebie wchodzić.

- Dziwne. Może źle usłyszałaś? - dopytywał dalej. Miał nadzieję, że to po prostu nieporozumienie. Bo jeżeli było tak, jak Iga opowiadała, to oznaczało, że matka weszła na wyższy poziom ataku na jego żonę.

- Wiesz co, wiele można mi zarzucić, ale słuch mam dobry, szczególnie jak stoję z kimś twarzą w twarz. A wiesz, że nawet jej brew nie drgnęła, nic. Kamienna twarz. Gdybym nie znała jej „miłości” do medycyny estetycznej, pomyślałabym, że wcisnęła sobie za dużo botoksu.

- Ale co dokładnie ci powiedziała? - Nadal trudno mu było uwierzyć w to, co mówiła Iga.

- Tak jak już mówiłam, że mam ci nie zawracać głowy, bo masz klienta. W takiej sytuacji się nie dyskutuje. Nie było to na tyle ważne, żebym musiała wchodzić do gabinetu i ci przerywać. Nie paliło się, więc wyszłam.

- A może powiedziała, że jestem zajęty?

- Nie, na sto procent mówiła o kliencie. - Iga twierdząco pokiwała głową i pociągnęła większy łyk wina z kieliszka, który trzymała w dłoni.

Szymon nigdy nie mógł zrozumieć miłości żony do tego trunku. On sam bardzo rzadko spożywał alkohol. Okazjonalnie piwo, i to z reguły z Olafem. Pewnie dlatego, że gdy był młodym chłopcem, matka na każdym kroku opowiadała mu o szkodliwym wpływie procentów na człowieka. Kazała oglądać drastyczne filmy z ofiarami wypadków samochodowych i przysięgać na jej życie, że nigdy się nie upije, a

najlepiej nawet nie spróbuje alkoholu. Przed laty wyjątki robił tylko przy Blance.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Ona po prostu się o mnie troszczy.

- Super, tylko dlaczego przy okazji za każdym razem musi mi dosrywać?

- Jeju, coś jeszcze ci powiedziała?

- Zanim powiem, to mam szybkie pytanie. Wspominałeś jej, że się odchudzam?

- Nie wiem, może. Zresztą przecież ty zawsze jesteś na jakiejś diecie.

- Aha, a więc twoja mama aż zapiszczała z niesmakiem na mój widok. Trochę to brzmiało jak wybuczenie nielubianego piłkarza, po czym tym swoim irytującym głosikiem dodała „Chyba coś ci dupka urosła, Igo”. Kumasz? Tylko że ja ostatnio schudłam pięć kilogramów, a mimo to ona twierdzi, że przytyłam. Jakim wrednym człowiekiem trzeba być? Ja się nie dziwię, że obżerałeś się przez całe dzieciństwo. Też musiałabym w jakiś sposób odreagować.

- Ja niczego nie odreagowywałem. Po prostu zawsze lubiłem dużo jeść, a mama świetnie gotuje.

- Wiem, tego też nie omieszkała mi wytknąć. Bo cały czas nie wyjaśniłam, po co wpadłam. Przyszłam do ciebie, ponieważ dostałam nową próbkę cateringu, o którym ci mówiłam. Chciałam zrobić ci niespodziankę, ale niestety twoja matka kazała zabierać mi to gównu, bo jej ukochany syn nie będzie jadł rzeczy niewiadomego pochodzenia. Po czym dodała, że w sumie to się nie dziwi, że sięgam po takie rozwiązania, bo przecież ja nie potrafię gotować. I ty chudniesz dlatego, że głodujesz, i jak tak dalej pójdzie, to się poważnie pochorujesz z tego powodu.

- Możemy zmienić temat? - Podszedł bliżej żony i dał jej buziaka w czoło. - Teraz jesteśmy tu sami, więc może wygnamy na chwilę moją mamę z naszego domu i zajmiemy się sobą. Mamy chyba kolejny sezon „Wikingów” do obejrzenia. - Nie czekając na jej reakcję, chwycił dietetyczną colę, którą się ostatnio zapijał, i włączył serial.

# Rozdział 27

## Ryszard

Staął przed drzwiami do sali, w której leżała jego siostra, i wziął głęboki wdech. Wiedział, czego się spodziewać, lecz gdy w końcu stanął metr od jej łóżka, poczuł, że znowu zaczyna mu się kręcić w głowie. Jego ukochana młodsza siostra spoczywała nieruchomo na szpitalnym łóżku, a z jej przedramienia wychodziły jakieś rurki. Głowę miała całą zabandażowaną, a prawa noga leżała nieprzykryta szpitalnym kocem, ponieważ od pachwiny po kostkę była w gipsie. Z rozmowy, którą Ryszard przeprowadził przez telefon, wynikało, że stan Mileny jest stabilny i na chwilę obecną nic jej nie zagraża, jednak mimo to jej wygląd nie napawał optymizmem. Wyglądała przerażająco.

Podszedł bliżej siostry i przysiadł na szpitalnym łóżku. Chwytał za dłoń kobiety i zaczął ją delikatnie głaskać, starając się nie dotykać rurek. Bał się, że może którąś uszkodzić, a tym samym spowodować, że Milena nie będzie dostawać swoich leków.

W tym momencie nawet cieszył się, że ich rodzice zginęli w wypadku samochodowym dziesięć lat temu i nie musieli teraz patrzeć na swoją ukochaną córkę w takim stanie. Widok ten nie byłby dla nich łatwy. Zresztą każdy rodzic mocno by to przeżywał. Sam kiedyś widział swoją córkę na szpitalnym łóżku, gdy miała raptem trzy lata, i była to jedna z najbardziej traumatycznych rzeczy, jakie kiedykolwiek widział. A pracując już osiemnasty rok w policji, widział dużo.

Siedział tak już dobrą godzinę, ignorując wibrujący w kieszeni telefon, gdy poczuł lekki ruch ręki siostry. Na początku myślał, że mu się wydaje, ale gdy Milena bardzo powoli, wręcz z trudem zaczęła otwierać oczy, wiedział, że się budzi. Momentalnie zerwał się na równe nogi i nacisnął guzik alarmowy, ponieważ umówił się z lekarzem prowadzącym, że jak coś takiego się wydarzy, natychmiast poinformuje personel.

Po dziesięciu minutach stał wraz z lekarzem oraz pielęgniarką i patrzyli, jak Milena bardzo powoli, mikroskopijnymi łydkami pije wodę.

- Tak mi się chciało pić, że musiałam się wybudzić - powiedziała z lekkim uśmiechem na twarzy, czym zaskoczyła lekarza, ale nie jego.

Przyzwyczał się do poczucia humory siostry, która potrafiła każdą, nawet najgorszą sytuację obrócić w żart. Może to właśnie dzięki temu tak dobrze odnajdywała się w swojej pracy. Pamiętał, jak kiedyś powiedziała, że nawet zazdrości tym kobietom po chemii, które tracą włosy, ponieważ oszczędzają na fryzjerze i nie tracą czasu na wybieranie fryzury. Wielokrotnie próbował być jak ona, chociaż zazwyczaj to młodsze siostry naśladują starszych braci, nie odwrotnie. Zawsze zazdrościł jej tej lekkości w komunikowaniu się z ludźmi, zjednywania ich sobie w trudnych sytuacjach. U niego zazwyczaj kończyło się brakiem zrozumienia, wyśmiewaniem lub głupimi przytykami. Z czasem przestał się tym mocno przejmować.

Po zbadaniu Mileny przez lekarza zostali sami.

- W końcu trochę odpoczęłam - rzuciła, jak zamknęły się drzwi za personelem medycznym.

- Nie mogłaś wziąć urlopu i gdzieś wyjechać?

- To nie w moim stylu. Poza tym niektórzy mówią na mnie „żelazna Mila”, więc to nie przystoi. Na urlop chodzą mięczaki. - Znowu się uśmiechnęła i poklepała go po ręce.

- Mam w dupie, jak na ciebie mówią. Napędziłaś mi niezłego stracha.

- Oj, przestań. Byle wypadek mnie z tego świata nie teleportuje.

- Ty jesteś nienormalna - rzucił Ryszard.

- No i co z tego? Nie pogodziłeś się jeszcze z tym, że jestem inna?

- Okej, bądź sobie nawet i kosmitką, tylko nie wjeżdżaj w dupę ciężarówkom. Witek, kolega z drogówki, powiedział, że dawno nie widział tak zmasakrowanego samochodu, z którego wyciągnięto kogoś żywego.

- O fuck. Nie pomyślałam. Co z moim morriskiem? - rzuciła i poprawiła leżącą na jednej nodze kołdrę.

- Twoim autem? Serio martwisz się teraz o samochód?

- Tak, bardzo go lubię. Jest jak moje dziecko. Karmię go, myję. Oczywiście nie za często, bo to podobno szkodzi. - Puściła do niego oczko.



- To się odzwyczaj, bo nawet na części już nie pójdzie. Nie wiem, czy chociaż jeden element przetrwał w całości.

- Oby ubezpieczyciel wypłacił odszkodowanie.

- Oby. Niestety na razie większość osób twierdzi, że zrobiłaś to celowo. - Ostatnie słowo podkreślił grymasem, aby wiedziała, że nie do końca w to wierzy.

- Celowo? Że niby co? Chciałam się zabić? - Twarz Mileny przybrała zupełnie inny wyraz. Głupkawy uśmiezek, którym denerwowała brata, zniknął i pojawiła się powaga.

- Żeby nie było, nie wierzę w to - zapewnił od razu Ryszard. Gdy tylko dowiedział się o wypadku, przez ułamek sekundy nawet to rozważał, ale szybko odrzucił tę myśl. Jego siostra nie mogłaby chcieć się zabić. Kochała swoje życie. - Tylko niestety wszystko na to wskazuje - skomentował.

- Mam w dupie to, co inni myślą. Ja nie chciałam się zabić. Coś musiało się stać z autem. Musisz to wyjaśnić, i to natychmiast - rzuciła i podniosła się. Powoli uniosła kołdrę i zaczęła się obracać, jednocześnie spuszczać zdrową nogę na podłogę.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął i stanął przy jej łóżku, tak aby uniemożliwić jej wstanie.

- Muszę stąd wyjść. Nie może tak być, że ludzie myślą, że chciałam się zabić.

- Uspokój się. - Ujął jej nogę, która już zwisała z łóżka, i powoli położył. - Po pierwsze, ja ci wierzę. Po drugie, zrobię wszystko, aby dowiedzieć się, co dokładnie się stało. Początkowo myślnano, że to wina kierowcy ciężarówki, pod którą wjechałaś. Wyprzedzała inny pojazd i sądzono, że facet się zagapił lub może czegoś przestraszył i nagle nacisnął pedał hamulca. Ale szybko odrzucono tę wersję. Niewiele za tobą jechał jakiś mężczyzna, który miał zamontowaną kamerę. Dobrze widać, że ciężarówka jedzie stałą prędkością. Nie przyspiesza jakoś bardzo, ale też nie hamuje. Za to twój samochód jedzie coraz szybciej i nie hamuje, ale też nie próbuje zrobić żadnego uniku - skończył i poprawił kołdrę, ponownie zakrywając jedną nogę.

- Boże, ja nic nie pamiętam. Ostatnie moje wspomnienie to jak wyjeżdżam spod szpitala. Później nic. - Milena spojrzała na niego bezradnie.

- To chwilę jeszcze jechałaś. Wypadek miał miejsce niedaleko mojej komendy, przed tunelem. A w ogóle to dokąd ty jechałaś?

- Hmm... - Popatrzyła na niego pustym wzrokiem. - O Boże! - krzyknęła nagle. - Daj mi telefon, muszę zadzwonić. Umówiłam się z Gabrysią, pewnie się zdenerwowała, jak do niej nie dotarłam.

## Rozdział 28

### Ryszard

Praca w policji nauczyła Ryszarda Kozłowskiego, że każdy szczegół ma znaczenie. Będąc młodym, początkującym policjantem, dostał wezwanie do awantury domowej. Ktoś słyszał krzyki. Gdy przyjechał pod wskazany adres, okazało się, że mieszka tam para starszych ludzi. Wszystko wyglądało okej. Przeprowadził wywiad, bez zarzutów. Gdy już stał w progu, zobaczył mały okruch szkła na podłodze, a mężczyzna w dziwny sposób trzymał się za rękę.

Wyszedł z mieszkania i już miał wrócić do samochodu, gdy stwierdził, że coś mu śmierdzi w całej tej sytuacji. Wrócił do mieszkania staruszków i będąc pod ich drzwiami, usłyszał podniesiony głos kobiety. Nie wiedział, co krzyczy, ale jej głos nie brzmiał sympatycznie.

Nacisnął dzwonek i grzecznie czekał. W końcu drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta. Nie miała już takiej miłej i słodkiej miny jak chwilę wcześniej.

- Po co pan wrócił? - rzuciła, czym zbiła go z pantałyku.

- Ja... to znaczy... - wydukał.

- Co? Nie umie się pan wysłowić?

- Mógłbym porozmawiać z pani mężem?

- Przecież pan rozmawiał - parsknęła i zaczęła zamykać mu drzwi przed nosem.

- Chciałbym porozmawiać z pani mężem - powtórzył już pewniej i wepchnął nogę między drzwi a framugę. - Sam na sam.

- Mąż źle się poczuł i położył.

- Nie sędzę. Przed chwilą słyshałem podniesione glosy. Chyba nie mówila pani sama do siebie.

Po chwili z pokoju wyłonił się mężczyzna. Wyglądał jak siedem nieszczęść. Zdecydowanie nie przypominał siebie sprzed kilku minut. Tak jakby w tym czasie zaszła w nim jakaś przemiana. Po dłuższej rozmowie sam na sam z Ryszardem okazało się, że żona od lat go bije, co powodowało wstyd i zażenowanie mężczyzny. Nikomu nigdy o tym nie powiedział, bo bał się szykan i wyzwisk. W jego mniemaniu był słaby. I wszystko to mogłoby trwać dalej, gdyby nie leżący na podłodze mały odłamek szkła, który naprowadził Ryszarda na trop.

Dlatego gdy Milena upewniła go w przekonaniu, że nie chciała się zabić, musiał wszystko sprawdzić. Po dogłębnej analizie filmików z kamer kierowców, które kiedyś tak często komentował, a teraz uznawał za najlepsze, co mogło go spotkać, doszedł do wniosku, że siostra mówiła prawdę. Nie żeby wcześniej jej nie wierzył, ale nauczył się, że za każdym razem warto wszystko sprawdzić samemu.

Gdy znał już na pamięć obrazy z kamer, wsiadł do swojej wysłużonej zgniłozielonej toyoty avensis, której nienawidził z całego serca, zapalił papierosa, mimo że obiecywał żonie, że nie będzie palił w aucie, i ruszył pod podany przez siostrę adres jej mechanika. Mógł do niego zadzwonić, ale chciał widzieć jego reakcję na pytania.

Zajechał pod mały budynek, przed którym stało z dziesięć samochodów, w tym trzy z powybijanymi przednimi szybami i zderzakami powyginanymi w fantazyjny sposób. Dopalił trzeciego już papierosa, wyrzucił niedopałek przez okno i wysiadł z auta.

ROBERT MIKLASZEWSKI. WARSZTAT SAMOCHODOWY, głośił szyld wiszący nad dużymi drzwiami charakterystycznymi dla tego typu miejsc.

- Czego pan szuka? - usłyszał za sobą nagle męski głos. Wcześniej nikogo nie zauważył, więc mimowolnie podskoczył. Zawsze był wyjątkowo strachliwy, co w pracy w policji stanowiło problem i często wywoływało śmiech wśród kolegów.

- Ja do pana Roberta - odpowiedział, mając nadzieję, że nie słyhać drżenia głosu.

Stojący przed Ryszardem mężczyzna nie sprawiał wrażenia sympatycznego. Już jego ton nie zachęcał do rozmowy. Brzmiał

agresywnie i stanowczo, ale nie to było w nim najgorsze. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i atletyczną budowę ciała charakterystyczną dla fanów siłowni. Policjant od razu poczuł się słaby i malutki.

- To ja. Od razu powiem, że nie mam miejsc i nie zajmę się pana samochodem, więc do widzenia - rzucił i ruszył w stronę budynku.

- Ale ja muszę z panem porozmawiać.

- Niby o czym? To jakiś klub dyskusyjny?

- Ja w sprawie niebieskiego morrisa, jestem od...

Nie skończył, bo olbrzym stanął i odwrócił się do niego.

- Od Mili? Panie, trzeba było tak od razu - powiedział zupełnie innym tonem, a na jego twarzy zagościło coś w rodzaju uśmiechu.

- Tak, od Mileny Nowickiej. Jestem jej bratem.

- No tak, brat policjant - uśmiechnął się i pokiwał głową, jakby dobrze go znał.

- Mówiła coś o mnie? - zapytał zdziwiony.

- Coś tam opowiadała, ale chyba nie po to pan przyszedł.

- Nie. Pewnie słyszał pan o wypadku.

- Oczywiście. My tutaj o niczym innym nie gadaliśmy ostatnio. Wszystkie chłopaki modliły się, żeby z tego wyszła. Jeden to się nawet popłakał. Mila zawsze wszystkim pomagała, więc ten wypadek nami wstrząsnął. Wszyscy odetchnęliśmy, gdy okazało się, że będzie dobrze.

- Czeką ją długa rehabilitacja, ale wyjdzie z tego.

- Tego jestem pewien - powiedział mężczyzna i podciągnął koszulkę, odsłaniając wyrzeźbiony brzuch. - Proszę zobaczyć. - Wskazał palcem na trzy długie blizny. - Gdy chodziłem do szkoły średniej, dorabiałem na budowie. Zasady BHP tam nie istniały, więc nie miałem żadnych zabezpieczeń. A ja zawsze lubiłem różnego rodzaju wyzwania, więc założyłem się z kolegą, że przejdę na najwyższej platformie całą długość, stopa za stopą, z zamkniętymi oczami. Oczywiście zrobiłem to, tylko gdy otworzyłem oczy na okrzyk mojego kolegi „udało ci się!”, triumfalnie podskoczyłem. Niestety stałem już na krawędzi i runąłem w dół. Trzy piętra. - Na chwilę zamilkł i pogłaskał się po brzuchu, jak robią to kobiety w ciąży. - To, ile miałem szczęścia, to jest nie do opisanie. Wpadłem do kontenera na śmieci. Było w nim mnóstwo fragmentów styropianu, które zamortyzowały upadek. Ale niestety

znajdowały się tam też kawałki prętów, które wbiły mi się w brzuch. Podobno jak przyjechała karetka, to chwilę zajęło im wymyślenie, jak mnie wyjąć. I wie pan, co zdecydowali? – rzucił do Ryszarda, który cały czas przyglądał się mężczyźnie jak kosmicie, nie tylko ze względu na jego historię, ale i wygląd. Na jego brzuchu rysował się idealny „sześciopak”.

– Nie, nie mam pomysłu.

– Strażacy tylko przycięli pręty i z nimi w brzuchu pojechałem do szpitala. Bali się, że jak je wyjmą, wykrwawię się na śmierć. – Mężczyzna wyjął telefon i zaczął w nim czegoś szukać. – Proszę zobaczyć. – Podeszedł do niego i przybliżył aparat. Na ekranie było zdjęcie leżącego na noszach młodego chłopaka z wystającymi z brzucha drutami. Zupełnie nie przypominał stojącego obok Ryszarda Roberta Miklaszewskiego. Twarz miał zapadniętą i wyglądał jak połowa mechanika. – Nazywali mnie później językiem. – Uśmiechnął się dumnie i schował telefon do kieszeni. – Ale nie o tym miało być. Jak przyjechali medycy, nie dawali mi żadnych szans. Cały czas powtarzali, że jak tylko wyjmą pręty, umrę. Nawet gdy udało się je przyciąć i jechałem już karetką, cały czas nie wierzyli w sukces. A jak pan widzi – mężczyzna zrobił piruet niczym wprawna baletnica – żyję i mam się całkiem dobrze. Dlatego gdy dowiedziałem się o wypadku Mili, wiedziałem, że będzie dobrze. To jest twarda babka, mało takich.

– Wiem. – Ryszard uśmiechnął się do mechanika. – Siostra mówiła mi, że ostatnio naprawiał pan jej samochód.

– Tak, opiekuję się jej samochodami już od wielu lat. Pomagam przy zakupie. Morriska też prześwietliłem pod każdym kątem, zanim go kupiła.

– A co dokładnie ostatnio pan naprawiał?

– Przyjechała na przegląd, więc nic szczególnego. Okazało się, że klocki hamulcowe się kończą i jedna opona miała wbity gwóźdź. To tyle, nic specjalnego.

– Rozumiem, że to pan się tym zajmował?

– Tak. Aktualnie zatrudniam ośmiu chłopaków. Mógłbym nic nie robić, bo są świetnie przeszkoleni, ale ja kocham tę robotę. Nie obsługuję zbyt wielu osób, więc dobrze pamiętam, co komu robiłem.

Mila jest jedną z moich ulubionych klientek, więc ją będę obsługiwał do samego mojego końca.

- Miło słyszeć - powiedział policjant, sięgnął do kieszeni spodni po paczkę papierosów i wyciągnął ją w stronę mężczyzny. - Pali pan?

- Nie, rzuciłem trzy lata temu. Zresztą dzięki pana siostrze. Założyliśmy się i przegrałem.

- A wracając do tematu samochodu Mileny, czy było coś, co mogłoby się popsuć? - spytał Ryszard, po czym wyciągnął papierosa i zapalił go.

- Nie! - krzyknął. - Co pan sobie myśli, że jesteśmy jakimiś partaczami?!

- Nie - odpowiedział spokojnie i wydmuchał dym. - Myślałem, że może coś było do zrobienia na później.

- Ja nigdy nie wypuszczam samochodu z jakimkolwiek uszczerbkiem, który zagraża zdrowiu lub życiu. Ja wiem, że większość ludzi uważa nas za totalnych matołów. Jednak nie zawsze tak jest. Mój tata skończył mechatronikę samochodową. Ja skończyłem mechanikę i budowę maszyn. Połowa moich chłopaków ma magistra, a reszta jest po najlepszych mechanikach. My się znamy na naszej robocie i traktujemy ją bardzo poważnie. Nie ma szansy, żeby wyjechał od nas samochód z jakimiś problemami. Wszystko musi być na tip-top.

- To co mogło się zdarzyć? - rzucił zdenerwowany Ryszard. Niby to on przepytывał mężczyznę, ale czuł, że role się odwróciły.

- Nie wiem - odpowiedział Robert, spoglądając zazdrośnie na trzymanego przez Ryszarda papierosa. - Wszystko, co przychodzi mi do głowy, to jakieś absurdalne opcje.

- Proszę mówić. Czasami rzeczywistość jest bardziej pokręcona niż filmy.

- Może ktoś grzebał przy jej aucie? - powiedział.

Niestety policjant od samego początku krążył wokół tego pomysłu, ale dopiero teraz, gdy zostało to wypowiedziane na głos, nabierało mocy. Tylko kto mógłby chcieć zrobić jego siostrze krzywdę? Może to była pomyłka?

## Rozdział 29

## Małgorzata

„Jest pewien mężczyzna, który swoją zachłannością doprowadził do śmierci niewinnego człowieka. Trzeba wymierzyć mu sprawiedliwość”.

Siedziała z listem w dłoniach i płakała. Niby żyła w dwudziestym pierwszym wieku, a mimo to sprawiedliwość cały czas nie była standardem. Gdy pierwszy raz przyszła na posterunek policji i powiedziała, że wie, kto zabił jej córkę, młody policjant spisujący jej zeznanie parsknął jej w twarz:

- Co pani, Sherlock Holmes?

Przez chwilę nie wiedziała, jak to skomentować. Liczyła na lekką pochwałę lub chociaż przyjęcie zgłoszenia z poszanowaniem jej osoby, jak by nie patrzeć, nadal matki w żałobie.

- Proszę o spisanie moich zeznań i przekazanie ich policjantowi prowadzącemu, Mariuszowi Walczakowi.

- Dobrze - mruknął z wyraźną niechęcią.

Opowiedziała o swoim dochodzeniu i fakcie, że odnalazła mężczyznę, który potracił jej Nelkę. Podała namiar na dziewczynkę, która widziała samochód pędzący w kierunku miejsca śmierci jej ukochanej córki.

Początkowo miała ogromne nadzieje, że to tylko kwestia czasu i policja aresztuje mężczyznę. Mieli wszystko podane na tacy. Niestety, gdy tydzień później zadzwoniła do Mariusza Walczaka z telefonu w pracy, bo jej komórki już nie odbierał, usłyszała:

- Proszę pani, rozumiem waszą tragedię, ale na chwilę obecną nic nie mamy na tego człowieka. To, że ktoś widział go jadącego samochodem, nic nie znaczy.

- Rozmawialiście z nim?

- Tak - odpowiedział przeciągle, jakby ziewał.

- I co?

- Nic. Jeździ tamtędy prawie codziennie. Nigdy nie miał tam wypadku.

- Sprawdziliśmy jego samochód?

- Na chwilę obecną nie możemy zrobić dokładnych analiz, ale poszedłem go obejrzeć. Nie ma na nim nic specjalnego. Żadnych

widocznych uszkodzeń.

- Przecież mógł to naprawić.

- Mógł.

- Musicie to sprawdzić - powiedziała drżącym głosem.

- To tak nie działa. Musimy mieć nakaz od prokuratora.

- Ja nie rozumiem. Zginęła mała dziewczynka, a wy macie to w dupie! - krzyknęła.

- Proszę pani, nikt nie ma tego w dupie. Robimy wszystko, co w naszej mocy...

Ale mijały kolejne dni i nie miała żadnej informacji o zatrzymaniu mężczyzny, a w niej rosła niepohamowana wściekłość i poczucie niesprawiedliwości.

Nie mając co ze sobą zrobić, zaczęła śledzić mężczyznę. Jeździła za nim do pracy. Godzinami siedziała w samochodzie przed budynkiem, gapiąc się w okno, w którym prawdopodobnie miał biuro. Obserwowała, jak prowadzi się po mieście ze średnio urodziwą kobietą. Trochę ją to zaskoczyło, bo po takim przystojniaku spodziewałaby się zupełnie innej partnerki. Patrzyła, jak systematycznie biega po pobliskim lesie i chodzi na siłownię. Gdyby nie fakt, że zabił jej córkę, uważałaby, że jest bardzo zorganizowanym i atrakcyjnym mężczyzną, który wiele w życiu osiągnął wytrwałością i konsekwencją. Małgorzata wręcz ze zdziwieniem patrzyła, jak co rano wychodzi z domu zawsze o tej samej porze i dokładnie punkt siedemnasta opuszcza miejsce pracy, aby pójść na godzinny trening.

Jego przewidywalność stanowiła wielkie ułatwienie w realizacji planu, który zaczął jej się rodzić w głowie, zanim dostała list. Jednak ten kawałek papieru wszystko zmienił.

Gdy przyszedł kolejny z dokładną instrukcją, uśmiechnęła się do siebie. Wydawało jej się, że jej pomysł zabicia mordercy córki był idealny. Ale to, co wymyślił nadawca listu, zdecydowanie go deklasowało. Plan był doskonały w swej prostocie, a zarazem nie dawał szans na ustalenie, kto za tym stoi.

Imienia i nazwiska mężczyzny, którego miała pozbawić życia, zupełnie nie знаła. Wpisała je natychmiast do wyszukiwarki Google i zaczęła czytać pierwszy lepszy artykuł z lokalnej gazety:



Konrad Tuszyński to niesamowity człowiek, który na każdym kroku wspiera lokalne akcje charytatywne. W zeszłym roku wyposażył dwanaście pokoi w wyremontowanym domu dziecka, a niedawno nieodpłatnie pożyczył na dwa tygodnie jeden ze swoich autokarów. Dzięki temu dzieci miały jak pojechać na obóz...

Małgorzata wróciła do wyników wyszukiwania i zjechała niżej. Na samym dole znalazła to, czego szukała. „Wypadek pracownika firmy Konrada Tuszyńskiego”. Kliknęła i przeniosła się do treści newsa.

„Do tragicznego w skutkach wypadku doszło w Piasecznie (woj. mazowieckie). Kierowca autobusu stracił panowanie nad pojazdem, a chcąc uniknąć zderzenia z przystankiem, na którym przebywało pięć osób, uderzył w drzewo” – głosił nagłówek. Małgorzata zjechała poniżej zdjęcia z miejsca wypadku, na którym widać było wbity w drzewo autobus.

*W wyniku poniesionych obrażeń na miejscu stwierdzono zgon kierowcy, trzydziestoosmioletniego mieszkańca Zalesia. Siedem osób zostało rannych, z tego trzy przetransportowano do pobliskiego szpitala. Szczęśliwie wszystkie zakończyły już hospitalizację.*

*Z zeznań świadków, zarówno pasażerów, jak i osób stojących na przystanku, wynika, że kierowca z jakichś względów nie mógł wyhamować, a chcąc ominąć przystanek, odbił i uderzył w rosnący obok wielki dąb.*

*Właścicielem autobusu jest firma Usługi transportowe Konrad Tuszyński, która nigdy dotąd nie miała żadnych problemów, a wręcz przeciwnie, wielokrotnie wyróżniano ją...*

Małgorzata wyłączyła komputer i sięgnęła po kartkę. Miała jeszcze czterdzieści minut do wyjścia z domu. Wiedziała, że tyle jej wystarczy na chyba już dziesiąte powtórzenie planu zabicia Konrada Tuszyńskiego.

## Rozdział 30

## Ryszard

Sprawa Mileny tak bardzo eksploatowała go psychicznie, że gdy dostał wezwanie do morderstwa, miał ochotę odmówić. Jednak Ryszard Kozłowski dobrze wiedział, że zostałoby to źle odebrane przez szefostwo, a ostatnimi czasy nie żył z nim najlepiej.

Z grymasem na twarzy pojechał swoim rozklekotanym samochodem na miejsce zdarzenia. Wsiadł, oparł się o brudną maskę toyoty, zapalił papierosa i patrzył na budynek, który dobrze znał. Kompleks pływalni i zjeżdżalni raz w miesiącu odwiedzał z trójką swoich dzieci. Szaleli wtedy na wszystkich atrakcjach oraz basenach, a po kilku godzinach wracali do domu umęczeni, lecz szczęśliwi. Do strefy saun nigdy jednak nie wchodził. Dzieci poniżej szesnastego roku życia miały zakaz wstępu.

Teraz to miejsce wyglądało inaczej, jakby wiszące nad nim czarne chmury informowały o tym, co wydarzyło się w środku. Niespiesznie wypalił papierosa, zgniótł końcówkę butem i ruszył. Przed wejściem kłębił się zdenerwowany tłum, który nie mógł zrozumieć, dlaczego nie może dostać się do środka. Właściciel, gdy tylko dostał informację o morderstwie, wystosował ogłoszenie, w którym tłumaczył, że ze względów technicznych baseny będą nieczynne do odwołania.

Ryszard dobrze wiedział, że tego typu tajemnice ciężko ukrywać i jest to kwestią kilku godzin, by z ust do ust zaczęła krążyć informacja o prawdziwym powodzie zamknięcia.

Minął tłum ludzi, pokazał blachę stojącemu przed wejściem ochroniarzowi i wszedł do środka. Nie śpiesząc się, skierował swoje kroki do saunarium, jak nazywano miejsce, gdzie znaleziono zwłoki.

- Jest i nasz wielmożny król Ryszard - rzucił kolega, gdy tylko go zobaczył.

- Nie wiem, czy król, ale księżę to na pewno.

- Nieważne, jaki tytuł, ważne, że zdecydowałeś się przyjechać, nie tak jak...

- Ostatnio - skończył za niego Ryszard. - Przepraszam was już wiele razy, więc chyba możecie mi w końcu odpuścić.

- Może i możemy, tylko czy chcemy? - zaśmiał się Kacper Nowak, jeden z najlepszych techników kryminalnych, jakimi dysponowała

komenda policji Warszawa Śródmieście.

Na co dzień nie wyróżniał się z tłumu. Typowy pan w średnim wieku, z brzuszkim i przerzedzoną fryzurą. Nikt specjalny, ale jeśli chodzi o kwestie zawodowe, nie miał sobie równych. Scenarzyści z serialu „CSI” spokojnie mogliby go zatrudnić jako konsultanta i czerpać z jego wiedzy. Mimo że pracował w dość niepozornym miejscu, to na bieżąco śledził najnowsze metody pracy z całego świata.

- Dobra, możemy przejść do rzeczy? - rzucił Ryszard i podszedł bliżej drewnianych drzwi sauny.

- Jeżeli tego sobie życzysz. Około piątej rano sprzątaczką, która przychodzi codziennie oprócz niedzieli, ruszyła ze sprzątaniami. Jak zwykle zaczęła od pozbierania śmieci i ubrań pozostawionych przez wczorajszych odwiedzających. Następnie zaczęła myć podłogę tym wielkim kombajnem. - Mężczyzna ruchem ręki wskazał na stojące w rogu żółto-niebieskie urządzenie, które nie przypominało Ryszardowi żadnego znanego mu sprzętu. - Szła swoją normalną trasą przez cały kompleks i na samym końcu dotarła tutaj. Od razu zauważyła, że coś jest nie tak, bo przy drzwiach do sauny suchej stało krzesło. Wyłączyła maszynę i zaczęła się z nim mocować. Okazało się, że ktoś musiał włożyć dużo siły, aby je tak ustawić. Na początku myślała, że zrobiono tak, żeby drzwi się nie otwierały i sauna dobrze się nagrzała. W końcu po jakichś pięciu minutach udało się i otworzyła saunę. Jednak gdy zobaczyła ciało, wiedziała, że nie o to chodziło.

- Rozumiem, że ofiara nie żyła?

- Trup. Na razie nie wiadomo, o której zginął. Wiadomo natomiast, że przyszedł około dwudziestej drugiej.

- A wiadomo, kto to jest?

- Tak. To przyjaciel właściciela. Raz w tygodniu korzystał z sauny po godzinach otwarcia. Chciał mieć ciszę i spokój.

- To ma spokój na wieki wieków.

- Dokładnie - skomentował technik i dalej zabezpieczał ślady na drzwiach.

- Masz jakieś dokładniejsze informacje o ofierze?

- Tak, Marcel Zawadzki. Lat trzydzieści dziewięć. Restaurator. Podobno znany i lubiany. Nie ma żony i dzieci, ale z kimś się spotyka, Wojtek Wróblewski miał się dowiedzieć, gdzie mieszka jego kobieta. Jak

bardzo chcesz, to możesz pojechać - rzucił niby od niechcienia Kacper Nowak i sięgnął po leżący przy swojej lewej nodze aparat fotograficzny.

Ryszard obserwował jeszcze chwilę jego pracę. Najchętniej zawinałby się na komendę i poudawał, że pracuje, jednak wiedział, że nie powinien.

- Dobra, znajdę Wojtka, wezmę od niego dane i pojedę do niej - powiedział i nie czekając na komentarz zdziwionego kolegi, odwrócił się i poszedł zrobić, co obiecał.

Złapał Wróblewskiego, jak ten wsiadał do radiowozu.

- Masz już adres tej kobiety?

- Tak, a co? - spytał zaskoczony.

- Pojadę do niej.

- Ty? - Kolega wysiadł z samochodu i oparł się o niego. - Ale jak to? Ty sam pojedziesz powiedzieć kobiecie, że jej partner nie żyje?

- Tak, to jakiś problem? - spytał Ryszard neutralnym głosem.

Dokładnie wiedział, o co chodzi koledze. Zresztą nie tylko jemu. Gdyby kiedykolwiek zrobiono konkurs na najgorszego, najbardziej leniwego policjanta w rejonie, miałyby spore szanse na wygraną. Wiedział, że wśród kolegów krążą opowieści o tym, jak zasnął podczas obserwacji szajki złodziei, która prawdopodobnie obrabowała bank i zgarnęła sporą sumkę. Innym razem źle zapiął kajdanki aresztowanemu mężczyźnie i ten wyswobodził się, po czym jednym kopnięciem powalił Ryszarda i zwyczajnie uciekł. I może po prostu przeszedłby do historii policji jako partacz, gdyby nie jedno zdarzenie, przez które nie udało się skazać prawdopodobnie wielokrotnego gwałciciela. A wszystko przez jego lenistwo i niechlujstwo. Zwykle Ryszardowi nie chciało się zawiązywać sznurowadeł, co często wykorzystywali jego koledzy i z pełną premedytacją mu je przydeptywali, co powodowało, że z impetem się przewalał. Tym razem sam zrobił sobie krzywdę - i nie tylko. Schodził ze schodów z wielkim pudłem z dowodami, które niósł na spotkanie z prokuratorem. Miał do pokonania jedno piętro, jednak nigdy tam nie dotarł. W połowie schodów przydepnął sobie sznurowadło i zaczął spadać. A co najgorsze, u dołu schodów stało wiadro zostawione przez sprzątaczkę, która poszła na chwilę do toalety. Wychodząc z niej, usłyszała wielkie trzaśnięcie, a później tylko bluzgi rzucone przez leżącego na podłodze Ryszarda, który nie tylko z

impetem przywalił o podłogę, zaliczając po drodze kilka schodów, ale przede wszystkim z powodu tego, co stało się z kartonem. Wszystkie dowody wyleciały z niego i wpadły w kałużę, którą utworzyła woda z wiadra. Nic z tego nie przetrwało, a do Ryszarda przyległa etykieta nieroba i partacza. Dlatego jakiegokolwiek próby pozbycia się tej łatki kończyły się zdziwieniem i reakcją taką, jaką prezentował teraz Wojtek:

- Jesteś pewien, że dasz radę?

- Dam. Ale jak będziesz dalej dopytywał, to chyba zmienię zdanie.

Kolega niechętnie podał mu adres kobiety i cały czas kręcąc głową ze zdziwienia tym, co właśnie się stało, zamknął drzwi i ruszył na basen.

- Powodzenia. Jakbyś potrzebował pomocy, to dzwoń - rzucił przez ramię z szyderczym uśmiechem na twarzy.

Ryszard najchętniej skomentowałby to w jakiś mało sympatyczny sposób, ale wiedział, że tylko dałby mu satysfakcję. Zapalił kolejnego tego dnia papierosa, mimo że obiecał, że zrobi wszystko, aby rzucić nałóg, i wsiadł do samochodu. Szybko otworzył wszystkie okna, bo panujący na zewnątrz upał spowodował, że w samochodzie panowała niewyobrażalna duchota.

Wypalił do końca, wpisał w nawigację adres kobiety i ruszył. Nie znał żadnego policjanta, który lubiłby przekazywać informacje o śmierci bliskiej osoby, dlatego jechał do domu, w którym podobno zabity mężczyzna mieszkał z partnerką, jak na skazanie. Zaparkował przed jednorodzinny budynek, poprawił wiszącą na szyi blachę na sznurku i wysiadł.

Nie zdążył nawet nacisnąć dzwonka, gdy drzwi otworzyły się i stanęła w nich kobieta, która ruszyła do niego szybkim krokiem. Była to szczupła, farbowana blondynka z włosami do ramion, niezbyt ładna, co było dość zaskakujące, ponieważ zmarły należał do tak zwanych przystojniaków.

- Kim pan jest? Wie pan, gdzie jest Marcel? - rzuciła bez słowa wprowadzenia.

- Dzień dobry, starszy aspirant Ryszard Kozłowski. Możemy porozmawiać?

- Boże. Czy on...? - Nie dała rady dokończyć, a widząc delikatnie kiwnięcie głową stojącego przed nią policjanta, wybuchnęła płaczem. -

Nie. Tylko nie to.

Kobieta momentalnie wpadła w taką histerię, że dopiero po dziesięciu minutach udało się kontynuować rozmowę. Siedzieli przy kuchennym stole, do którego doprowadził ją, widząc, że informacja o śmierci ukochanego sprawiła, że ledwo stała na nogach. Szybko znalazł szklanki i nalał im wody.

- Jeżeli pani chce, możemy spotkać się później - powiedział. Najchętniej zapaliłby kolejnego papierosa, ale wolał nie denerwować kobiety. Raczej nie wyglądała na miłośniczkę nikotyny.

- Nie, chcę mieć to za sobą. - Nagle podniosła na niego zapłakane oczy. - A jak zginął? Wypadek?

- Na razie nie wiemy. Jednak jest możliwy udział osób trzecich.

- Czyli ktoś go zamordował? - spytała przerażona.

- Ciężko powiedzieć. Na wstępie potrzebuję pani dane. Imię i nazwisko? - Szybko zmienił temat.

- Iga Lewicka.

- Zameldowana jest pani tutaj? - Ruchem ręki pokazał wewnątrz domu.

- Nie.

- To poproszę adres.

- Dembowskiego sto pięćdziesiąt trzy, Warszawa, a dokładniej Ursynów.

- Jeszcze data i miejsce urodzenia.

- Szesnasty marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, Płock.

- Od kiedy znała pani Marcela Zawadzkiego? - spytał i spojrzał na kobietę.

Cały czas zastanawiał się, na czym polega jej fenomen, że przyciągnęła takiego gościa jak zmarły. Jej twarz nie dałaby jej szans w konkursie piękności, jednak mogła się podobać. Dopiero teraz zauważył na zielonych tęczęwkach małe plamki, jakby piegi na oku. Zresztą na nosie i policzkach również je miała.

- Poznaliśmy się jakieś osiem miesięcy temu. Zaczęłam zajmować się jego firmą. Pracuję jako księgowa i rozliczam, to znaczy... - Kobieta znowu przerwała i zaczęła płakać. - Ja nie rozumiem, dlaczego ktoś chciał go zabić. Przecież Marcel nigdy nikomu nie zrobiłby krzywdy.

- Właśnie tego chcemy się dowiedzieć. Od kiedy się spotykaliście?

- Tak jak powiedziałam, pierwszy raz spotkaliśmy się osiem miesięcy temu podczas spotkania firmowego. Przyszedł do naszego biura i przekazał swoje dokumenty. Wtedy rozmawialiśmy tylko o służbowych sprawach, jednak później, można powiedzieć, zaprzyjaźniliśmy się. Przy każdym spotkaniu gadaliśmy o różnych sprawach niezawodowych. Aż w końcu poprosił mnie o pomoc przy wyborze - na chwilę zawiesiła głos - pierścionka zaręczynowego.

- Pierścionka zaręczynowego? - powtórzył po kobiecie, zupełnie nie rozumiejąc sytuacji.

- Wiem, śmiałyśmy się z tego później wielokrotnie. Wtedy spotykał się z jakąś dziewczyną, nawet nie pamiętam jej imienia, i zastanawiał się, czy to nie ta jedyna. Stwierdził, że kupi pierścionek i wtedy poczuje, czy to dobra kandydatka na żonę. Któregoś dnia, gdy przyszedł z dokumentami, zaczął nas wypytywać. - Widząc zdziwioną minę Ryszarda, od razu dorzuciła: - U nas w biurze pracują praktycznie same kobiety, więc to doskonałe miejsce do robienia takich testów. Jako jedyna powiedziałam, że mnie się wybrany przez niego pierścionek nie podoba. Uważam, że pierścionek nie musi mieć wielkiego kamienia, ważniejsze, żeby niósł za sobą jakieś emocje, wspomnienia i takie tam. I tak się zaczęło. - Kobieta na chwilę przestała mówić, wysmarkała nos i znowu zaczęła popłakiwać. - Wtedy tak naprawdę wybrałam sobie swój przyszły pierścionek zaręczynowy. - Wyciągnęła do niego dłoń i pokazała świecidełko. Faktycznie nie kojarzył się z typowym zaręczynowym, jednak coś w sobie miał. - Pewnego dnia, gdy Marcel przyszedł do biura, nikogo poza mną nie zastał. Wszystkie moje koleżanki poszły na szkolenie, które ja zaliczyłam już wcześniej. Zaprosił mnie na kawę, niby w ramach podziękowania za pomoc, ale już wtedy czułam, że się mu podobam. Pamiętam, jak siedzieliśmy przez trzy godziny w kafejce i zaśmiewaliśmy się, komentując ludzi za oknem. Ich stroje, wygląd, mimikę. Marcel potrafił żartować ze wszystkiego. Zawsze przy nim cały czas się śmiałam. Nie wiem, jak sobie bez niego poradzę... - Kobieta znowu zaczęła płakać.

Dalszą część spotkania również co chwilę przerywały napady hysterii. W sumie Ryszard nie miał się co dziwić zachowaniu kobiety. W końcu straciła swoją miłość. Jednak z jego punktu widzenia doprowadzało go to do szału. Po godzinie wyszedł od niej tak zmęczony,

że miał ochotę pojechać do domu i się położyć. Wiedział jednak, że nie może. Musiał przekazać wszystkie informacje kolegom na komendzie i pojechać przesłuchać jeszcze jedną osobę.

Z zeznań Igi Lewickiej wynikało, że ma ona męża, który nie wiedział o jej romansie. Ba, on cały czas wierzył, że mają szansę na wspólne życie, mimo że od jakiegoś czasu nie mieszkali razem. Wszystko prawdopodobnie przez fakt, że dała się namówić na terapię małżeńską. Podobno bardzo się ucieszył, jednak nie wiedział, co nią kierowało. Chciała mu w ten sposób pokazać, jak są różni i jak bardzo do siebie nie pasują, a także w pewien sposób zrazić do siebie, tak aby już nie chciał z nią żyć. Niestety nic to nie dawało, a on uporczywie twierdził, że ją kocha i nie może bez niej żyć. Choć kobieta twierdziła, że nie afiszowała się ze swoim związkiem i tylko jej siostra o nim wiedziała, jej mąż mógł się dowiedzieć i zrobić coś takiego. Zamordować innego człowieka, aby odzyskać żonę. Ryszard wielokrotnie spotykał się ze sprawami, w których zazdrosny mąż lub żona zabijali kochankę współmałżonka, dlatego jak najbardziej uwierzył w jej podejrzenia. Koniecznie musiał to sprawdzić.

## Rozdział 31

### Małgorzata

To, że nienawidziła mężczyzny, który zabił jej córkę, nie było niczym dziwnym, ale fakt, że znienawidziła również Konrada Tuszyńskiego, mógł szokować. Godzinami ślęczała w internecie, wyszukując informacji o nim, jego firmie, a także o tamtym kierowcy autobusu, który zginął w wypadku, Januszu Gruszeckim. Znała jego profil na Facebooku na pamięć, a z czasem również jego żony. Wyglądali na szczęśliwe małżeństwo. Spędzali czas wraz z dwójką dzieci na wycieczkach rowerowych, spływach kajakowych lub innych formach aktywnego wypoczynku. Niestety to wszystko przerwał wypadek, który na zawsze zniszczył ten piękny obrazek. Zostały tylko rozpacz, smutek i



puszka. Tak samo jak w sercu Małgorzaty. W innych okolicznościach pewnie mogłyby się zaprzyjaźnić.

Gdy pierwszy raz zobaczyła właściciela firmy transportowej na żywo, mimowolnie zacisnęła pięści, a w żołądku poczuła ucisk. Nienawidziła go całym sercem, jakby jej również zrobił jakąś krzywdę.

Z listu dowiedziała się, że facet co tydzień chadza do włoskiej restauracji w centrum. Specjalnie usiadła przy stoliku obok i obserwowała go. Nie należał do przystojnych, mimo to siedząca obok niego cycata blondynka śliniła się do niego niewiarygodnie. Małgorzata domyśliła się, że to nie jego aparycja ją przyciąga, lecz zasobność portfela.

- Pana ulubione wino już czeka, podać? - spytał kelner po wylewnym przywitaniu.

- Tak, proszę - odpowiedział Konrad Tuszyński i kontynuował rozmowę z kobietą.

Małgorzata w skupieniu przysłuchiwała się tej konwersacji. Już po pięciu minutach wiedziała, że siedząca przy stoliku kobieta nie jest żoną mężczyzny, lecz aspiruje do miana jego kochanki. Co zaskakujące, to ona próbowała mu zaimponować, tak jakby w kolejce do tej roli stał cały rząd innych kandydatek.

- Zawsze cię podziwiałam. Jesteś jednym z niewielu mężczyzn, którzy swoją ciężką pracą do czegoś doszli - powtórzyła po raz trzeci to samo zdanie, za każdym razem nieco innymi słowami. - Cieszę się, że w końcu zaczniemy ze sobą współpracować. Mam nadzieję, że powstanie z tego coś spektakularnego - powiedziała kobieta, po czym sięgnęła po stojący przed nią kieliszek wina i uniosła go. - Za nas. Za naszą współpracę.

Delikatnie stuknęła swoim szkłem w jego i dotknęła swoimi napompowanymi ustami kieliszka. Małgorzata prawie zakrztusiła się wodą gazowaną, którą piła. Cała ta scena wyglądała jak komiczna gra wstępna. W końcu po trzecim kieliszku to mężczyzna przejął inicjatywę. Zaczął od gładzenia adoratorki po rękę, a krótko po tym, jak skończyli butelkę, położył rękę na jej udzie.

W tym momencie Małgorzata stwierdziła, że ma dość obserwowania tej przedziwnej randki, i wyszła, po drodze zgarniając ulotkę z hasłem „Poszukujemy ludzi do pracy”.

Następnego dnia zadzwoniła do restauracji. Szybko została zatrudniona i już tydzień później podczas kolejnej jego wizyty w restauracji pracowała na sali. W czarnej ołówkowej spódnicy i białej koszuli czuła się jak uczennica na zakończeniu roku szkolnego. Z uśmiechem na twarzy obsługiwała gości, przynosząc zamawiane przez nich dania, przekąski czy napoje.

Od samego początku została nieformalnym liderem. Miała trzydzieści dziewięć lat, więc dla pracujących tam dwudziestoparolatków stanowiła prawie obiekt muzealny. Dzięki temu mogła bezproblemowo wdrożyć swój plan. Tego dnia nie miała obsługiwać stolika, przy którym zasiadł Konrad Tuszyński. Nieco zdziwił ją fakt, że tym razem przyszedł z inną kobietą, swoją żoną. Zupełnie nie przeszkadzało mu to, że tydzień wcześniej w tym samym miejscu obłapywał inną kobietę. Tak jakby nikt tego nie pamiętał.

Ale nie na tym zamierzała się skupiać. Miała zadanie do wykonania. Baczenie obserwowała nie tylko mężczyznę, ale również Agatę – studentkę medycyny, która dorabiała tutaj w wolnych chwilach. Małgorzata musiała znaleźć odpowiedni moment na decydujący ruch. Choć zazwyczaj uważała, że nie ma w życiu szczęścia, tym razem jej sprzyjało.

- Muszę skoczyć do toalety - powiedziała koleżanka i szybkim krokiem ruszyła do toalety, zostawiając na blacie dwie sałatki. Małgorzata dokładnie wiedziała, która została zamówiona przez kogo. Rozejrzała się i widząc plecy kucharza, który coś smażył, szybko wyjęła z kieszeni w spódnicy małą fiolkę i wsypała pod liście zmielone orzechy.

- Dziękuję - usłyszała po chwili głos koleżanki. - Wiesz, jak szef się wścieka, gdy wychodzimy ze zmiany.

- Nie ma sprawy. Sikanie to rzecz ludzka. - Uśmiechnęła się do niej i wróciła na salę, niosąc na tacy zamówione napoje.

Teraz zostało jej tylko czekać.

## Rozdział 32

## Szymon

Kolejny dzień nie mógł dodzwonić się do Igi. Jej siostra nie chciała podać mu aktualnego miejsca jej pobytu, więc czuł się fatalnie. Dodatkowo dręczyło go nagłe zniknięcie Marcela Zawadzkiego, który tak bardzo go fascynował.

Usiadł na swoim fotelu i przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie. Miał wtedy niewyobrażalne zakwasy i zastanawiał się, jak siedzący naprzeciwko niego mężczyzna daje sobie z nimi radę. To, co robiły z jego ciałem, można porównać do średniowiecznych tortur. Miał wrażenie, że każdy miesiąc zaraz wybuchnie, a on umrze w niewyobrażalnych katuszach. W końcu po latach postanowień noworocznych, że zacznie ćwiczyć, to właśnie kontakt z tym człowiekiem stanowił impuls do działania.

- Widzę, że uśmiech nie schodzi panu z twarzy. Coś się stało? - zaczął spotkanie Szymon.

- Tak. Postanowiłem się oświadczyć - odpowiedział Marcel Zawadzki dumnie, jak zwykle elegancki.

- Gratuluję!

- Jak to mówi młodzież, jaram się jak tęcza.

- Nie dziwię się. To bardzo emocjonalny moment w życiu każdego człowieka.

- Czuję to. Stresuję się jak przed maturą, mimo że wiem, że się zgodzi. - Uśmiechnął się do psychologa i poprawił nienagannie wyprasowane spodnie. - Czuję, że w końcu będzie dobrze. Moje życie układa się doskonale. Mam wspaniałą partnerkę. Niedługo będziemy małżeństwem, oczywiście musi jeszcze się szybko rozwieść, ale to nie stanowi problemu. Jedyne, co mnie niepokoi, to... - Na chwilę zamilkł i sięgnął po stojącą na szafce szklanekę. - Odwiedziła mnie policja i pytała o mój samochód. Wiem, że to jest straszne, ale...

- Co?

- Podobno wtedy znaleźli kogoś w lesie. Jakąś dziewczynkę. Nie wiem, jak to możliwe, sprawdziliśmy wszystko. Nikogo tam nie było. W prasie też żadnych wzmianek.

- To straszne - powiedział przerażony Szymon.

- Tak, chociaż nie jest pewne, że to ja.

- Jak to? - dopytywał zdziwiony.

- Może ktoś ją potrącił, a ja tylko zahaczyłem autem.

- Może... A jak do pana trafili?

- Podobno ktoś mnie widział. To znaczy mój samochód, a że mam dość charakterystyczny, to łatwo mnie znaleźli. Cholera! - krzyknął. - Teraz, kiedy wszystko się zaczęło tak dobrze układać, musiało to wyjść.

- I co im pan powiedział? - dopytywał psycholog, mając wrażenie, że słyszał niedawno bardzo podobną historię.

- Zaprzeczyłem - powiedział cicho. - Przecież nie mogłem powiedzieć im prawdy. Nie przywróci to życia dziewczynce, a ja stracę wszystko. Kobietę, restaurację. Przecież ja daję pracę ponad stu osobom. Wiem, że to pyszałkowane, ale jestem ludziom potrzebny.

Po tej wizycie Szymon długo siedział zatopiony w myślach. Nie przypuszczał, że to ich ostatnie spotkanie. Cały czas miał w sobie nadzieję, że jest inaczej.

Ze wspomnień i rozmyślań wyrwał go policjant, który odwiedził go w gabinecie. Nie tylko poinformował o śmierci klienta, romansie, który podobno potwierdziła Iga, ale również dał znać, że on, Szymon Trojanowski, człowiek, który boi się swojej matki, a czasami i własnego cienia, jest jednym z podejrzanych o morderstwo.

Tak. Morderstwo. Marcela Zawadzkiego znaleziono nad ranem w jednej z saun w kompleksie basenów, który cieszył się dobrą renomą. Facet się ugotował, nie mogąc przez kilka godzin wyjść z sauny, w której panowała temperatura na poziomie prawie stu stopni.

Na szczęście o alibi Szymon nie musiał się martwić. Zupełnym przypadkiem dokładnie ten wieczór spędził z przyjacielem. Olaf Bogdański uznał, że najlepszym lekarstwem na problemy sercowe kolegi będzie maraton „Gwiezdných wojen” z dodatkiem dużej ilości piwa, więc wprosił się do mieszkania psychologa i nie zamierzał go opuścić bez realizacji swojego planu. Opowiadając o tym policjantowi, Szymon w duchu dziękował przyjacielowi za jego nachalność.

Natychmiast po wyjściu funkcjonariusza przeczytał wszystkie swoje notatki odnośnie do zmarłego. Wcześniej nie miał zielonego pojęcia, czym się on zajmuje, kim jest na co dzień. Okazało się, że mężczyzna zbudował minisiec restauracji. Posiadał aż pięć lokali, a w każdym serwowano dania z innej części świata. Uwielbiał otaczać się znanymi

osobami, dlatego na jego profilu na Facebooku znajdował się album wypchany po brzegi zdjęciami z celebrytami.

Ale nie to Szymona Trojanowskiego interesowało najbardziej. Chciał się dowiedzieć, czy prawdą jest, że jego ukochana żona miała romans z Marcelem Zawadzkiem. Jeżeli tak, to podczas sesji jego klient opowiadała sporo o ich relacjach. Na samą myśl poczuł mdłości.

- Chcę mieć dzieci - zakomunikował na jednym ze spotkań. - Wcześniej nie brałem tego pod uwagę. Zawsze skakałem z kwiatka na kwiatek. Nigdy nie wiązałem się na dłużej, a tu pewnego razu... nokaut! - Mężczyzna wykonał nagły ruch zaciśniętą pięścią, jakby kogoś uderzał.

- To gratuluję. Czasami strzała amora trafia nas w najmniej spodziewanym momencie.

- Dokładnie. Ona jest niesamowita. A zarazem taka zupełnie inna niż moje dotychczasowe kobiety. Spokojna, zrównowazona. Myślę, że zaskoczę tym wiele osób. Zazwyczaj spotykałem się z dość krzykliwymi kobietami, zarówno jeżeli chodzi o wygląd, jak i zachowanie. I może dlatego tak mnie zachwyciła. I może dlatego po raz pierwszy w życiu patrzę na związek perspektywicznie. Bardzo poważnie myślę o dzieciach. A co najpiękniejsze, ona również. Czuję się trochę zestresowany w tej sytuacji, bo to właśnie przez brak dzieci rozpadł się jej związek. Kolesi ma jakieś lewe jaja i nie może nic spłodzić.

Niestety teraz Szymon wiedział, że sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Jego klient, którego w pewien sposób podziwiał, żartował z niego i szydził, nawet jeśli nie miał pojęcia, że mówi o swoim psychologu. Karmiony informacjami od Igi, stworzył sobie obraz jej męża, który według Szymona zdecydowanie odbiegał od rzeczywistości. Na wspomnienie tej wizyty ponownie zrobiło mu się niedobrze.

Doskonale wiedział, że nie powinien, ale teraz miał to gdzieś. Podszedł do szafki z kartami klientów i z dolnej półki wygrzebał swoje ulubione słodczyce. Różnokolorowe skittlesy w czerwonym opakowaniu. Otworzył i wysypał kilka na rękę. Wybrał swoje ulubione, te czerwone, i usiadł z powrotem w fotelu. Tępo patrzył na zostawioną przez policjanta wizytówkę i nagle przypomniał sobie o jednej rzeczy, która wypadła mu z głowy. „Jak mogłem być taki głupi”, pomyślał, wystukując numer telefonu na swojej komórce.

- Tak, słucham? - usłyszał wkurzony głos po drugiej stronie.

- Dzień dobry, Szymon Trojanowski. Rozmawialiśmy niedawno o Marcelu Zawadzki.

- Coś się panu przypomniało? - rzucił policjant nadal nieuprzejmym tonem.

- Tak. Nie wiem dlaczego, pewnie ze stresu, ale zapomniałem wspomnieć o czymś ważnym. Nie powinienem tego mówić, ale w związku z okolicznościami myślę, że nie zrobię krzywdy klientowi, a może dzięki temu uda się ustalić mordercę - powiedział Szymon, mocno naciągając rzeczywistość. Zdecydowanie nie powinienem tego mówić, ale w tej chwili nie interesowało go to. W głowie miał tylko to, że jest jednym z podejrzanych, co stresowało go tak bardzo, że na chwilę obecną nie myślał o konsekwencjach tego, co zamierzał powiedzieć.

- Zamieniam się w słuch - powiedział już trochę miłszym głosem Ryszard Kozłowski.

- Na jednej z wizyt Marcel Zawadzki wspomniał mi o wypadku. Jechał samochodem późną porą. Podobno panowały ciężkie warunki. Telefon wpadł mu pod fotel i chciał go wyciągnąć, gdy prawdopodobnie w coś uderzył. Zatrzymał się, ale niczego podejrzanego nie zauważył. Po powrocie do domu cały czas czuł jakiś niepokój, więc jeszcze raz wrócił na miejsce i nic nie znalazł. Stwierdził, że nic się nie stało. Jedyne, co go zastanawiało, to parę włosów na zderzaku i wklęsnięcie na masce. Na ostatnim spotkaniu wspominał mi o wizycie policji, która wpadła na jego trop. Okazało się, że jakiś czas temu dokładnie w tym miejscu została potrącona ze skutkiem śmiertelnym dziewczynka, a sprawca zbiegł z miejsca wypadku. Podobno ktoś widział samochód Marcela lub podobny do niego. Jest to dość charakterystyczne auto. To subaru impreza STI.

- I co, przyznał się? - wtrącił policjant.

- Nie. Policji powiedział, że faktycznie tamtędy jechał, ale nic nie widział. Podobno sprawdzili nawet jego samochód, jednak niczego nie znaleźli. Mnie powiedział zupełnie coś innego. Stwierdził, że ma zbyt wiele do stracenia. Jest przedsiębiorcą i daje pracę wielu ludziom, a nawet jakby się przyznał, życia dziewczynce by tym nie przywrócił.

- Rozumiem. A czy wspominał, kiedy i gdzie to się wydarzyło?

- Chyba w Zalesiu, ale nie jestem pewny - odpowiedział Szymon. Czuł, że chociaż w ten sposób mógł zemścić się na mężczyźnie, który zniszczył mu życie.

## Rozdział 33

### Małgorzata

Gdy miała siedem lat, uwielbiała ratować swoje misie. Jej mama, która pracowała jako pielęgniarka, pokazała jej, jak robić sztuczne oddychanie, więc często wykorzystywała to w zabawie. Jednak gdy w końcu wrzucone do sałatki orzechy zaczęły dawać o sobie znać, nie zamierzała ruszyć się nawet o milimetr, aby pomóc Konradowi Tuszyńskiemu. Mordercy, który przez swoją pazerność i chciwość odebrał niewinnej rodzinie ojca, męża, syna.

Stała w kącie sali i obserwowała biegających w popłochu ludzi próbujących pomóc mężczyźnie, który leżał na podłodze i się dusił.

- Gdzie masz tę pieprzoną adrenalinę? - krzyczała klęcząca przy nim żona. - Gdzie jest karetka?

- Jedzie - odpowiedziała drążącym głosem stojąca obok kelnerka, która ich obsługiwała. - Ja nie wiem, jak to się stało. Wszystko sprawdziłam, dopytałam. Tam nie powinien znajdować się nawet ślad orzechów.

Więcej Małgorzata nie usłyszała, bo żona poszkodowanego zaczęła coś wykrzykiwać, ale przez paniczny szloch jej słowa były zupełnie niezrozumiałe.

Po pięciu minutach do restauracji wpadło trzech medyków. Szybko doskoczyli do mężczyzny, jednak już po minucie usłyszała głos jednego z nich:

- Bardzo mi przykro.

A potem w restauracji rozległ się przerażający krzyk kobiety.

# Rozdział 34

## Ryszard

Każdy, kto pracował w policji, wiedział, że przypadki się nie zdarzają, a fakt, że znaleziony w kompleksie basenów mężczyzna prawdopodobnie potrafił kogoś ze skutkiem śmiertelnym, zdecydowanie należało sprawdzić.

Miejsce zdarzenia wskazywało, że wypadkiem zajmował się posterunek w Zalesiu. Na szczęście Ryszard Kozłowski miał tam kolegę. W swoim stylu, czyli jak to określił jeden z jego kolegów, w zwolnionym tempie, udał się do swojego zdezelowanego samochodu i ruszył z papierosem w ustach.

Dojazd na miejsce zajął mu trzydzieści siedem minut. Zaparkował przed budynkiem obok radiowozu, z którego próbowano właśnie wyciągnąć pijanego mężczyznę, i niespiesznie wysiadł z samochodu.

- Jak ja nienawidzę takich upałów... - powiedział sam do siebie i ruszył na posterunek.

Mariusza Walczaka znalazł we wskazanym przez recepcjonistę pokoju. Jak zwykle wyglądał nienagannie. Znali się jeszcze z czasów szkoły policyjnej. Spędzili w niej wspólnie pół roku, później ich drogi się rozeszły. On wybrał kryminał, a kolega wypadki. Nigdy nie mógł zrozumieć jego fascynacji tą częścią pracy policji. Zawsze wydawało mu się, że najciekawsze jest ściganie morderców, złodziei czy gwałcicieli, a nie sprawców kolizji drogowych.

- O Matko Boska Częstochowska, kogo me oczy widzą - rzucił Walczak, jak tylko go zobaczył. - Człowieku, nie widzieliśmy się wieki! - Mężczyzna wstał i zmierzył go od stóp po czubek głowy. Ryszard wiedział, że nie prezentuje się najlepiej, ale ciekawiło go, jak skomentuje ten fakt kolega. - Nic się nie zmieniłeś - stwierdził ten z dyplomacją wprawnego polityka.

- Za to ty wyglądasz jeszcze lepiej niż kiedyś - rzucił Ryszard, co było zgodne z prawdą. Stojący przed nim Mariusz Walczak zawsze podobał się kobietom, ale teraz prezentował się świetnie. Stracił swój szczeniacki urok, za to w jego miejsce pojawiły się delikatne



zmarszczki, a na głowie trochę siwych włosów, co dodawało mu uroku. Kiedyś Ryszard usłyszał od żony, że niektórzy mężczyźni są jak wino, im starsi, tym przystojniejsi. Przykład tego właśnie przed nim stał.

- Dobra, Rysiek, nie pierdzielmy o dupie Maryny, bo chyba nie przyjechałeś powzdychać. Siadaj i gadaj, o co chodzi.

Policjant usiadł na wskazanym przez kolegę krześle przy jego biurku.

- Prowadzę sprawę morderstwa.

- Fiu, fiu, czyli jednak cię nie wypieprzyli?

- Jezu, ty też wiesz? - spytał zażenowany.

- Wszyscy wiedzą, ale nie przejmuj się. Każdy popełnia błędy.

Uśmiechnął się i Ryszard momentalnie przypomniał sobie, dlaczego nigdy nie czuł się komfortowo w jego towarzystwie. Nie chodziło tylko o to, że każda dziewczyna gapiła się na niego jak ciele na malowane wrota, ale przede wszystkim dlatego, że Mariusz Walczak kumplował się tylko z tym, kto mógł mu coś załatwić, pomóc, a resztę zbywał pogardliwymi tekstami, nieszczerym uśmieszkiem lub plotkami, które rozsiewał na prawo i lewo. Na szczęście w sprawach służbowych zachowywał się profesjonalnie.

- To mnie pocieszyłeś. Ale wracając do sedna. Prowadzę sprawę morderstwa w kompleksie basenów...

- Słyszałem - wtrącił. - Podobno dziwna sprawa. Ktoś zamknął gościa w rozgrzanej saunie.

- Tak. Na razie badamy kilka wątków. Jednym z nich jest wypadek, w którym możliwe, że brał udział zamordowany. Zupełnie nie znam szczegółów, poza tym, że prawdopodobnie zdarzenie miało miejsce w Zalesiu, a facet, który mógł brać w tym udział, to nasza ofiara, Marcel Zawadzki.

- Serio? - powiedział dziwnym tonem. Momentalnie zniknął mu z twarzy głupkowaty uśmieszek i zaczął nerwowo stukać palcami prawej dłoni o blat biurka. - To niedobrze, to niedobrze.

- Stało się coś? - spytał zdziwiony Ryszard.

- Nooo... Nie, w sumie...

- Dziwnie się zachowujesz.

- Powiem tak, gadałem z tym gościem. Widziałem jego auto. Nie miało żadnych śladów, na ofierze nie znaleziono dowodów

świadczących o tym, co to mógł być za samochód. Nie miałem podstaw...

- Rozumiem.
- A ty skąd wiesz, że to mógł być sprawca?
- Przyznał się swojemu terapeutce.

## Rozdział 35

### Karolina

Nie miała pojęcia, kto i kiedy zabije człowieka, który zniszczył jej życie. Podobnie jak w przypadku własnego zadania regularnie sprawdzała gazety. Słuchała praktycznie non stop radia, bojąc się, że przegapi tę informację. Mimo to spadła ona na nią w nieoczekiwanym momencie.

- Słyszałaś, że on nie żyje? - usłyszała w słuchawce, gdy tylko odebrała połączenie. Dzwoniła jej koleżanka z pracy, Grażyna.

- Kto?

- No szef twojego Janusza. Jak on się nazywał, Konrad...?

- Konrad Tuszyński - powiedziała z zaciśniętymi ze złości ustami.

- No właśnie on. To jakaś zadziwiająca akcja. Wyobraź sobie, że wyzionął ducha podczas kolacji.

- Jak to? Zadławił się? - spytała i opadła na krzesło. Czuła, że cała się telepie, a jej nogi zrobiły się jak z waty. Czekwała na tę chwilę od dwóch tygodni i miała wrażenie, że przyjmie tę wieść ze stoickim spokojem, ale nie. Ręce jej drżały, a głos się łamał.

- Nie. Podobno miał alergię, i to bardzo poważną. Nie wiem dlaczego, ale zawsze wydawało mi się, że alergię mają tacy ludzie słabi, schorowani. A to był przecież kawał byka.

- I skurwiela - dopowiedziała Karolina, mając nadzieję, że koleżanka nie usłyszy radości w jej głosie.

- Wiem, że obwiniasz go o to, co się stało, jednak wypadki się zdarzają. Przecież on nie...

- Ty tak serio? - przerwała jej.

- Przepraszam, ale znam jego żonę i...

Karolina znowu nie dała Grażynie dokończyć.

- Przez jego pazerność zginął mój mąż, a dodatkowo gnój w ten sposób naraził na utratę życia i zdrowia wiele osób. Czy ty wiesz, że gdy pedał hamulca wpadł w podłogę, to Janusz, żeby uratować stojących na przystanku ludzi, mocno odbił w bok? Mógł w nich przywalić i może wtedy by żył. Siła uderzenia byłaby inna, bo przeszkodę miałby centralnie od przodu. Ale nie, on ich uratował. Ominął przystanek i przywalił w wielki dąb, który rósł nieopodal. Kąt uderzenia był już zupełnie inny, a siła większa. Z całą mocą uderzył w kierownicę i połamał sobie żebra... Pech chciał, że jedno przebiło opłucną. A wiesz, kto jest temu winny? Nie kto inny jak ten twój ziomek, Konrad Tuszyński.

- On nie jest moim ziomkiem, tylko...

Karolina nie chciała słuchać tych głupich tłumaczeń.

- Wiesz co? Nie dzwoń do mnie, dopóki nie zrozumiesz, kto w tej historii jest ofiarą, a kto katem. Jeżeli chcesz bronić mordercy ojca moich dzieci, to znaczy, że nie mamy o czym rozmawiać. Pa. - Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Szybko wpisała w przeglądarce imię i nazwisko szefa męża i już po kilku sekundach miała przed oczami tekst zamieszczony na lokalnym portalu informacyjnym.

*Błąd pracownika jednej z włoskich restauracji doprowadził do tragedii. Znany w okolicy właściciel firmy przewozowej zmarł w wyniku silnej reakcji alergicznej. W karcie dań jednoznacznie zaznaczono brak alergenów, a świadkowie twierdzą, że zamawiający jeszcze o to dopytał, składając zamówienie. Niestety to nie wystarczyło. Okazało się, że w jedzeniu znajdowała się wystarczająca ilość orzechów, na które mężczyzna był uczulony, aby w wyniku silnego wstrząsu anafilaktycznego zmarł na miejscu. Niestety z bliżej niewyjaśnionych powodów nie miał ze sobą adrenaliny, która w takich sytuacjach mogłaby zapobiec tragedii.*

*Konrad Tuszyński był...*

Dalszej części artykułu już nie czytała. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że jego autor przedstawił chwalebny obraz mordercy, pisząc o tym, jak wspierał on lokalny rynek pracy, zatrudniając mieszkańców miasta zamiast tańszej siły roboczej zza wschodniej granicy. Karolina zaśmiała się do siebie. Tylko co z tego, gdy oszczędzał na innych rzeczach.

„W sumie jego śmierć również mogła być wynikiem skąpstwa”, pomyślała. Może nie chciał inwestować w lek, którego w swoim mniemaniu nie wykorzysta. Bo niby dlaczego miałyby się spodziewać ataku, przecież zawsze wszystko tak dobrze planował i organizował. Ale na szczęście w tym przypadku mu nie wyszło.

Karolina zamknęła komputer i wróciła do robienia obiadu. Teraz mogła w końcu skupić się na dzieciach i ich potrzebach. Przynajmniej taką miała nadzieję.

## Rozdział 36

### Szymon

Wiedział, że to nie jest dobry pomysł. Sam zawsze odradzał przeprowadzanie tego typu rozmów pod wpływem emocji, ale nie mógł się uspokoić i myśleć racjonalnie. Wsiadł do swojego peugeota, który często był powodem kłótni z żoną, i ruszył do szwagierki. Tylko ona mogła mu zdradzić, gdzie teraz przebywa Iga. Już miał skrócić w prawo, na główną drogę, gdy zatrzymał się nagle na poboczu.

- Ale ze mnie debil - powiedział sam do siebie i sięgnął po telefon.

Od jakiegoś czas miał zainstalowaną specjalną aplikację do prowadzenia kartotek klientów, aby mieć do nich wgląd w każdym miejscu i o każdej porze. Szybko znalazł Marcela Zawadzkiego, a następnie jego adres. Przecież to tam prawdopodobnie przebywała jego żona.

Nawet ucieszył się, że nie musi jechać do siostry żony. Nigdy nie lubił się z Kamilą. To ona przy każdej nadarzającej się okazji wytykała

mu nawet najmniejsze potknięcie, a Iga, wpatrzona w starszą siostrę, podchwytywała to i męczyła go. „Mógłbyś zmienić samochód”, „Dorosłego mężczyzny nie ubiera matka...”, „Dlaczego ty pracujesz z matką?”, „Jak będziesz tyle jadł skittlesów, znowu będziesz okrągły jak one”.

Zawsze miał wrażenie, że Iga to tylko powtarza, jak papuga, ale teraz coraz bardziej dostrzegał, że prawda była niestety inna. Ona też tak myślała, dlatego jak spotkała na swojej drodze tego gogusia, bez chwili zastanowienia rzuciła się w jego ramiona.

Na samo wspomnienie o swoim niedawnym pacjencie robiło mu się niedobrze. Myśl, że tymi umięśnionymi rękoma dotykał jego żony. Muskał swoim wypielegnowanym zarostem po jej szyi, a później kochali się pół nocy, co jakiś czas zaśmiewając się z jego ułomnych plemników, jak sam zaczął już o nich myśleć.

- Jak mogłem być taki głupi... Mama zawsze mi powtarzała, że ona nie jest dla mnie - mówił sam do siebie płaczącym głosem, patrząc na wskazywaną przez GPS trasę.

W końcu zajechał pod stojący samotnie dom na obrzeżach Piaseczna. Zaparkował w bezpiecznej odległości i patrzył na budynek, modląc się w duszy, aby jego Igi tu nie było. Aby Ryszard Kozłowski się pomylił. Może i jest tam jakaś Iga Lewicka, ale nie jego ukochana żona, która przecież chodzi z nim na terapię i nie odpuszcza, cały czas wierząc w ich małżeństwo. Siedział tak dobre dwadzieścia minut, aż w końcu wysiadł z samochodu i powoli podszedł do furtki, a następnie nacisnął dzwonek. Nie miał pomysłu, co powie, gdy ktoś odezwie się po drugiej stronie. Powiedzieć, że po co przychodzi? Na jego szczęście usłyszał tylko dźwięk odblokowywanej zapadki. Popchnął bramkę i ruszył w stronę drzwi wejściowych.

- Co ty tu robisz? - usłyszał, zanim zobaczył twarz swojej żony.

- Ja... to znaczy...

- No co? Trafieś tutaj przez przypadek?! - krzyknęła.

Jej głos drżał. Słyszał w nim rozpacz pomieszana z agresją. Jednak nie to go zszokowało najbardziej. Jej twarz wyglądała zupełnie inaczej niż ta, do której Szymon przyzwyczaił się na co dzień. Oczy miała tak zapuchnięte i zaczerwienione, że nie byłby w stanie dojrzeć, jaki mają

kolor. Jej nos był czerwony i trochę spuchnięty od ciągłego korzystania z chusteczek.

Mimo zaistniałych okoliczności narzuciła na siebie jedwabny szlafrok, który podkreślał jej kształty, a rozpuszczone włosy, które zazwyczaj spinała, spływały delikatnie na materiał. Szymon poczuł kolejny ucisk w żołądku. Znowu odezwała się zazdrość, która jak zły diabełek w bajkach, siedząc na ramieniu bohatera, szeptała cicho do ucha: „Dla ciebie nigdy się tak nie ubierała”.

- Martwiłem się o ciebie. - W końcu wydusił z siebie te kilka słów.

- Co? Ty jesteś nieźle popieprzony. Dobrze wiesz, co tutaj robię. Wiesz dobrze, kim był dla mnie Marcel, a i tak przychodzisz tutaj i chrzanisz, że się o mnie troszczysz?!

Iga spojrzała na niego w przedziwny sposób i zaczęła się śmiać. Ten śmiech robił się coraz głośniejszy i głośniejszy. Przypominał śmiech osoby chorej psychicznie, a przed oczami Szymona stanął momentalnie Jack Nicholson w filmie „Lśnienie”. Te oczy, ten wyraz twarzy. Najchętniej odwróciłby się na pięcie i uciekł, jednak z jakiegoś względu czuł potrzebę konfrontacji.

- Tak, ja...

Nie było mu dane skończyć. Iga odwróciła się do niego plecami i weszła do domu, zamykając za sobą drzwi.

## Rozdział 37

### Kamil

Plan był prosty. Miał wejść niezauważony do szpitala, dostać się do sali doktor Mileny Nowickiej, podać jej coś, co otrzymał w strzykawce, i ulotnić się. Gdy patrzył na wytyczne spisane na zwykłej białej kartce, nic nie wydawało się skomplikowane. Jednak gdy obudził się w środku nocy złany potem, wiedział, że wcale nie będzie to takie łatwe.

Ubrał się najzwyczajniej, jak potrafił, na głowę założył czarną czapeczkę bez żadnych znaczków, a na dłonie gumowe rękawiczki. Do

szpitala dotarł pieszo i wszedł do budynku szpitala wejściem dla personelu. Już wcześniej je wypróbował i z radością stwierdził, że nikt nie sprawdza, czy faktycznie wchodzi nim tylko pracownicy. Powolnym krokiem wdrapał schodami na pierwsze piętro, gdzie w sali numer trzydzieści siedem leżała kobieta. Zegar ścienny, który minął przy wejściu, wskazywał drugą pięćdziesiąt. O tej porze wszyscy pacjenci spali, więc miał szansę prześlizgnąć się do swojej ofiary niezauważony.

Powoli otworzył drzwi na oddział i nie widząc nikogo w okolicy, ruszył w stronę jej sali. Dzieliło go już tylko pięć metrów od drzwi, na których wisiał napis „Sala 37”, gdy usłyszał skrzypnięcie. Przyspieszył kroku i w ostatnim momencie nacisnął klamkę. Najciszej, jak potrafił, wślizgnął się do sali i przywarł do ziemi.

Dzięki świecącym na zewnątrz latarniom panował tu półmrok. Odczekał kilka sekund i dźwignął się na nogi, cały czas bacznie obserwując otoczenie. Na jego szczęście w pomieszczeniu nie większym niż jego sypialnia stało jedno łóżko. Rozwiązał się więc problem z ustaleniem, które należy do jego ofiary.

Stanął obok i patrzył na śpiącą kobietę. Z zamkniętymi oczami wyglądała tak niewinnie, jednak Kamil wiedział, że musi mieć w sobie spory pierwiastek zła, skoro ktoś kazał ją zabić. Komuś musiała zniszczyć życie. Nie miał pojęcia, co zrobiła, ale nie miało to dla niego znaczenia. Starał się skupić na swoim zadaniu i fakcie, że ktoś dla niego zrobił to samo i już niedługo będzie odnosił sukcesy. Coś w stylu zasady wzajemności, o której uczył się na studiach. Ty dajesz komuś coś, a później on zobowiązany jest się odpłacić.

Ostrożnie wyciągnął strzykawkę, którą dostał w pudełku, i zbliżył się do wiszącego przy łóżku stojaka. Zawsze się zastanawiał, co pielęgniarki tam wlewają. Teraz sam miał się w nie pobawić. Wbił igłę w plastikowy pojemnik i patrzył, jak płyn powoli opuszcza tłok i miesza się z lekami, który miały pomóc Milenie Nowickiej.

Kamil Bednarczyk nie miał zielonego pojęcia, co to za trucizna i jak długo to potrwa, dlatego gdy kobieta nagle otworzyła oczy, zmarł. Niewiele mógł zrobić, ponieważ stał raptem pół metra od niej w najbardziej oświetlonym miejscu w pomieszczeniu. Lekarka patrzyła na niego w pełni otwartymi oczami.

- Kim jesteś? - zdążyła powiedzieć, zanim jej powieki opadły, a wszystkie urządzenia zaczęły piszczeć.

Nie czekał na dalszy ciąg zdarzeń. Szybkim krokiem opuścił salę, pokonał klatkę schodową i wybiegł z budynku. Czapkę, bluzę i rękawiczki wyrzucił do śmietnika na tyłach sklepu spożywczego i już spacerowym tempem wrócił do domu.

## Rozdział 38

### Szymon

Nie mógł tego tak zastawić. Nacisnął kławkę i wszedł do domu Marcela Zawadzkiego. Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażał. Idealnie. Zresztą jak sam właściciel i pewnie jego biznes, kobiety. Szymon szybko odgonił te myśli i ruszył przed siebie, kierując się do źródła jakiegoś dźwięku. Wszedł do przestronnej kuchni połączonej z jadalnią i salonem. Przy wielkim stole przed laptopem siedziała Iga i coś oglądała. „Pewnie jakiś ich wspólny film”, pomyślał.

- Czego chcesz?! - krzyknęła i wstała, jak tylko go zobaczyła.

- Chyba musimy porozmawiać.

- Nic nie musimy.

- Jestem twoim mężem.

- Jesteś dupa, nie mąż - parsknęła szyderczo, nagle zadowolona z siebie.

- Proszę, nie mów tak. Chciałbym wiedzieć, co się stało. Dlaczego?

- Jezu, zaczniesz teraz te twoje ckliwe analizy skutecznie. Błagam, wyjdź! - wrzasnęła i zaczęła płakać.

Podszedł do niej bliżej. W pierwszej chwili chciał ją przytulić, ale się powstrzymał. Położył tylko dłoń na jej ramieniu, chciał dodać jej tym gestem otuchy.

- Co ty robisz? Nie dotykaj mnie.

- Ja tylko...



- Co tylko? Nienawidzę twojego dotyku! - wykrzyknęła, wytrzeszczając oczy, co spotęgowało obłąkańcze wrażenie, jakie robiła. - Piecze mnie skóra, gdy jej dotykasz. Tak jakby ktoś wylał na nią kwas lub jakiś chlor. Brzydę się tobą, każdą spędzoną z tobą chwilą. Nie wiem, jak mogłam przeżyć z tobą tyle lat. Z taką życiową pokrąką, nieudacznikiem. Maminsynkiem, który nie może spędzić nawet pół dnia bez tej wrednej krowy. Jesteś od niej uzależniony. Nie zdziwiłabym się, gdybyś potajemnie pił jej magiczne mleczko prosto z obwisłej piersi.

- Nie mów tak! - przerwał jej wkurzony.

- Bo co? Pójdiesz do niej na skargę? Gównu mnie to obchodzi. Rób sobie, co chcesz, a ode mnie się odwal. Chcę rozwodu, i to natychmiast, i nigdy, przenigdy nie chcę widzieć tej twojej płaczliwej mordy. Nie masz w sobie nic z prawdziwego mężczyzny. Jesteś nikim. - Podeszła do niego zdecydowanie za blisko i z bijącą z oczu nienawiścią powiedziała: - Jesteś najgorszym, co mnie w życiu spotkało.

W tym momencie nie wytrzymał. Sięgnął po stojący na stole świecznik i z całej siły przywalił Idze w bok głowy. Pochłonięta wyrzucaniem z siebie nienawistnych słów, nie zauważyła nadciągającego niebezpieczeństwa. Pierwsze uderzenie tylko ją otumaniło, szybko się jednak otrząsnęła i parsknęła szyderczo:

- Ja pierdolę, ty nawet uderzyć nie umiesz. Mięczak.

Te słowa zadziałały jak katalizator, po których nastąpił wybuch. Wybuch tak gwałtowny, że zadziwił samego Szymona. Nie miał pojęcia, skąd wziął tyle energii i mocy, ale drugie uderzenie było tak silne, że jej stopy oderwały się od ziemi, a po chwili z impetem upadła na brzuch na podłogę.

- Nie jestem żadnym mięczakiem - powiedział do jej pleców, zupełnie nieświadom tego, co właśnie zaszło.

# Część 3

## Ponowne narodziny

### Rozdział 1

Szymonbb

- Powtórz, spokojnie - powiedziała matka Szymona, gdy zadzwonił do niej z samochodu po tym, jak uciekł, zostawiając Igę na podłodze.

- Ja... ją... zabiłem... - wydukał w końcu.

- Tę twoją tępą żonę?

- Tak.

- To trochę źle, ale wiedz, że jestem z ciebie dumna. Jakoś należało się jej pozbyć - powiedziała kobieta, jak zwykle w swój specyficzny sposób. - Trzeba się zastanowić, co z tym zrobić. Gdzie jesteś?

- Pod jej domem, to znaczy pod domem Marcela Zawadzkiego.

- No tak, gdzie niby mogłaby być... - westchnęła. Mężczyzna usłyszał, że matka się przemieszcza.

- A skąd ty wiesz?

- Nie jest to teraz ważne. Czekaj na mnie. Niedługo będę i wszystkim się zajmę.

Szymon Trojanowski zakończył połączenie i próbował się uspokoić. To, co przed chwilą zrobił, wyglądało jak scena z horroru. Nigdy nie spodziewałby się po sobie takiego zachowania. Przecież zawsze cechował go niesamowity spokój i opanowanie. Wiedział, że czasami z najbardziej opanowanego człowieka wychodzi zło. W końcu uczył się o tym na studiach. Nie sądził jednak, że kiedyś przyjdzie mu to sprawdzić na własnej skórze.

Sytuacja była na tyle straszna, że zupełnie nie wiedział, co ma robić. Powinien zadzwonić na policję, ale zamiast wybrać numer alarmowy automatycznie kliknął ikonę słuchawki przy małym zdjęciu matki.

Siedział teraz w oczekiwaniu na kobietę, mając w głowie głos Igi:

- Nie wiem, jak mogłam spędzić z tobą tyle lat. Z taką życiową pokraką, nieudacznikiem. Maminsynkiem, który nie może spędzić nawet pół dnia bez tej wrednej krowy. Jesteś od niej uzależniony. Nie zdziwiłabym się, gdybyś potajemnie pił jej magiczne mleczko...

Słowa te rezonowały mu w głowie i wypalały zwoje. Czuł coraz większy ból, miał wrażenie, że zaraz rozsądzi mu on czaszkę. Słowa te, mimo niesionego w sobie okrucieństwa, w jego ocenie zawierały niestety ułamek prawdy. Był od matki uzależniony, ale wynikało to z faktu, że znakomicie ogarniała ona wszystko, co działo się w jego życiu, nawet w tych najdziwniejszych sytuacjach.

Gdy zniknęła Blanka, jego pierwsza prawdziwa miłość, matka od razu zorganizowała przeprowadzkę i tak poprowadziła jego życie, aby jak najmniej myślał o utraconej ukochanej. I tak zdał już maturę i czekał na wyniki egzaminów wstępnych, więc nic go nie trzymało w małej miejscowości, w której mieszkali od śmierci ojca. Spokojnie mogli wrócić do Warszawy i po raz kolejny w życiu zacząć wszystko od nowa.

W końcu po trzydziestu minutach w małą uliczkę wjechała jego matka, prowadząc swoją białą strzałę, jak nazywała nissana micrę, którego kupiła sobie na sześćdziesiąte urodziny. Minęła jego auto, tak jakby go nie zauważyła, i zaparkowała w bezpiecznej odległości, a po dwóch minutach wsiadła do jego samochodu.

- No to teraz spokojnie opowiedz, co się stało - rzuciła bez słowa przywitania.

- Ona... Zawadzki...

- Szymek. Synku. - Chwyciła go za dłonie i spojrzała w oczy. - Spokojnie. Wdech i wydech. Tak jak wtedy, gdy śniły ci się koszmary w dzieciństwie. Nic ci już nie grozi. Jestem z tobą, nie bój się.

Mężczyzna spojrzał na nią w sposób inny niż zazwyczaj. Wrogi, buńczuczny, opętany.

- Przestań do mnie tak mówić. Jestem Szymon, a nie jakiś jebany maluszek Szymek.

- Przepraszam, nie chciałam - zreflektowała się, zdziwiona reakcją syna.

- To ja przepraszam - zmienił od razu ton. - Nie wiem, co robić. Ja nie chciałem... - Chwycił się rękoma za głowę, jakby chciał wyrwać sobie włosy.

- Wiem, powiedziałaś to w stresie.

- Nie o to chodzi. Ja nie chciałem jej zabijać. Chciałem wyjaśnić, zrozumieć, a ona ... - Zawiesił głos i spojrzał na matkę już po staremu. Tym dziecięcym wzrokiem proszącym o pomoc, gdy zgubi się ulubioną zabawkę lub stłucze kolano przy wywrotce na rowerze.

- Kochanie, to nie twoja wina. Ona była złą kobietą. Doprowadziła cię do tego. Przecież ty byś muchy nie skrzywdził. Ale teraz nie ma czasu na rozważania. Musimy działać. Ktoś cię widział?

- Chyba nie.

- Oby tak faktycznie było. Jedź do domu, spal lub pozbądź się wszystkich rzeczy, które masz na sobie, a później idź do gabinetu. Ja posprzątam w ich domu.

- Ale co, jak ktoś tutaj przyjedzie? - Szymon kiwnął głową w stronę domu Marcela Zawadzkiego.

- Nie martw się. Poradzę sobie. Teraz najważniejsze, żebyś ty stąd zniknął. Nikt nie może cię tutaj widzieć. Niestety przeważnie pierwsze podejrzania spadają na męża. Jakby coś, ja zaświadczę, że przez cały dzień pracowałeś w gabinecie. Jeżeli nie znajdą niczego na miejscu zbrodni, to cię z tym nie połączą.

Nie czekając na akceptację swojego planu ze strony syna, kobieta wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę domu zamieszkiwanego przez Ięgę i Marcela. Dopiero teraz zauważył, że przez ramię miała przewieszoną dużą torbę, najpewniej wypełnioną preparatami do czyszczenia.

## Rozdział 2

Ryszard

Nienawidził, gdy ktoś przerywał mu sen. Czuł się później niewyspany i wszystko go denerwowało bardziej niż zazwyczaj. Może gdyby pił kawę, czułby się inaczej, ale jej smak w ogóle mu nie pasował. Poza tym przy jego niskim ciśnieniu po kawie serce zaczynało mu bić tak szybko, że miał wrażenie, że zaraz wyskoczy z piersi.

Niespiesznie sięgnął po telefon i wcisnął zieloną słuchawkę. Spodziewał się, że dzwoni ktoś z komendy. Gdy usłyszał, co rozmówca ma do powiedzenia, momentalnie się obudził.

Wyskoczył jak poparzony z pościeli, zrzucił z siebie piżamę, włożył brudne rzeczy, które krytykowanym przez żonę zwyczajem zostawiał zawsze przy łóżku, a po pięciu sekundach stał już przy drzwiach wyjściowych i nerwowo szukał kluczyków do samochodu. Sytuacja ta zdarzała się praktycznie za każdym razem, jednak nigdy wcześniej nie zależało mu tak bardzo na szybkim znalezieniu zguby. W końcu zauważył fragment wystającego spod buta kolorowego serduszka, które jakiś czas temu córka zamontowała mu jako breloczek, i rzucił sam do siebie:

- Dzięki, mała.

Przeskakując większą część stopni na klatce schodowej, pokonał pięć pięter i nie zatrzymując się, ruszył do samochodu. Pod szpital zajechał po trzynastu minutach. Wbiegł na pierwsze piętro, a następnie rzucił się do sali z numerem 37. Otworzył drzwi i stanął jak wryty.

Pomieszczenie zionęło pustką. W tym momencie jego świat stanął w miejscu. Pędzące myśli kotłowały mu się w głowie tak, jakby miały zaraz doprowadzić do jej wybuchu. Ryszard Kozłowski od siedemnastu lat zajmował się rozwiązywaniem zagadek, ale teraz, stojąc w pustym pomieszczeniu, nie miał żadnego pomysłu, co stało się z jego siostrą. Żadnego pomysłu, który mógł go usatysfakcjonować, dawać cię szansy na happy end.

- Przenieśliśmy ją - usłyszał nagle głos kobiety.

- Co?

- Ona żyje - powiedziała pielęgniarka uspokajającym głosem. - Jej stan jest bardzo ciężki, ale żyje.

Powoli zaczął do niego docierać sens wypowiedzianych przez kobietę słów. Milena żyła. Z lakonicznej informacji, która wyrwała go ze snu, wynikało, że musi jak najszybciej dotrzeć do szpitala. I tyle.

- Co się stało? - wydukał po chwili.

- Tego jeszcze nie wiemy. Proszę za mną, może pan na chwilę wejść do siostry.

Poszedł potulnie za kobietą. Gdy zobaczył Milenę, zamarł. Przy pierwszej wizycie po wypadku miał wrażenie, że gorzej być nie może. Mylił się. Z ust siostry wystawała rurka, a jakieś urządzenie stojące obok tłoczyło w nią powietrze. Dodatkowo drugie, za pomocą nieskończonej ilości rurek, podawało jej leki.

- Zatrzymała nam się - powiedział mężczyzna w lekarskim kitlu, który po chwili stanął obok Ryszarda. - Nie wiemy, co się stało. Wczoraj wszystko wyglądało dobrze. Zresztą sam pan z nią rozmawiał. Oczywiście czasami zdarzają się takie sytuacje. Jednak... - Lekarz zawiesił głos. - Sam nie wiem.

- Ale już jest dobrze?

- Chciałbym powiedzieć, że tak, ale nie mogę. Po pierwsze, nie wiemy, dlaczego coś takiego się stało. Po drugie, czy mamy do czynienia z pojedynczym incydentem, czy może to się powtórzyć, na przykład nawet za trzy minuty. Robimy wszystko, żeby uratować doktor Milenę. Cały szpital się za nią modli. To niesamowity człowiek.

- Wiem. - Ryszard uśmiechnął się i podszedł do siostry. Dotyk jej ciepłej dłoni nieco go uspokoił. - A czy... - zaczął, jednak nagle zawiesił głos. Przyszła mu do głowy nedorzeczna myśl. Chciał już zrezygnować ze skończenia zdania, jednak przypomniały mu się słowa wykładowcy ze szkoły policyjnej: „Ufaj swojej intuicji, nawet gdy podpowiada absurdalne pomysły”.

## Rozdział 3

### Szymon

Wszystko go denerwowało i stresowało. Najchętniej zamknąłby się w czterech ścianach mieszkania, które tak niedawno dzielił z Igą, i nie wychodził z niego dniami, miesiącami, a może i latami. Jednak dobrze

wiedział, że nie może tego zrobić. Po pierwsze, wzbudzi to zainteresowanie wielu osób, między innymi jego klientów, którzy go potrzebowali. Po drugie, chyba bardziej przerażające, musiałby stawić czoła matce, która i tak co pięć minut dzwoniła do niego, sprawdzając, czy wszystko w porządku, a następnie instruowała, jak ma się zachowywać. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego uważała się za specjalistkę w sprawach morderstwa.

- Moja mama psychopatka - powiedział i od razu zaśmiał się na głos, pierwszy raz od chwili, gdy świecznikiem roztrzaskał głowę Igi, którą jeszcze do niedawna tak bardzo lubił głaskać.

Z rozmyślań wytrąciła go nowa klientka, która pojawiła się w drzwiach. Nazywała się Anastazja Kowalenko i pochodziła z Ukrainy. Przyjechała do Polski dziesięć lat temu, zostawiając w ojczyźnie swoją rodzinę, łącznie z małym dzieckiem, które teraz miało już piętnaście lat. Zawodowo się spełniła, lecz okazało się, że rozłąka z rodziną zostawiła w niej wielką pustkę. Jej matka i syn nie chcieli przyjechać do Warszawy, a ona uzależniła się od życia w stolicy i nie planowała z tego rezygnować, z powodów rodzinnych wpadła w depresję, a sprawy sercowe stanowiły gwóźdź do trumny.

Tego wszystkiego dowiedział się z ankiety. Teraz siedziała przed nim atrakcyjna blondynka, której pewnie nikt nie posądzałby o takie problemy.

- Ja jestem tak beznadziejna, że nawet zabić się nie potrafię - zaczęła, zanim zdążył zadać jej pytanie, i głośno westchnęła. - Zawsze miałam wrażenie, że jestem fajną dziewczyną. Bez problemu znajdę sobie faceta, którego pokocham i z którym będę chciała spędzić życie. On mi się oświadczy, będziemy mieli piękny ślub jak z romantycznego filmu, a dopełnieniem tego będzie gromadka dzieci. Co najmniej trójka.

- Przecież cały czas ma pani na to szanse.

- Może i mam, ale już tego nie chcę. Nie chcę, żeby ktoś mnie tak zranił jak on. Boję się, że znowu z dnia na dzień moja bajka zamieni się w koszmar. - Anastazja zachichotała pod nosem i spojrzała na Szymona Trojanowskiego. - On z niej się śmiał. Mówił, że zachowuje się jak pusta lala. A potem - na chwilę zawiesiła głos i otarła spływającą po policzku łzę - dwa dni przed ślubem przyszedł do domu zasmucony i powiedział, że musi mi wyjawic coś ważnego. Zaprowadził do salonu, w

którym spędziliśmy tyle wspaniałych chwil. Myślałam, że powie, że jest chory lub stracił pracę. A on tak po prostu wypalił, że się zakochał. Dwa dni przed ślubem! – krzyknęła kobieta i wstała z szezlonga, który coraz bardziej denerwował Szymona. Podeszła do okna i zapatrzyła się na pędzące po Marszałkowskiej samochody. Po chwili odwróciła się, wytarła wierzchnią częścią ręki spływającą z nosa wodę i wróciła na swoje miejsce. – Już wszystko mieliśmy zapięte na ostatni guzik. Część gości jechała na wesele z Ukrainy. Matko, jaki to był wstyd. Jak on mógł mnie tak upokorzyć?! – krzyknęła tak głośno, że przestraszyła siedzącego naprzeciwko Szymona. – Oczywiście zapłacił za wszystko. Niby poczuwał się do wyrządzonej krzywdy. Ale co z tego? Czułam się jak mały robak, którego ktoś zgniata butem. Pokazał, że jestem dla niego nikim. Później dowiedziałam się, że spotykali się już od trzech miesięcy. Spokojnie już wtedy mógł mi powiedzieć, że jestem beznadziejna i...

- A może tak jest? – powiedział Szymon ledwo słyszalnie i od razu pożałował swoich słów.

- Słucham?

- Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć.

- Ale pan powiedział. Facet mnie zdradzał, rzucił przed ołtarzem i to niby moja wina?

- Wie pani, takie rzeczy nie dzieją się bez powodu – brnął dalej i co zadziwiające, podobało mu się.

- Chyba pan żartuje.

- Nie. – Wyprostował się i poczuł jakąś dziwną moc. – Może to jednak z panią jest coś nie tak. Może to pani zachowanie go sprowokowało.

- Wie pan, to już jest mocna przesada. Nie tego szukałam na psychoterapii. – Ponownie wstała, ale tym razem energicznym krokiem wyszła z gabinetu, zostawiając Szymona z uśmiechem na twarzy.

Momentalnie do głowy przyszła mu zaskakująca myśl. Dotychczas był taki jak Anastazja. Słaby, okłamywany, wykorzystywany, zdradzany. Teraz chciał się pożegnać z dawnym „ja”. W głębi duszy dziękował Idze, że dała mu kopniaka do działania, zmotywowała do odrodzenia się. Szkoda tylko, że musiała zapłacić za to najwyższą cenę.



# Rozdział 4

## Ryszard

Lekarz patrzył na Ryszarda Kozłowskiego jak na kosmitę.

- Jak to otruł? - spytał z niedowierzaniem.

- Czy jest opcja, że to, co stało się z Mileną, to reakcja na jakąś truciznę?

- Potencjalnie tak, ale jak niby to miałyby się stać?

- Może ktoś tu wszedł niezauważony i coś jej podał.

- Z tego, co słyszałem, jest pan policjantem, prawda? - powiedział z lekkim uśmiechem na twarzy lekarz.

- Tak, jestem.

- Nie doszukuje się pan za bardzo drugiego dna? Pana siostra przeżyła bardzo poważny wypadek, a niestety takie rzeczy się zdarzają.

- Rozumiem, jednak chciałbym zadać dwa pytania pielęgniarce, która pracowała na nocnej zmianie. - Kozłowski spojrział na zegarek. - Powinna jeszcze być.

- Tak, jest szósta, więc do ósmej jest na oddziale. Proszę poczekać, pójdę po nią.

Po pięciu minutach lekarz wrócił z niezwykle wysoką i szczupłą kobietą, która z przerażeniem na twarzy stanęła przed nim na baczność.

- To jest pani Wioletta Niedzielska, pielęgniarka z nocnej zmiany, która opiekowała się dzisiaj doktor Mileną.

- Dzień dobry - powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

- Dzień dobry, starszy aspirant Ryszard Kozłowski, mam do pani kilka pytań. Czy dzisiejsza zmiana przebiegała bez zakłóceń?

- Pańska siostra dostała zapaści, więc to oczywiste, że nie, sporo się działo.

- Tak, rozumiem, ale czy przed tym wszystko odbywało się jak zwykle?

- Tak - odpowiedziała kobieta. - Nic szczególnego się nie zdarzyło. Nocne zmiany zazwyczaj są dość spokojne.

- Rozumiem, a czy może pojawił się na oddziale ktoś niespodziewany?

- Nie, wizyty są do siedemnastej. Po tej godzinie nikt nie ma wstępu.

- Okej, czyli miał pan rację - powiedział Ryszard do lekarza, który baczenie przysłuchiwał się rozmowie. - Nie ma co drażnić.

- Wie pan co... - wtrąciła nagle pielęgniarka. - Tak sobie teraz myślę i wydaje mi się, że słyszałam coś jakiś czas przed alarmem u pani Mileny. Nie wiem, czy to były kroki... Od razu pomyślałam, że mi się wydaje, ale teraz, jak pan powiedział to na głos, to tak się zastanawiam, czy może jednak ktoś tu był.

Piętnaście minut później Ryszard siedział przed dziewięcioma monitorami ustawionymi trzy na trzy, jak pole do gry w kółko i krzyżyk. Przeglądał po kolei ujęcia z dziewięciu kamer w szpitalu. Jak na takie miejsce, mieli ich zdecydowanie za mało, jednak i tak cieszył się, że ma jakikolwiek materiał do przejrzenia.

- Proszę zerknąć tutaj! - krzyknął z podnieceniem ochroniarz, który ochoczo zadeklarował pomoc. Liczył w głębi ducha, że dzięki temu nikt nie pociągnie go do odpowiedzialności za brak reakcji na intruza. Zresztą nie było się czemu dziwić. Ryszard znał standardy pracy w ochronie. Zazwyczaj od pierwszej do piątej ochroniarze smacznie sobie spali, zupełnie zapominając, że są w robocie.

Ryszard nachylił się nad monitorem numer cztery i przyglądał się postaci, która pojawiła się chwilę przed trzecią.

- On o nich nie wiedział lub nie pomyślał, żeby sprawdzić. To żaden profesjonalista - powiedział Ryszard sam do siebie, jak miał w swoim zwyczaju. Normą było, że chodził po miejscu zbrodni i mówił pod nosem.

- Możliwe. Tylko skądś musiał zdobyć truciznę - skomentował ochroniarz, jakby poczuł się zaproszony do dyskusji.

- Proszę mnie już zostawić samego - odpowiedział policjant, wpatrując się w spikselowaną postać.

Obraz na ekranie stanowił niezbity dowód na to, że ktoś czyhał na życie jego siostry.

# Rozdział 5

## Ryszard

Czuł, że w końcu mają przełom w sprawie. Zgrał cały materiał i dumny jak paw pojechał na komendę. Przez dwie godziny czekał grzecznie na komendanta. Nie chciał do niego dzwonić, bo jak zwykle dostałby zjebkę za nękanie go, a tego wolałby uniknąć, dlatego grzecznie wypełniał papiery, które piętrzyły się jak zwykle na jego biurku. Również o ósmej ruszył do pomieszczenia, które zajmował szef.

- Dzień dobry - powiedział, stając w otwartych drzwiach.

- O matko, Kozłowski, chory jesteś?

- Nie. Mam ważną sprawę.

- O tym, czy sprawa jest ważna, decyduję ja - skomentował głosem nieznośnym sprzeciwu.

- Wiem. - Usiadł naprzeciwko szefa, ignorując brak zaproszenia. - Ktoś chciał zabić moją siostrę.

Na te słowa komendant momentalnie odłożył trzymaną teczkę.

- Że co?

Po chwili usłyszał od Ryszarda Kozłowskiego, za którym zdecydowanie nie przepadał, opis zdarzeń z ostatnich godzin, jednocześnie notując coś na czystej kartce.

- Przekaż wszystko Przybyszewskiemu, on się tym od teraz zajmie.

- Ale, szefie... - zaczął policjant i od razu ugryzł się w język. Dobrze wiedział, że brak zgody na jego uczestnictwo w sprawie nie będzie wyjątkowo wynikał ze złości szefa.

- Skończyliśmy - powiedział komendant chłodno i chwycił za telefon, dając Kozłowskiemu do zrozumienia, że ma wyjść.

Ryszard kiwnął na pożegnanie głową i dumnym krokiem wyszedł z gabinetu komendanta. Zamiast do swojego pseudobiura ruszył do ostatniej osoby w tym budynku, która nie traktowała go jak ostatniego partacza. No, może poza sekretarką, której wypieki jadł z uśmiechem i całkowicie szczerze chwalił je pod niebiosa.

Tomasz Przybyszewski był niezwykle spokojnym i wyważonym człowiekiem. Wiele osób uważało, że jego osobowość i temperament zupełnie nie pasują do zawodu policjanta. On jednak pomimo tych krzywdzących opinii plasował się wśród najskuteczniejszych policjantów w rejonie. Dlatego Ryszard tak bardzo się ucieszył, że to właśnie on miał zająć się sprawą jego siostry, zwłaszcza że znał ją osobiście. Kilka lat temu poszli nawet na jedną randkę, ale Milenę odstraszył jego spokój. Zdecydowanie wolalała mężczyzn charakternych, z charyzmą, którzy porywali tłumy. Może dlatego, że sama taka była i lubiła się otaczać dość krzykliwymi osobami, zarówno w kwestii wyglądu, jak i zachowania.

Ryszard zastał Tomasza pochylonego nad klawiaturą komputera. W skupieniu przeszukiwał bazę danych, o czym świadczyła wyświetlona na monitorze strona internetowa. W zwyczajnych okolicznościach zostawiłby go w spokoju, ponieważ kolega nie lubił, jak mu się przerywa, jednak teraz sytuacja wyglądała zupełnie inaczej.

- Jest sprawa - rzucił bez słowa wstępu i przysiadł na krawędzi biurka.

- Wiem, komendant już mi przekazał.

- Kiedy? - powiedział zdziwiony Ryszard.

- Kilka sekund temu. Jak toczyłeś do mnie swoje tłustawe cztery litery - odpowiedział spokojnie, przeciągając każde słowo.

- Szybki jest. To co robimy?

- Robimy? - Tomasz po raz pierwszy podniósł wzrok znad klawiatury i zmarszczył brwi. - Z tego, co mi wiadomo, nie ma żadnego „my”.

- Oj, przestań. Od kiedy taki porządny jesteś?

- Od zawsze i dobrze o tym wiesz.

- Błagam, ale nie tym razem. - Ryszard przysunął się bliżej. - To jest dla mnie zbyt ważne. To moja siostra.

- Po pierwsze, wstań z mojego biurka. Po drugie, nawet cię rozumiem, sam mam siostrę. Po trzecie, niezależnie od wszystkiego i tak przyłożę się w stu procentach. Po czwarte, znam Milenę i też zależy mi na odkryciu prawdy. Mogę wymienić jeszcze parę argumentów, ale mam lepsze rzeczy do robienia. Nie odpuszczę, będę pracował najlepiej, jak potrafię, a wiesz, że jestem dobry, więc nie potrzebuję twojej pomocy. Mam do tego ludzi.

- Ja rozumiem, ale...

- Mogę zrobić ci przyjemność, opowiedz mi wszystko o nagraniu. Przynajmniej nie będę musiał go oglądać.

- Oczywiście! - krzyknął Ryszard i podekscytowany zaczął opowiadać. - Chwilę przed trzecią nad ranem kamery uchwyciły mężczyznę na pierwszym piętrze. Widać, że się skrada. Rozgląda się dookoła. Jest taki kwadratowy w ruchach, co świadczy o zdenerwowaniu. Jest na nagraniu przez około piętnaście sekund. Niestety nie widać, czy ma coś ze sobą, ale to nic nie znaczy. Wrócił już inną drogą, bo to jedyny moment, kiedy jest na taśmie.

- Widać jego twarz?

- Niestety niewyraźnie. Można spróbować dać technikom, może gdzieś z jakiegoś odbicia wyciągną więcej, jednak nie sądzę, to nie serial „CSI”... Zresztą zaraz przyniosę ci wszystkie materiały - powiedział Ryszard i poczuł ulgę w sercu. Wiedział, że sprawa Mileny nie mogła trafić w lepsze ręce.

## Rozdział 6

### Szymon

- Wiem, że nie chce pan tutaj być, ale to jedyny sposób, aby znaleźć rozwiązanie i uporządkować swoje emocje. Proszę mi uwierzyć, że terapia bardzo pomaga - przemówił Szymon spokojnym głosem do siedzącego naprzeciwko niego mężczyzny, który każdym swoim słowem i ruchem pokazywał, że nie chce uczestniczyć w tej rozmowie.

- Bzdury. To tylko naciąganie ludzi z problemami.

- Rozumiem pana sceptyczne nastawienie, ale skoro już nic nie pomaga, to może by pan zaryzykował i spróbował.

- To i tak nic nie da, ale nie mam wyjścia. Żona zagroziła, że odejdzie, zabierze dzieci i wyjedzie. Jak jej strata mi zwisa, tak bez dzieci nie dałbym rady żyć.

- To chyba dobrze, że ma pan dla kogo żyć.

- Może i tak, ale ja nie wiem, czy to ma sens. - Powiódł rękoma dookoła, wskazując na gabinet.

- Z tego, co napisał pan w formularzu, to ma pan poczucie, że wszyscy dookoła pana oszukują, zgadza się?

- Może nie wszyscy - mruknął mężczyzna i poprawił zegarek na nadgarstku. - Przede wszystkim żona.

- Rozumiem, a przyłapał ją pan kiedykolwiek na czymś?

- Nie, ale moim zdaniem to nic nie znaczy. Ona przede mną coś ukrywa i nie chce mi tego powiedzieć.

Szymon aż się cały napiął. On nigdy czegoś takiego nie czuł. Może gdyby był bardziej wyczulony, nie dałby się tak oszukać. Nie chodziliby bez sensu na terapię, tracąc czas na ratowanie związku, dla którego nie było już nadziei.

- To może musi pan lepiej szukać - powiedział i ponownie podczas sesji poczuł, że robi coś, czego nie powinien. Jako psycholog powinien tak prowadzić klienta, aby ten sam odkrywał rozwiązanie swojej sytuacji, czasami dając lekkie wskazówki, ale takie rady zdecydowanie nie były na miejscu.

- Słucham? - spytał zdziwiony mężczyzna, licząc zapewne na coś zupełnie innego.

- Widzi pan... Przez ostatnie kilka miesięcy dzielnie walczyłem o swoją żonę. Zapisaliśmy nas na terapię. Zgodziła się, więc wierzyłem, że to dobry krok na drodze do ulepszenia naszego małżeństwa. Mieliśmy drobne problemy natury zdrowotnej. Żona nie mogła zająć w ciążę, co wywoływało wiele frustracji, szczególnie u niej. Chwilowo się wyprowadziła, ale fakt walki dawał mi nadzieję. Jednak nie...! - krzyknął i z hukiem zamknął trzymany w ręku kajet. - Okazało się, że bzykała się na boku z jakimś gogusiem.

- Ja pierdołę. I nic pan nie przeczuwał? - spytał mężczyzna i pochylił się w stronę rozmówcy.

- Nie. Byłem święcie przekonany, że ratujemy związek, a tak naprawdę z niewiadomych dla mnie powodów grała w jakąś chorą grę.

- One takie są - wycedził mężczyzna, a ich dalsza rozmowa przypominała bardziej taką, jaka odbywa się przy piwie, a nie w gabinecie psychologicznym.

# Rozdział 7

## Kamil

*Anonimowe źródło w policji poinformowało nas, że już w najbliższym czasie szykuje się niesamowity zwrot w sprawie wypadku Mileny Nowickiej, który miał miejsce trzy dni temu na Wisłostradzie. Wszystko wskazuje na to, że ulubienicę wielu pacjentów ktoś chciał zabić. Celowe działanie doprowadziło do tragicznego wypadku na Wisłostradzie. Za pierwszym razem jego plan nie powiódł się, dlatego po dwóch dniach sprawca podjął kolejną próbę. Na szczęście jedna z kamer uchwyciła mężczyznę, który kilka minut przed gwałtownym pogorszeniem się stanu pani doktor pojawił się na szpitalnym korytarzu. Policja aktualnie dopracowuje zdjęcie, które zostanie udostępnione w najbliższym czasie do wiadomości publicznej w celu zidentyfikowania sprawcy.*

Pot spływał mu po plecach, a serce waliło jak szalone. Nie tak sobie to wszystko wyobrażał. Myślał, że wejdzie i wyjdzie niepostrzeżenie. Założył rękawiczki, aby nie zostawić swoich odcisków, ale zupełnie nie pomyślał o tym, że na terenie szpitala mogą być kamery. Bo niby po co? Mają szpiegować pacjentów, gości, a może personel medyczny? Kamil nie miał pojęcia, po co ktoś je zamontował, a także dlaczego on sam o nich nie pomyślał. Może dlatego, że nigdy wcześniej nikogo nie zabił i najzwyczajniej w świecie się na tym nie znał. Nie miał doświadczenia, wiedzy. Obejrzał w swoim życiu kilka filmów kryminalnych, ale wolał raczej fantastykę, a tam kosmitów nie podgląda żadna kamera.

Położył się na kanapie, zwinął w kłębek i zaczął płakać. Czuł, że życie, nad którym i tak nigdy wcześniej nie panował, teraz zupełnie mu się wyslizguje. Było jak spadająca gwiazda. Kiedyś stanowiło coś ważnego, realnego, ale teraz, gdy rozsypało się na miliony fragmentów, było niczym. Tylko wspomnieniem. Leżał tak dobrą godzinę, aż zasnął, bo tylko w tym stanie czuł się wolny.

# Rozdział 8

## Ryszard

Ryszard zdecydowanie wolałby być w innym miejscu i zajmować się sprawą swojej siostry, jednak wiedział, że jeżeli nie będzie sprawiał wrażenia zaangażowanego w prowadzone przez siebie śledztwo, źle się to dla niego skończy. Tylko w ten sposób mógł zapewnić sobie przychylność komendanta i mieć wgląd w poczynania Tomasza Przybyszewskiego. A bardzo na to liczył.

Zaparkował przed starą kamienicą w samym centrum Warszawy i wysiadł z samochodu. Nigdy nie mógł zrozumieć, jak ludzie mogli mieszkać w tym miejscu. Te ciasno ustawione budynki, zero przestrzeni pomiędzy nimi. Jedynie wokół prezentu od Sowietów można było odetchnąć pełną piersią, tylko kto chciałby godzinami patrzeć na relikwiny przeszłości – Pałac Kultury i Nauki.

Ryszard powoli wdrapał się na trzecie piętro i stanął przed drzwiami z tabliczką:

SZYMON TROJANOWSKI

PSYCHOLOG

PONIEDZIAŁEK - PIĄTEK, GODZ. 10:00 - 21:00

TELEFON: 501 499 9773

Odwiedzał to miejsce już drugi raz i czuł się dokładnie tak samo. Strach, zdenerwowanie i bezradność. „Opowiedz mi, co czujesz”, „Dlaczego to zrobiłeś?”. Jak tylko słyszał te pytania, miał ochotę parsknąć śmiechem. Zawsze denerwowała go każda próba rozmawiania o uczuciach, dlatego tak bardzo się cieszył, że jego żona nigdy tego nie robiła. Nie rozbijała jego wypowiedzi i zachowania na czynniki pierwsze. Po prostu przyjmowała wszystko na klatę, bez zbędnych analiz. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Chwycił za klamkę, jednak ta nie ustąpiła. Już chciał wybrać zapisany na drzwiach numer telefonu, gdy usłyszał przekręcany zamek, a następnie drzwi się otworzyły. W progu stał Szymon Trojanowski. Mężczyzna nie wyglądał jak przy poprzedniej wizycie. Oczywiście miał



przekrwione, twarz bladą, a na pogniecionej koszuli widoczne plamy potu, mimo że nie wybiła jeszcze dziesiąta i nie panował uciążliwy upał.

- Dzień dobry, chciałbym porozmawiać. Ma pan może chwilę? - rzucił Ryszard Kozłowski.

- Tak, tylko ja... - wybełkotał psycholog.

- Źle się pan czuje?

- Chyba coś mnie bierze. Nie wiem, czy to dobry pomysł, jeszcze pana zarazę...

- Proszę się nie martwić. - Policjant uśmiechnął się i mimo braku zaproszenia przecisnął obok psychologa. - Jestem niezniszczalny i żadna choroba mi niestraszna.

- Jeżeli pan chce. Tylko ostatnio powiedziałem wszystko.

- Może i tak, ale wyszły nowe rzeczy. Po pierwsze, kiedy ostatni raz widział pan swoją żonę?

- Ige? To będzie już chyba z tydzień. Albo i nawet dłużej.

- A czy w międzyczasie kontaktował się pan z nią, na przykład rozmawiał przez telefon?

- Tak, po naszej rozmowie - powiedział Szymon drżącym głosem, co nie uszło uwadze policjanta.

- I jak przebiegała ta rozmowa? - dopytywał Ryszard, cały czas bacznie przyglądając się rozmówcy. Uwielbiał te momenty, gdy mógł obserwować zachowanie człowieka w stresie. Jak drżą mu ręce, zaczyna się pocić. Co zaskakujące, czasami zachowywali się tak ludzie zupełnie niewinni, a ci, co mieli coś za uszami, byli nadzwyczaj spokojni.

- A jak pan myśli? Gdyby telefon mógł płonąć od nienawiści mojej żony, to pewnie poparzyłby mi twarz. Wie pan, nie będę udawał, że ucieszył mnie ten cały jej romans. Ba, powiem nawet, że mnie to zaskoczyło. Wydawało mi się, że jakoś nam się układa i z całej rozłąki wyjdziemy silniejsi i będzie jak dawniej.

- Byliście w separacji? - wtrącił zdziwiony Ryszard.

- Nie wiem, czy tak można to nazwać.

- Jak to pan nie wie?

- Ja cały czas myślałem, że to chwilowe... Że Iga wróci do domu ze swoją różową torbą i znowu będziemy rodziną. Będziemy chodzić do kina i na spacer, wybierać imiona dla naszych dzieci. Pojedziemy w

końcu do Portugalii i zapiszemy się na kurs gotowania. – Mężczyzna coraz bardziej się pocił, co było nie tylko widać, ale i czuć. Do nozdrzy Ryszarda zaczął dochodzić kwaśny odór, który niemiłosiernie atakował jego nos. Najchętniej odsunąłby się na bezpieczną odległość, ale nie chciał zakłócać wypowiedzi psychologa. – I wie pan co, myliłem się. Ona tego nie chciała. Miała już wszystko poukładane z tym... – Szymon Trojanowski zamknął oczy i zaczął sapać. Ryszard patrzył na mężczyznę z przerażeniem na twarzy. Zupełnie nie wiedział, czy coś mu jest, czy to tylko chwilowy atak paniki. – Z Marcelem Zawadzkiem. I może to być dla pana zadziwiające – otworzył nagle oczy – ale ja już nie mam na to siły. Nie będę o nią walczyć. – Westchnął zrezygnowany. – Pogodziłem się już z tym wszystkim, co mi zrobiła, życzę jej wszystkiego dobrego. Dużo przeżyła.

– Bardzo to miłe z pana strony – powiedział trochę zszokowany policjant. – A czy wie pan, gdzie teraz Iga Lewicka może przebywać?

– Nie – odpowiedział wyraźnie zdziwiony. – Z tego, co wiem, to mieszkała ostatnio u siostry, ale po tych wszystkich rewelacjach z ostatniego czasu, to mam wątpliwości. Może u tego Marcela Zawadzkiego. – Ostatnie słowa wypowiedział z lekkim obrzydzeniem.

– Tam jej nie ma.

– Jak to nie ma?! – krzyknął mężczyzna, czym przestraszył siedzącego naprzeciwko niego Ryszarda.

– No nie ma, co w tym niezrozumiałego?

– Przepraszam, byłem przekonany, że zaszła się u niego.

– Może i tam była, ale matka Marcela, gdy przyjechała do domu syna, nikogo nie zastała.

– Aha – westchnął Szymon skonsternowany.

– Czy jest jakieś miejsce, gdzie żona mogłaby wyjechać? Ukryć się?

– Ukryć się? Ale przed kim? Myślicie, że to ona mogła zabić Marcela?

– Proszę się uspokoić. O nic nie oskarżamy pana żony. Musimy z nią porozmawiać i tyle.

– Rozumiem, ale chyba nie mogę pomóc. Jak pan sam się domyśla, ostatnimi czasy nie zwierzała mi się zbyt często. A wręcz mam wrażenie, że przez ostatnie miesiące karmiła mnie samymi kłamstwami.

– Współczuję – powiedział Ryszard szczerze.

Sam na własnej skórze przeżył zdradę żony i wiedział, co to znaczy. Jego sytuacja mocno się jednak różniła od położenia mężczyzny, którego właśnie przesłuchiwał. Gdy zorientował się, że Monika od kilku miesięcy potajemnie spotyka się z kolegą z pracy, postanowił powalczyć. Obiecał, że będzie więcej pomagał w domu i się zmieni, bo właśnie tego podobno szukała u innego. Twierdziła też, że nigdy nie przespała się z tym facetem, ale Ryszard nie wchodził w szczegóły. Najzwyczajniej w świecie wolał nie wiedzieć. Nie wyobrażał sobie za każdym razem, leżąc obok żony, jak tamten dotykał jej szyi czy podgryzał piersi, a później delectował się tym, jak cicho pojękuje, dochodząc.

- Ja sobie też - powiedział Szymon i ruszył do minirecepcji, przy której stał laptop. - Przepraszam, ale muszę przygotować gabinet. Mama jakoś źle się czuje i muszę wszystko zrobić sam.

- Rozumiem. Czyli to chyba jakaś choroba zakaźna.

- Słucham? - powiedział zdziwiony psycholog.

- Powiedział pan, że coś go chyba bierze, jakaś choroba.

- No tak. Faktycznie może to coś zaraźliwego.

- To życzę zdrowia. - Ryszard wstał i już miał wyjść, gdy przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie. - A może jest ktoś, z kim mógłbym porozmawiać? Ktoś, kto dobrze zna pana żonę?

- To zależy, co pan chce usłyszeć. Jeżeli same nieprzychylne słowa na mój temat i pochwały dla Igi, to proszę iść do jej siostry. Nigdy nie pałaliśmy do siebie miłością. Myślę, że to ona popchnęła żonę w ramiona Marcela.

Psycholog napisał na kartce telefon do kobiety, podał ją policjantowi i usiadł przed komputerem, dając tym samym znać, że nie ma już czasu.

## Rozdział 9

Szymon

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że zabrałaś stamtąd zwłoki Igi? - spytał Szymon, zaskoczony tonem własnego głosu.

- Chciałam, żebyś był bardziej naturalny, na wypadek przesłuchania.

- Naturalny? Ja prawie zawału dostałem - powiedział nadal podniesionym głosem. Z jednej strony czuł wdzięczność za to, co matka dla niego zrobiła, ale z drugiej wkurzał się, że nawet w takiej sytuacji traktuje go jak małe dziecko.

- Najważniejsze, że nic się nie stało, a tak wyszedłeś na bardziej przejętego.

- To na sto procent - stwierdził już spokojniej Szymon.

- I o to chodziło. A o twoją tępą żonkę się już nie martw. Nikt jej nie znajdzie, a dom wypucowałam, więc możesz być spokojny.

- Przerażasz mnie. Skąd ty takie rzeczy wiesz?

- Ja nic takiego nadzwyczajnego nie zrobiłam. Wyszorowałam tylko dobrze - odpowiedziała z uśmiechem na twarzy i podała mu filiżankę kawy z ciasteczkami. Cantucci z migdałami, które przy każdym gryzie powodowały uczucie, że zęby mu popękają, ale i tak je uwielbiał. Może tylko czerwone skittlesy lubił bardziej.

- A co z ciałem? - spytał i momentalnie pożałował. - Zresztą lepiej nie mów. Wolę nie wiedzieć. I tak mam już wyrzuty sumienia, że cię w to wciągnąłem.

- Jestem twoją matką. - Kobieta podeszła do niego bliżej i położyła mu głowę na piersi. - Jesteś jedyną osobą, jaka mi została. Mogłabym zrobić dla ciebie wszystko...

W tym momencie do gabinetu wpadł Kamil Bednarczyk, wywołując zdziwienie Trojanowskich. Jego wygląd wskazywał na to, że zdecydowanie potrzebuje rozmowy i pomocy. Mężczyzna miał podkrążone oczy, a cerę tak bladą, że bez charakteryzacji mógłby występować w filmie grozy.

- Muszę z panem porozmawiać. Ja zaraz zwariuję.

- Panie Kamilu, spokojnie. Proszę wejść do mojego gabinetu, a ciebie, mamó, poproszę o melisę. Nawet podwójną.

Szymon wszedł za mężczyzną i zamknął drzwi. Wygrzebał z szafy teczkę klienta i usiadł naprzeciwko Kamila, który ze zdenerwowania aż cały dygotał.

- Spokojnie, proszę powiedzieć, co się stało.

- Ja... No... Nie wiem, jak mogłem...

- Proszę oddychać głęboko. Co pan zrobił?

- Ja...

- To inaczej, co pan teraz czuje?

- Eee... - Mężczyzna próbował wydusić z siebie jakieś słowo, ale cały czas się zacinał. - Przewrzenie. Ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

- Rozumiem, czasami życie zmusza nas do pewnych zachowań. Jakaś wewnętrzna siła pcha nas do nich. Są dla nas wielkim zaskoczeniem. Może przez ułamek sekundy czujemy, że da to nam ulgę, ale jest to złudne. Gdy mija pierwsza euforia, ulga, okazuje się, że popełniliśmy błąd, którego nigdy nie uda nam się wymazać z pamięci. - Szymon mówił tak pewnie, że Kamil aż wybałuszył oczy.

- Pan siedzi w mojej głowie?

Psycholog spojrział na niego zdziwiony. Odpłynął i zupełnie nie zarejestrował faktu, że zaczął mówić o sobie, o tym, co przeżył i jakie uczucie nim targają.

- Nie. Oczywiście, że nie. Po prostu pomyślałem, że tak pan może się czuć - próbował się jakoś wytłumaczyć ze swojego dość zaskakującego monologu. Czuł, że przesadził, choć jednocześnie dobrze mu to zrobiło.

- To brzmiało bardzo przekonująco.

- To co chciał mi pan powiedzieć? - spytał Szymon, mimo że nie spodziewał się niczego zaskakującego.

- Ja ją zabiłem.

## Rozdział 10

### Ryszard

Nerwowo zerknął na zegarek w swoim zniechęconym samochodzie i wcisnął pedał gazu w podłogę. Stanie w korkach zdecydowanie plasowało się w pierwszej trójce na długiej liście rzeczy, które denerwowały Ryszarda Kozłowskiego.

- Ruszaj! - krzyczał. - Ja pierdolę, czy dzisiaj jest dzień powolnego kierowcy?! - darł się wniebogłosy, jakby tym miał przyspieszyć tempo ruszania spod świateł czy przemieszczania się pozostałych samochodów, które jak on podążały w stronę Piaseczna.

Adres Małgorzaty Laskowskiej dostał od Mariusza Walczaka. Kolega niechętnie mu go podał, ponieważ sam chciał porozmawiać z kobietą. Czuł wyrzuty sumienia, że tak lekceważąco podszedł do jej sprawy. Ryszarda to jednak zupełnie nie obchodziło. Musiał jak najszybciej wyciągnąć od niej informacje i dzięki temu zyskać jakieś punkciki u komendanta.

Zajechał pod średniej urody mały domek, którego jedna ściana całkowicie obrosnięta była przez pnący się bluszcz. Bacznie obserwując otoczenie, wjechał na podwórko niezabezpieczone płotem i zaparkował obok kilku samochodów, które wyglądały na jeszcze gorsze truchła niż jego. Jak nie on, wyskoczył szybko z samochodu i ruszył do drzwi, w których już stała kobieta.

- Dzień dobry, starszy aspirant Ryszard Kozłowski - przedstawił się i podniósł blachę na potwierdzenie swoich danych. - Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać.

- Dzień dobry - odpowiedziała trochę niemrawym głosem Małgorzata Laskowska. Kobieta wyglądała, jakby od wielu dni nie wychodziła z domu i nie brała kąpieli. - Cieszę się, że pan zadzwonił. Mam nadzieję, że w końcu ktoś zaangażuje się w sprawę mojej córki. Nelka nie zasłużyła na taką śmierć.

- Oczywiście. Czy możemy gdzieś na chwilę usiąść na spokojnie? - spytał Ryszard. Miał wrażenie, że rozmawianie na schodach odbierało mu profesjonalizm. Nie mógł wyjąć notesu i udawać bardziej zamyślnego.

- Tak, przepraszam. Zapraszam do środka.

Kobieta otworzyła szerzej drzwi i ruszyła przodem. Momentalnie pożałował swojej propozycji. To, co zobaczył w środku, przeraziło go. Już sam wygląd Laskowskiej świadczył o tym, że ma ona lekkie podejście do higieny, ale o sprzątanii w domu chyba zupełnie zapomniała. Podłoga kleiła się niemiłosiernie. Na każdym mijanym meblu leżały jakieś ubrania, ale najgorszy był uderzający ze wszystkich stron smród rozkładającego się jedzenia, który z każdym krokiem się

nasilał, tak jakby szli do jego epicentrum. I niestety nos Ryszarda nie mylił się. Po chwili stanęli w najbrudniejszej kuchni, jaką kiedykolwiek widział. Stosy naczyń, gigantyczne plamy na podłodze i kwaśny zapach, który atakował tak mocno, że policjant bał się, że zaraz zemdleje.

- Przepraszam, nie zdążyłam dzisiaj posprzątać - skomentowała kobieta, widząc jego zmieszaną minę.

- Aha, tak, nie ma sprawy - wybełkotał.

- Proszę usiąść. - Pokazała mały stolik, a przy nim dwa krzesła. Najchętniej odmówiłby i zaproponował jednak rozmowę na zewnątrz, ale nie mógł już się z tego wykręcić. Grzecznie usiadł, zastanawiając się, czy nie przyklei się do mebla. - Napije się pan czegoś? Kawy, a może herbaty?

- Nie, dziękuję - odpowiedział grzecznie, mimo że okrutnie chciało mu się pić. Wyciągnął swój mały notatnik oraz długopis i otworzył na odpowiedniej stronie. - Tak jak wspominałem, chciałbym zadać kilka pytań w sprawie wypadku pani córki, Kornelii. Co pani robiła cztery dni temu między dwudziestą a północą?

- Ja? - zdziwiła się kobieta. - Siedziałam tutaj, bo niby gdzie indziej?

- Ktoś może to potwierdzić?

- Tak - odpowiedziała pewnym głosem. - Po dwudziestej dawałam chłopakom kolację.

- Chłopakom?

- Tak, chłopakom. Jakoś muszę się utrzymywać, więc wynajmuję pokoje na dole, w piwnicy, jako robotnicze. Oferuję nie tylko kąpiel do mieszkania, ale również posiłki. Śniadanie i kolację. Z reguły panowie zjeżdżają się około dziewiętnastej, więc zanim się ogarną, to dochodzi dwudziesta.

- Tutaj jecie? - rzucił zaskoczony i ruchem ręki pokazał kuchnię, której smród trochę mniej go już męczył. Tak jakby zaczął się do niego przyzwyczajać.

- Nie. Na dole mam drugie małe mieszkanie z przestronną kuchnią, w której mogę gotować. Ten dom jest dość specyficzny. Zbudowali go dawno temu moi rodzice. Bardzo chcieli, żebym kiedyś zamieszkała tutaj z rodziną, więc wszystko jest podwójnie. Gdy umarli, zupełnie z tego nie korzystaliśmy i pokoje na dole się kurzyły. Gdy mąż odszedł, a ja nie miałam siły pójść do pracy, koleżanka podpowiedziała mi, że są

idealne na wynajem. Może robotnicy budowlani to nie najlepsze towarzystwo dla samotnej kobiety, ale jest tylu chętnych na mieszkanie tutaj, że wybieram kandydatów, którzy mi pasują.

- Rozumiem. Rozmawiałem z moim kolegą, Mariuszem Walczakiem, odnośnie do pani sprawy...

Nie zdążył skończyć, bo kobieta mu przerwała:

- Sprawy? Morderstwa mojej córki. Tak powinien pan mówić. Ten człowiek ją zamordował i zapłacił za to - rzuciła z uśmiechem czarownicy na twarzy. Patrząc na jej minę, Ryszard przestraszył się. Jej krzaczaste brwi uniosły się wysoko i nadały jej twarzy złowrogi wygląd.

- Czyli wie pani, że mężczyzna, który możliwe, że potrafił pani córkę ze skutkiem śmiertelnym, nie żyje.

- Oczywiście! - krzyknęła radośnie. - Od kiedy Nelka umarła, ten dzień, kiedy przeczytałam o jego śmierci, jako jedyny można zaliczyć do udanych. Mam nadzieję, że ten skurwiel cierpiał.

Ryszard z przerażeniem patrzył na kobietę, jednak gdzieś w głębi ją rozumiał. Na samą myśl o człowieku, który chciał skrzywdzić jego siostrę, dłonie zaciskały mu się w pięści, a ciało napinało. Dopytał kobietę jeszcze o szczegóły wieczoru, kiedy zginął Marcel Zawadzki, i pożegnał się. Wszystko wskazywało na to, że ma ona aż sześciu świadków, którzy mogli potwierdzić, że w wieczór, gdy zginął kochanek Igi Lewickiej, aż do dwudziestej trzeciej trzydzieści nie opuszczała swojego domu w Piasecznie.

## Rozdział 11

### Szymon

Miał wrażenie, że bierze udział w jakimś reality show, tylko o tym nie wie. Przez dwanaście lat prowadzenia praktyki nigdy nie prowadził klienta, który by kogoś zabił, a w ciągu ostatnich dwóch miesięcy spotkał aż dwie takie osoby.



Bardzo go fascynował fakt, że prezentowały one zupełnie odmienne postawy odnośnie do swojego czynu.

Marcel Zawadzki jakby się tym nie przejmował. Może trochę jego sen zakłócała wizja, że prawda wyszłaby na jaw, ale nie dlatego, że czuł wyrzuty sumienia, lecz z powodu życia, które uległoby diametralnej zmianie. Śmierć dziewczynki niespecjalnie go interesowała.

Na drugim końcu tej skali znajdował się Kamil Bednarczyk. Młody mężczyzna twierdził, że w pewien sposób na zlecenie próbował zabić kobietę. Jakaś panią doktor. Szymon Trojanowski nie do końca rozumiał, dlaczego miał to zrobić. Niby w zamian bliżej nieokreślona osoba się za to zrewanżowała i zabiła gościa, którego architekt nienawidził i którego obwinał za swoje życiowe porażki, coś na zasadzie wzajemnej przysługi.

Gdy klient wyszedł, Szymon Trojanowski otworzył szafkę z teczkami i wyjął schowaną tam torebkę ze skittlesami. Wiedział, że nie powinien. Ostatnio znowu musiał kupić większe spodnie. Do jego najwyższej wagi sprzed pięciu lat jeszcze sporo brakowało, ale czuł, że jeżeli nie powstrzyma się od takiego jedzenia, źle się to skończy. Jednak teraz nie miało to znaczenia. Wrzucił do ust sporą garść różnokolorowych słodkich kuleczek i wziął do ręki telefon.

Rozmowa z zestresowanym Kamilem Bednarczykiem skłoniła go do smutnej, lecz prawdziwej refleksji. Nie chciał tak żyć. Musiał zgłosić się na policję i za wszystko odpowiedzieć. Nie mógł i nie chciał całymi latami denerwować się każdym mijanym policjantem czy samochodem na sygnale.

Już miał nacisnąć zieloną słuchawkę i wybrać numer policjanta, który go odwiedził, gdy nagle do gabinetu weszła jego matka.

- Co robisz? - spytała, widząc jego dziwny wyraz twarzy.

I to było tyle, jeśli chodzi o wzięcie odpowiedzialności za swoje czyny i uspokojenie sumienia.

## Rozdział 12

## Ryszard

Ryszard podjechał swoim rozklekotanym samochodem na ursynowskie osiedle małych domków. Wielokrotnie bywał w okolicy, jednak nigdy nie spodziewał, że można znaleźć tutaj takie ładne i estetyczne budynki - z widokiem na las i na tyle oddalone od zgiełku miasta, że panowała tutaj prawie cisza. Nie słychać było szumu ulicy, hałasu przejeżdżających tramwajów. Tylko przyjemnie ćwierkające ptaki i dzieci bawiące się na podwórku.

Zaparkował na ulicy i czekał, aż zegarek pokaże piętnastą. To o tej godzinie siostra Igi miała wrócić do domu. Pracowała jako masażystka i miała przerwę w pracy, którą zgodziła się przeznaczyć na rozmowę z policjantem. Czekał na nią już dobre dwadzieścia minut, gdy pod budynkiem zaparkował niebieski fiat 500 i wysiadła z niego niezwykle szczupła, wręcz żylasta kobieta. Od razu wiedział, że to siostra Igi. Ich podobieństwo uderzało z daleka.

Szybko wyszedł z samochodu i ruszył do kobiety.

- Pani Kamila Baranowska? Starszy aspirant Ryszard Kozłowski.

- Ach, to pan. Przepraszam, szefowa zatrzymała mnie w pracy dłużej.

- Nie ma sprawy - odpowiedział policjant i ruszył za kobietą, która szybkim krokiem szła w stronę budynku.

- Mam godzinę. Nie ma pan chyba nic przeciwko, żebyśmy poszli na szybki spacer z Zambo?

- Z kim? - rzucił zdziwiony Ryszard.

- To mój pies, grubaśny kundelek, którego adoptowałam. Ma tak wielki brzuch, że czasami mam wrażenie, że zaraz wybuchnie. Ale jest przy tym bardzo kochany i co najwyżej może zalizać na śmierć.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Będę uważać - powiedział Ryszard i po chwili wędrowali wąskimi ścieżkami lasu kabackiego, który okalał południową część dzielnicy.

- Kiedy ostatni raz kontaktowała się pani z siostrą?

- Niedawno. Załamała się. Marcel umarł i nie wiedziała, co ma robić.

- Kiedy dokładnie to było?

- Hmm... - Kobieta na chwilę przystanęła, bo pies coś wywęchał. - Wczoraj, a może przedwczoraj. Nie wiem, musiałabym sprawdzić w połączeniach.

- Byłbym wdzięczny.

- Jak wrócimy, to sprawdzę w telefonie.

- Z góry dziękuję. A gdzie może teraz przebywać siostra? Nie możemy jej namierzyć.

- Pewnie zaszyła się w mieszkaniu Marcela i płacze do poduszki - powiedziała z lekkim przekąsem.

- Nie lubiła pani go?

- Nie powiedziałabym, że go nie lubiłam. Moja siostra popada ze skrajności w skrajność. Szymon to straszna cipa. Matka kontroluje go na każdym kroku, on nic nie robi sam z siebie. Może i to jest fajny facet, ale taki nieżyciowy. Mnie zawsze denerwował, bo nie mogłam zaakceptować tego jego nieogarnięcia. Poza tym on jest jakiś toksyczny. Za to Marcel w drugą stronę. Megaprzebojowy, biznesmen, z głową na karku, taki w typie playboya. Trochę mnie to martwiło, że wybory Igi są tak oddalone od siebie.

- Brzmi to tak, jakby jednak go pani nie lubiła.

- Tak bym tego tak nie nazwała. Po prostu nie pałam do niego wielką miłością. Wołałabym dla siostry innego partnera i tyle. - Kobieta rozejrzała się dookoła i nie widząc nikogo, odpięła smycz. Pies od razu pobiegł w las, wesoło machając ogonem.

- Powiedziała pani, że Szymon jest toksyczny. Może to pani wyjaśnić?

- Tak. - Baranowska przystanęła i zaczęła krzyczeć: - Zambo! Chodź tu!

Nie minęły dwie sekundy, a pies leciał już jak błyskawica do swojej pani. Mimo swojego dość okrągłego kształtu poruszał się z prędkością psa sportowego. Podleciał do siostry Igi i zaczął wskakiwać jej na nogi. Ryszard momentalnie poczuł się nieswojo. Od dziecka nie lubił psów, choć nigdy żaden go nie ugryzł ani nie zaatakował. Przez długie lata zastanawiał się, dlaczego tak ma, gdy pewnego dnia rozwiązanie znalazł w windzie.

Jechał ze swoim kolegą, właścicielem jedyne akceptowanego przez Ryszarda psa, labradora, windą z czternastego piętra na dół.

Wesoło sobie gawędzili o planowanym wędkarskim wyjeździe, gdy na dziesiątym piętrze się zatrzymali. Drzwi się otworzyły i zobaczyli czekających na zjazd na dół matkę z około ośmioletnim synem. Chłopiec zrobił krok do przodu, lecz w tym momencie kobieta na widok psa pociągnęła go za kołnierzyk i rzuciła:

- Poczekamy na następną.

- On jest niegroźny. Może co najwyżej z radości przywalić ogonem - powiedział kolega.

- Nam się nie spieszy - zapewniła i drzwi zaczęły się zamykać.

Patrzył na to wszystko ze zdziwieniem i w tym momencie zrozumiał, że u niego było to samo. Matka przy każdej nadarzającej się sytuacji dawała mu sygnał „bój się psa”. Przechodziła z nim na drugą stronę ulicy lub stawała w bezruchu, licząc, że zwierzę jej nie zobaczy. Ryszard wiedział, że nie można być nadmiernie wylewnym w stosunku do zwierząt, których się nie zna, ale postawę przekazaną mu przez matkę również trudno nazwać właściwą - można wręcz powiedzieć, że była krzywdząca dla psów.

Kamila Baranowska przypięła pupila do smyczy, ponieważ na horyzoncie pojawiła się grupka czworonogów prowadzona przez jedną kobietę.

- Psie przedszkole nadciąga - rzuciła z uśmiechem na twarzy.

- Co? - powiedział zdziwiony.

- Psie przedszkole. Nie słyszał pan? Można wysłać swojego pupila do przedszkola, później szkoły. Do fryzjera, na paznokcie.

- Pani tak serio?

- Oczywiście. Teraz jest wszystko dla czworonogów. Zarówno psów, jak i kotów.

- A co z rybkami?

- Niestety na razie są dyskryminowane - stwierdziła rozbawiona i przeskoczyła nad leżącą na ziemi kłodą. - Wróćmy do tematu. Pytał pan o Szymona i jego toksyczność. Może w sumie to źle użyte słowo. Tylko nie wiem, jakie jest właściwe.

- Proszę opisać - próbował pomóc Ryszard.

- On mimo swojego młodego wieku stracił bardzo dużo bliskich osób.

- Jak to stracił?

- No, oni umarli lub zniknęli. Jego ojciec umarł, jak Szymon miał chyba wczesne naście lat. Bardzo to przeżył. Myślę, że po tym jego matka jeszcze bardziej zwariowała.

- A wcześniej już miała jakieś problemy?

- Tak! - krzyknęła kobieta, czym spowodowała, że Zambo nagle stanął i zaczął nasłuchiwać. - Pan nic nie wie o Szymonie Trojanowskim?

- A niby co?

- I pan jest z policji? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak, jestem. I proszę sobie wyobrazić, że czasami też czegoś nie wiem - odpowiedział pewnym głosem. Nienawidził nie wiedzieć, mimo że zdarzało mu się to nagminnie. Wielokrotnie komendant mu mówił, że research to podstawa każdego śledztwa, jednak on, jak małe dziecko zapominające spuścić wodę w toalecie, omijał ten element, a później musiał świecić oczami przed rozmówcą. A przecież wystarczyłoby wpisać w wyszukiwarkę „Szymon Trojanowski” i wiele ciekawych rzeczy zostałyby podane mu na tacy. Ale nie, on jak zwykle miał nadzieję, że minimalnym nakładem pracy uda mu się rozwiązać sprawę. I jak zwykle się przeliczył.

- Szymon Trojanowski został porwany jako dziecko, noworodek właściwie.

- Co? - powiedział zszokowany i w tym momencie potknął się o wystający korzeń. Kostka lewej nogi wygięła się nienaturalnie, kolano ugięło się, a on poleciał jak długi na ziemię. W ostatniej sekundzie wysunął lewą rękę do przodu. Zamortyzowało to trochę upadek, jednak spowodowało, że poczuł ból w nadgarstku.

- Nic panu nie jest? - Kobieta natychmiast doskoczyła do policjanta i przykucnęła, cały czas trzymając smycz. Widać było, że nie tylko ona się przestraszyła. Pies stał obok niej jak zamurowany. Nawet przestał machać ogonem.

- Chyba tak - skłamał. Kostkę zaczął wypełniać palący ból, a ręka zrobiła się jakaś wiotka. Powoli usiadł na piaszczystej ziemi, zupełnie nie myśląc o tym, że jego ulubione spodnie prawdopodobnie są już do wyrzucenia, nie tylko z powodu brudu, ale dziury, która pojawiła się na kolanie, a spod której sączyła się strużka krwi.

- Może zadzwonię po karetkę - rzuciła Kamila Baranowska.

- Zwariowała pani? - Dźwignął się niezgrabnie. - Nic mi nie jest. - Ponownie minął się z prawdą. Wszystko tak go bolało, że najchętniej położyłby się na ziemi i czekał, aż przejdzie. Wiedział jednak, że nie może. Wewnętrzny głos powtarzał mu: „nie możesz być mięczakiem, musisz być silny”.

- Jak pan chce. Ale wracajmy już. W domu mam lód, to przyłoży pan sobie do kostki, bo chyba jest skręcona.

- Raczej nie - powiedział i spróbował zrobić kilka kroków normalnym chodem. - Cholera! - krzyknął, czując, że nic z tego nie będzie dobrego. Ból obezwładniał jego ciało i powodował, że momentalnie dopadła go migrena.

- No tak, zespół męskiej dumy. - Kobieta uśmiechnęła się. - Boli jak cholera, ale nikomu tego nie pokażę, bo jeszcze koledzy z piaskownicy będą się śmiali. Zabawni jesteście.

- Może i tak, ale wcale mnie nie boli - powiedział, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie i kuśtykając.

- Oczywiście. Będziemy powoli szli, a ja spróbuję umilić panu ten czas opowieścią o Szymonie. Więc tak jak wspominałam, został porwany. Miał wtedy kilka dni.

- Chyba to pamiętam - wtrącił Ryszard. - Ale jakoś nie wyłapałem, że to był on.

- W prasie pewnie nigdy nie podano jego dokładnych personaliów, ale w tych waszych aktach na sto procent są. Więc gdy miał kilka dni został porwany. Z domu. Zabrał go jakiś facet. Straszna sprawa. Sama nie mam dzieci, ale jestem w stanie wyobrazić sobie, że dla matki było to niewyobrażalnie ciężkie przeżycie.

- A dla ojca nie? - spytał.

- Też, ale my, kobiety, rodzimy dzieci, co powoduje, że nasza więź z nimi, zwłaszcza na początku, jest jednak inna.

- Niech będzie. Chociaż jakby mi porwano dzieci, też bym zwariował.

- Zapewne. Na szczęście Szymon wrócił do domu. Jednak jak pan się domyśla, nic już nie było po staremu. Podobno jego matka zrobiła się ekstremalnie nadopiekuńcza. Kontrolowała go na każdym kroku. Podobno cokolwiek chciał robić, ona tłumiała jego chęci w zarodku,

tłumacząc, że nie może, bo to niebezpieczne. Z czasem zaczęła mu wmawiać, że jest słaby i do niczego się nie nadaje.

- A skąd to pani wszystko wie? Teściowa raczej nie zwierzała się pani siostrze.

- Nie, oczywiście. One żyją ze sobą raczej jak pies z kotem. Ale jego matka pracowała z naszą ciotką. Zresztą to przez nią Iga poznała Szymona. - Kobieta na chwilę przystanęła, gdy drepczący grzecznie pies postanowił zrobić siku. Ryszardowi bardzo to pasowało, ponieważ jego noga nie pozwalała na tak obciążający chód dłużej niż przez kilka minut. - Ja nawet mu współczuję. Miał przechlapane za dzieciaka. Dodatkowo matka przez całe dzieciństwo tuczyła go niemiłosiernie.

- Nie wiedziałem. Nie wygląda na szczupaka, ale jakoś bardzo gruby nie jest.

- Jakby pan zobaczył jego zdjęcia sprzed kilku lat, zdziwiłby się pan. - Kobieta wydeła mocno poliki, dzięki czemu jej twarz nabrała kształtu napęczniałej elipsy. Dodatkowo wykonała ruch ręką, jakby rysując wielki brzuch. - On był olbrzymi. Jak te grubasy w amerykańskich filmach czy tych programach, w których na oczach widzów zrzucają sto kilogramów, a mimo to nadal wyglądają, jakby zjedli wieloryba. Mnie to przerażało i odpychało, ale nie moją siostrę. Gdyby nie ona, urósłby jeszcze większy. Mimo wielkiego oporu ze strony matki, która cały czas powtarzała, że operacja to zagrożenie życia i jej Szymus może się po niej nie wybudzić, zdecydował się na zabieg wycięcia fragmentu żołądka. Wtedy pierwszy i chyba ostatni raz w życiu pokazał, że ma jaja, i zrobił coś wbrew matce, i wiele na tym zyskał. Po zabiegu schudł niesamowicie, ale niestety sielanka nie trwała długo. Nie ćwiczył tyle, ile trzeba. Z dietą też średnio, a gdy zaczął pracować z mamuszką, to znowu wróciło przekarmianie i zaczął tyć. Jeszcze sporo brakuje do wagi pierwotnej, ale to kwestia czasu.

- Rozumiem, ale możemy wrócić do jednej rzeczy, mówiła pani o osobach, które umierały. Ojciec zmarł za młodu. Ktoś jeszcze?

- Tak. Jego przyjaciółka. Trans.

- Trans? - spytał zdziwiony.

- Tak, transpłciowa. Urodziła się dziewczynką, ale czuła chłopcem. Podobno nawet w rozmowach między sobą mówił do niej „Bartek” zamiast „Basia”. Takie rzeczy się zdarzają. Tylko to było wieki temu i

podobno nikt się nią odpowiednio nie zaopiekował. Skończyło się to tragicznie. Mając chyba trzynaście lat, popełniła samobójstwo.

- O matko, to straszne - powiedział Ryszard i przystanął. Czuł, że jego noga robi się coraz większa, a but, który i tak był o pół numeru za duży, zaczyna ją mocno uciskać.

- Może pobiegnę do domu i podjadę po pana autem? - zaproponowała kobieta, widząc nieschodzący z twarzy Ryszarda wyraz bólu.

- Nie, dojdę. Proszę mówić dalej.

- Jak pan chce. Dziewczyna umarła, a z tego, co mi siostra mówiła, to Szymon czuł się po części winny. Pod wpływem matki odsunął się od niej. Matka bała się, jak to kiedyś mówili, że się zarazi.

- Nadal tak mówią - wtrącił Ryszard z przekąsem. Niedawno jego kolega pojechał na wezwanie do awantury domowej. Okazało się, że pewien ojciec stwierdził, że pasem wyleczy córkę, która oznajmiła, że jest lesbijką i nigdy nie będzie miała dzieci.

- To smutne. Jednak chyba teraz jest trochę lepiej. Więc po raz drugi Szymon stracił kogoś bliskiego, a później... - Kobieta stanęła i szarpnęła smycz. - Zambo, nie żryj gówien. Przepraszam, ale on uwielbia zjadać kupy innych psów. Fuj.

- Co było później?

Kobieta zerknęła na zegarek i ze smutkiem pokręciła głową.

- Przepraszam, ale muszę już lecieć. Jakoś długo nam zeszło. Mogę do pana zadzwonić później?

- Tak, oczywiście. Do widzenia! - odpowiedział i niezgrabnie dokuśtykał do swojego samochodu.

Powoli wgramolił się do auta i pożałował, że nie przypomniał o okładzie, który zaoferowała mu kobieta. Noga pulsowała niemiłosiernie, a ból rozsadzał nerwy. Wyciągnął z paczki papierosa i zapalił go, licząc, że to pomoże. Niestety, najwyraźniej się pomylił.

## Rozdział 13



## Ryszard

Stanął w niewielkim pomieszczeniu sąsiadującym z pokojem przesłuchań i oparł się o ścianę. Noga bolała go przeokropnie i najchętniej by usiadł, jednak nikt nigdy nie pomyślał o komforcie osób przypatrujących się przesłuchaniom, a gdyby sam poszedł po jakieś krzesło, od razu zwróciłby uwagę współpracowników na swój problem.

Wszystkim dookoła powiedział, że ma lekkie skręcenie, jednak prawda była zupełnie inna. Noga obrzękła mu tak, że nie mógł włożyć żadnego buta bez wciskania stopy na siłę, co wywoływało dodatkowy dyskomfort. Przymierzył wszystkie, jakie miał w domu, i nic. Próbował już nawet klapki, których nienawidził, ale gdy wkładał jednego na obrzękniętą nogę, rozerwała się guma od wewnętrznej strony. Wszystko sprysięgło się przeciwko niemu i musiał znosić ten koszmarny ból. Już chciał umówić się do lekarza i prawie wybierał do niego numer telefonu, bo kolor stopy sugerował, że uraz jest poważny, gdy zadzwonił Tomasz Przybyszewski i rzucił:

- Masz u mnie dług, i to wielki.
- Nie ma sprawy. Chętnie spłacę.
- Mam nadzieję. Mamy chyba gościa z kamery.

Gdy usłyszał to zdanie, mimowolnie podskoczył i od razu tego pożałował. Noga znowu o sobie przypominała, mimo że był nafaszerowany lekami przeciwbólowymi i czuł się jak na haju, nie udało mu się całkowicie pozbyć bólu, który eskalował przy każdym większym obciążeniu nogi.

Ale Ryszard musiał być ponad to. Nawet jego poważna niedyspozycja nie mogła odciągnąć go od mającego się zaraz rozegrać przedstawienia za lustrem weneckim, przez które patrzył na siedzącego mężczyznę. Kamil Bednarczyk. Trzydzieści dwa lata, z wykształcenia architekt. Żonaty, dzieci brak. Tyle na szybko udało się Ryszardowi dowiedzieć. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak przeciętny mężczyzna, zupełnie niczym się niewyróżniający. Mijamy setki takich osób dziennie i nie pamiętamy ich. Nie mają znaków szczególnych, nie ruszają się w jakiś charakterystyczny sposób, a ich styl ubierania jest tak nudny jak tysiąc sześćset osiemdziesiąty odcinek „Klanu”.

Mężczyzna siedział twarzą do Ryszarda i z odległości pięciu metrów, które ich dzieliły, dobrze widział, że się denerwuje. Nerwowo stukał palcami o blat, a po czole spływała mu strużka potu, którą co chwilę wycierał rękawem.

Nagle drzwi do pokoju przesłuchań się otworzyły i wszedł Tomasz Przybyszewski. Jak zwykle wyglądał perfekcyjnie. Wszystko doskonale dobrane i wyprasowane. Zresztą jego wygląd był spójny z jego zachowaniem. Zawsze wszystko miał dokładnie przemyślane, przeprowadzone, a informacje z akcji lub przesłuchania spisane tak skrupulatnie, że nawet kropeczki nie brakowało.

- Komisarz Tomasz Przybyszewski. Przepraszam, że musiał pan na mnie tyle czekać - powiedział, delikatnie odsunął krzesło i usiadł.

Ryszard dobrze wiedział, że to forma gry. Kolega chciał w ten sposób pokazać, że jest spoko gościem i nie ma się czym przejmować. On sam kilkakrotnie próbował tego sposobu, ale nigdy mu to nie wychodziło. Zawsze wybuchał, gdy nie mógł usłyszeć zadowalającej go odpowiedzi. Raz nawet pobił przesłuchiwanego, gdy ten zaczął go przedrzeźniać i obrażać jego dzieci. Został zawieszony na miesiąc i skierowany na terapię.

- Pozwolę sobie nagrywać naszą rozmowę - powiedział po chwili Przybyszewski i wysunął w stronę mężczyzny mały dyktafon. - Łatwiej i szybciej sporządzą później protokół i dzięki temu szybciej pan stąd wyjdzie.

- Dobrze - odpowiedział tamten ledwo słyszalnym głosem. - Tylko co ja tutaj w ogóle robię? Cały czas nikt mi niczego nie powiedział. Chyba tak nie można?

- Proszę się nie stresować. Zaczniemy od prostych rzeczy. Imię i nazwisko?

- Kamil Bednarczyk.

- Data urodzenia?

- Dwudziesty siódmy sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku.

- Miejsce urodzenia?

- Marki.

- Te pod Warszawą?

- Tak, obok Ikei.

- Wykształcenie?
- Wyższe. Mam magistra. Skończyłem architekturę i urbanistykę.
- Zawód?
- Jestem architektem.
- Stan cywilny?
- Żonaty, w separacji.
- Imię i nazwisko żony?
- Magdalena Bednarczyk.
- Dzieci?
- Brak.
- Co pan robił sześć dni temu?

- Hmm... Muszę pomyśleć. - Mężczyzna przez chwilę gapił się bez ruchu na swoje palce, nadal nerwowo stukające o blat stołu. - Już pamiętam. Rano pojechałem do roboty. Dopracowywałem projekt domku wczasowego dla klienta. Skończyłem trochę przed czasem, więc wyszedłem wcześniej. Postanowiłem pojechać do sklepu z meblami. Chciałem kupić półkę do przedpokoju.

- I kupił pan? - spytał policjant.

- Nie. Niestety nie dotarłem. Byłem świadkiem wypadku. Proszę mi uwierzyć, ale to było straszne. Kobieta z impetem przywalała w jadącą przed nią ciężarówkę. Cały czas mi się to śni. Jej samochód złożył się jak harmonijka, a ją ledwo uratowali.

- Ale nie umarła?

- Nie... - Zawiesił na chwile głos i popatrzył w lustro weneckie, jakby prosto na Ryszarda. Kozłowski wielokrotnie sprawdzał, czy ten system działa, i wiedział, że tak, ale mimo to miał wrażenie, że Kamil Bednarczyk wie, że ktoś tam jest. - Jak przyjechała karetka, to ktoś z przerażeniem krzyknął, że ją zna i to jakaś pani doktor. Później wyszukałem w internecie informacje o tym wypadku i o niej. Podobno jest znaną lekarką, Milena jakaś tam.

Na te ostatnie słowa Ryszard aż się wyprostował. „Milena jakaś tam. Jak można było tak powiedzieć?!”, pomyślał i uderzył w ścianę pięścią. Zupełnie zapomniał, że rękę również miał poturbowaną w wyniku swojego gapiostwa. Nie sądził, żeby ją złamał, pewności jednak nie miał. W swoim życiu tyle razy miał coś złamane, że przestał liczyć. Jedni, jak jego żona, uważali go za pierdołę, inni bacznie obserwowali i

podziwiali. Rzadko zdarzał się ktoś, kto przeżył tyle urazów i całkiem nieźle funkcjonował. Ostatnim razem, gdy poprawiał dachówki, spadł z dachu, pielęgniarki na urazówce witały go jak superbohatera, który ma niezwykłą moc. Szkoda tylko, że nie mógł jej wykorzystać do ochrony świata przed złoczyńcami.

- Milena Nowicka. Tak nazywała się ofiara tego wypadku. Znał ją pan? - Tomasz Przybyszewski wbił wzrok w przesłuchiwanego i czekał.

- Nie. Nigdy wcześniej nie spotkałem tej kobiety. Z tego, co wyczytałem w internecie, ona mieszkała w Grodzisku Mazowieckim, a ja całe życie spędziłem na Mokotowie, a od kilku lat na Woli. Zawsze chodziłem do lekarza w Warszawie, więc nie miałbym szansy jej spotkać.

- Rozumiem, a czy dwa dni temu w nocy wszedł pan na teren szpitala...? Klatką schodową dostał się na pierwsze piętro, a następnie do sali numer trzydzieści siedem, gdzie podał pan doktor Milenie Nowickiej jakąś substancję trującą?

Mężczyzna zaczął jeszcze energiczniej uderzać w blat, a na jego szyi uwydatniła się gruba żyła.

- Nie... nie, to nie ja - wydukał po chwili, unikając świdrującego wzroku policjanta.

- Jest pan tego pewien? - W tym momencie funkcjonariusz wyciągnął kilka kartek, które dotychczas leżały w teczce na stole. Ryszard dobrze wiedział, co to jest. Kadry z kamer ze szpitala, na których uchwycono kogoś, kto posturą i sposobem poruszania się był bardzo podobny do siedzącego po drugiej stronie mężczyzny.

Kamil Bednarczyk zamarł, widząc je. Jak wcześniej jego skóra miała bladoróżowy kolor, tak teraz zrobiła się biała, jakby układ krwionośny ściągnął całą krew z twarzy.

- Ja... ja...

Przesłuchiwany zaczął coraz głośniej oddychać, tak jakby brakowało mu powietrza. Ryszard obserwował nie tylko jego, ale i kolegę po fachu. Ten ani drgnął. Wiedział, że tego typu zachowania to często część gry. Siedział nieruchomo i z politowaniem przyglądał się Bednarczykowi.

- To może wyjaśni pan, dlaczego wczoraj wydzwaniał pan do szpitala i pytał o panią doktor.

- Ja? - zdziwił się przesłuchiwany. - Nigdzie nie dzwoniłem.

- Proszę pana - odezwał się Przybyszewski. - Wiemy, że wszedł pan do budynku szpitala. Pana wizytę zarejestrowało kilka kamer - powiedział, trochę naciągając rzeczywistość. Były to raptem dwie kamery, ale przesłuchiwany nie musiał znać szczegółów. - Proszę spojrzeć na to zdjęcie. - Palcem wskazującym dotknął jednej z fotografii, na której najlepiej widoczna była twarz intruza. - Przecież to pan. Został pan złapany na gorącym uczynku. Wstrzyknął coś doktor Nowickiej. Na szczęście nie jest pan aż takim potworem, więc dzwonił pan do szpitala, chcąc dowiedzieć się o jej stan zdrowia - powiedział jak zawsze pewnym głosem, mimo że Ryszard dobrze wiedział, że prezentowane zdjęcie jest słabym dowodem w sprawie, tak samo zresztą jak telefony do szpitala.

- Ja... to...

- Zróbmy tak. Zostawię pana na chwilę samego. Proszę przypatrzeć się tym zdjęciom, a ja za chwilę przyjdę. - Nie czekając na odpowiedź, wstał i wyszedł z pomieszczenia.

Od razu podszedł do panelu do sterowania temperaturą w sali przesłuchań i podkręcił ją na dwadzieścia pięć stopni, co przy panującym na zewnątrz trzydziestostopniowym upale mogło doprowadzić człowieka do szału.

- Niech się trochę pomęczy - rzucił do Ryszarda, który natychmiast wyrósł koło niego, i z uśmiechem na twarzy powędrował do pomieszczenia socjalnego.

Następna godzina była dla Kozłowskiego niczym tortury. Najchętniej sam wszedłby do przesłuchiwanego i siłą wyciągnął z niego prawdę. Jednak wiedział, że nic by to nie dało. Szybko zostałyby odciągnięty od chłopaka i pozbawiony dostępu do jakichkolwiek informacji. Wolał czekać. Przyciągnął do pomieszczenia za weneckim lustrem krzesło, nie bacząc na zdziwione spojrzenia kolegów - miał to już gdzieś.

W końcu dumnym krokiem wszedł Przybyszewski, który sekundę wcześniej włączył klimatyzację.

- I jak? Rozpoznaje pan siebie na tych zdjęciach? - rzucił niby od niechcienia, jakby pytał o godzinę, i włączył dyktafon.

- Tak - odpowiedział Bednarczyk, cały czas patrząc na swoje dłonie.  
- Ale ja nie chciałem.

- Dobrze, zacznijmy od początku - powiedział komisarz z jeszcze większym uśmiechem, po czym rozpoczął się monolog przesłuchiwanego, który zaskoczył wszystkich. Takiego obrotu spraw nikt się nie spodziewał.

## Rozdział 14

### Ryszard

Cały czas nie wierzył w to, co przed chwilą usłyszał. Mężczyzna podejrzany o próbę zabójstwa jego siostry twierdził, że dostał listy, w których został poinstruowany, jak ma ją zabić. Dokładny plan, krok po kroku, co ma zrobić, aby prawie bezkontaktowo pozbawić ją życia. Oczywiście chodziło o pierwszy raz. Drugie podejście było znacznie bardziej skomplikowane, a jednocześnie - na ich szczęście - mniej dopracowane.

A to, co ich jeszcze bardziej zaskoczyło, usłyszeli na samym końcu, gdy w końcu padło pytanie o to, dlaczego miał to zrobić.

- Ktoś zabił faceta, którego nienawidzę z całego serca. Kogoś, kto zrujnował mi życie i spowodował, że żona ode mnie odeszła, a ja straciłem sens życia i chęci do robienia czegokolwiek.

- Jak się nazywa ten człowiek? - spytał zaintrygowany Przybyszewski.

- Łukasz Nawrocki.

Ryszard Kozłowski pobladł. Od kilku dni jego koledzy prowadzili tę sprawę i nie mieli żadnego podejrzanego, a teraz takie coś.

Zaskoczył go również powód wydzwaniania do szpitala. Chłopak się upił i nie do końca pamiętał, że coś takiego zrobił. Na jego nieszczęście czujna pielęgniarka poinformowała o tym funkcjonariusza siedzącego przed salą Mileny Nowickiej, a ten przekazał to przełożonym. Nie musieli długo czekać na dane dzwoniącego. A gdy okazało się, że jest on podobny do tajemniczego mężczyzny uchwyconego przez kamery w szpitalu, nie pozostawało im nic innego, jak ściągnąć go na komendę.

Ryszard z głową opuchniętą od informacji wyszedł z budynku policji, wyciągnął papierosa i usiadł na ławce. Nie miał już sił na udawanie, że nie boli go noga i że jego ręka jest zupełnie sprawna. Zapalił papierosa i poczuł wibracje telefonu, który trzymał w tylnej kieszeni spodni. Pokracznie się podniósł, wyjął komórkę i odebrał.

- Słucham? - rzucił zmęczonym głosem.

- Miałam do pana zadzwonić - usłyszał po drugiej stronie, jednak nie był w stanie połączyć głosu z żadną znaną sobie osobą. - Kamila Baranowska. Siostra Igi Trojanowskiej.

- Ach, to pani. Dziękuję, że pani dzwoni.

- Obiecałam. Jak noga? - spytała.

- Trochę boli. Jak to mawiają, do wesela się zagoi - powiedział wesołym głosem, próbując ukryć ból.

- Czyli u lekarza pan nie był. Jest pan dorosły i zrobi, co zechce, ale ja radziłabym jednak pójść. Nie wyglądało to dobrze i może to być poważny uraz.

- Nic mi nie jest. Proszę lepiej mi opowiedzieć, co się stało po śmierci przyjaciółki Szymona Trojanowskiego, bo chyba na tym stanęliśmy.

- Aha, właśnie... - Kobieta głośno przełknęła, co go momentalnie zniesmaczyło. - Przepraszam, ale właśnie mam przerwę i muszę skończyć jedzenie - powiedziała, jakby czytała w jego myślach. - Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza.

- Oczywiście, że nie - skłamał. - Życzę smacznego.

- Dziękuję. Wracając do tematu... - Kobieta włożyła sobie coś do ust, bo jej głos zrobił się mniej wyraźny. - Szymon podobno bardzo przeżywał śmierć przyjaciółki. Chodził wtedy do podstawówki i dziewczyna jako jedna z niewielu osób go akceptowała. Miał sporą nadwagę, no i zaskakującą przeszłość, bo ile osób zna pan, które w dzieciństwie zostały porwane? Dodatkowo matka psychopatka powodowała, że stanowił doskonały obiekt do wyśmiewania, drwin, kopania i plucia. Z tego, co mi Iga opowiadała, to chłopak nie miał lekko. Trochę mu nawet współczuję - znowu głośno przełknęła - i żeby pan nie myślał, że uważam, że do siostry pasowałby tylko książę na białym koniu... Szymon ogólnie nie jest złym człowiekiem. On po prostu nie jest odpowiednim wyborem dla mojej siostry. I tyle. Jest

inteligentny, empatyczny, to na pewno. Ale nie ma jaj, które powinien mieć facet. Nad wszystkim za dużo się zastanawia. Analizuje. Taka ciepła klucha.

Kobieta znowu przerwała. Ryszard usłyszał w słuchawce dźwięk rozdieranego papieru. Może odwijala kanapkę lub otwierała szerzej pudełko z kurczakiem. Na samą myśl o jedzeniu policjantowi zabulgotało w brzuchu. Nie jadł od kilku godzin, mimo że żona przygotowała mu kanapki. Stres związany ze sprawą Mileny powodował, że zapomniiał jeść. Teraz również oczami wyobraźni widział siostrę podpiętą do niezliczonej ilości urzędzeń, walczącą o każdy oddech, ale zupełnie z innego powodu. Nie rozumiał kobiety, z którą rozmawiał. Jak mogła się nie zastanawiać, gdzie jest jej siostra? Niewiele myśląc, wypalił:

- Dlaczego pani się nie martwi o siostrę?

Baranowska raz jeszcze głośno przełknęła olejny kęs i spokojnym głosem odpowiedziała:

- Ja się o nią zawsze martwię, jest w końcu moją małą siostrą. Jednak znam ją dobrze i wiem, że jak się za dużo dzieje, potrzebuje przestrzeni. Wtedy musi zniknąć, zapaść się pod ziemię i nie odzywać do nikogo. Ona ma tak od zawsze. W podstawówce, jak coś jej nie poszło, potrafiła zamknąć się w szafie i nie wychodzić przez kilka godzin. Kiedyś po zawodach jeździeckich, na których spadła z konia, zamknęła się w samochodzie i nie chciała otworzyć. Wszystko trwało kilka godzin. Tata się wkurzył, bo nie mieliśmy jak wrócić do domu. Ale Iga musiała sobie to ułożyć w głowie, przetrwać swój ból.

- Czyli rozumiem, że teraz gdzieś się zasyła i płacze do poduszki.

- Tak. Jestem tego na sto procent pewna.

- Oby tak było.

- A ma pan podejrzenia, że jest inaczej?

- Nie - odpowiedział.

Zazwyczaj jego intuicja go zawodziła, ale tym razem był bardziej niż pewien, że podpowiada mu właściwie.

- Musimy przyspieszyć, bo zaraz wracam do pracy. Ogólnie chodzi o to, że Szymon w liceum, a może na studiach... Nie, przepraszam, kończył właśnie liceum i wtedy się zakochał. Dziewczyna miała na imię Blanka, o nazwisko proszę mnie nie pytać, bo nie pamiętam. Jakies



wielkie love story. Moja siostra nigdy sobie jakoś tego nie ułożyła w głowie, bo czasami miała wrażenie, że Szymon nadal wzdycha na wspomnienie pierwszej miłości.

- A co się stało z ich związkiem? - wtrącił.

- Dziewczyna zniknęła. Z tego, co pamiętam, to planowali wyjechać do Trójmiasta i zacząć tam studia. On oczywiście tę swoją głupkowatą psychologię, a ona to nie wiem. W końcu planował pierwszy raz uwolnić się od matki. W każdym razie moja siostra zawsze mówiła, że to było dla niego najważniejsze. Pewnie trochę po to, aby zmniejszyć wagę łączących Szymona i Blankę uczuć. Niestety dziewczyna chwilę przed wyjazdem uciekła dokądś sama. Podobno zostawiła jakiś list, gdzie tłumaczyła, że jednak nie chce z nim być i wyjeżdża do Niemiec czy tam do Belgii.

- Takie rzeczy niestety się zdarzają - skomentował Ryszard, licząc na szybki koniec tej rozmowy. Chciał chwilę odpocząć i nie rozmyślać nad sprawą zniknięcia kochanki zamordowanego Marcela Zawadzkiego.

- Może i tak, tylko rodzina już nigdy jej nie odnalazła.

- To faktycznie dziwne.

- Oczywiście podejrzewano nawet morderstwo, tylko skąd ten list? Rodzina zleciła nawet badania pisma, te... no...

- Grafologiczne? - podpowiedział Ryszard.

- Dokładnie, i okazało się, że to na sto procent jej pismo. Dla policji stanowiło to niezbity dowód na to, że wyjechała, i nie wszczęto dochodzenia. Szymon się załamał. Na studia poszedł z rocznym opóźnieniem, a na czwartym roku poznał swoją siostrę. Ważył wtedy sto czterdzieści kilogramów i wyglądał jak prosiak. - Kobieta na chwilę zamilkła i włożyła kolejny kęs do ust. Ponownie usłyszał, jak przeżuwa i mlaszcze. Wyciągnął kolejnego papierosa, zdając sobie sprawę, że tego dnia wypalił ich już trzydzieści, a na zegarku widział dopiero szesnastą. - Ja nie wiem, jak to się stało, że moja siostra się w nim zakochała. Ona zawsze była nad wyraz empatyczna, co czasami uwidaczniało się w dziwnych sytuacjach. Pomagała koleżankom na sprawdzianach i sama dostawała gorszą ocenę. To dotyczyło również związków. Zawsze wybierała facetów pokrzywdzonych przez los, którym mogła pomóc jak pisklęciu, które wypadło z gniazda i nie mogło znaleźć mamy. Dlatego

tak bardzo się ucieszyłam, gdy pierwszy raz opowiedziała mi o Marcelu. Później mój entuzjazm opadł.

- Poznała go pani? - spytał Ryszard i skinął głową Przybyszewskiemu, który właśnie wychodził z komendy.

- Widziałam na zdjęciach. Niestety nie zdażyłam poznać osobiście. Siostra bardzo ukrywała ten związek. Cały czas nie miała pomysłu, jak powiedzieć o tym Szymonowi. Wiedziała, że się załamie, ale z drugiej strony kłóciła się z nim na każdym kroku, o wszystko. Ratowanie tego związku nie miało sensu, zresztą zaczął się psuć, zanim poznała Marcela. On był tylko katalizatorem do podjęcia tej ostatecznej decyzji.

- I siostra zrobiła to? Powiedziała mężowi?

- Nie wiem, ale chyba nie. Zresztą to nieważne. - Kobieta ponownie przerwała. Usłyszał dźwięk zamykanego metalowego śmietnika i odgłosy rozmowy w tle. Rozmówczyni Ryszarda gdzieś się przemieszczała, bo dźwięki zaczęły się zmieniać. - Z mojej strony to tyle. I tak już muszę kończyć. Ma pan mój numer, więc w razie pytań proszę dzwonić. Poproszę siostrę, jak się odezwie, żeby do pana zadzwoniła. - Nie czekając na reakcję Ryszarda, rozłączyła się.

Jego myśli momentalnie pobiegły w stronę Mileny. Niewiele myśląc, wybrał numer lekarza zajmującego się siostrą i czekał na połączenie. Czuł wewnętrzną potrzebę dowiedzenia się, w jakim jest stanie.

## Rozdział 15

### Ryszard

Stan Mileny od kilku dni się nie zmieniał. Z jednej strony było to pocieszające, z drugiej - nadal nie polepszył się na tyle, żeby lekarze potwierdzili, że jest już bezpieczna i nic jej życiu i zdrowiu nie zagraża. Niestety Kamil Bednarczyk nie wiedział, co wstrzyknął swojej ofercie. To, co mieli potwierdzone, to fakt, że substancja została podana do pojemnika z kroplówką, która była zawieszona obok łóżka Mileny i miała ją ratować, a nie doprowadzić do śmierci.

Ryszard Kozłowski siedział wpatrzony w ekran telewizora i oglądał z dziećmi „Psi patrol”. Stwierdzenie, że oglądał, było jednak mocno naciągane. Gapił się tępo w zmieniający się obraz, zupełnie nie rejestrując, co dzieje się z bohaterami bajki. Najchętniej poszedłby do sypialni, zamknął drzwi i położył się. Od kilku dni opuchnięta noga nie dawała mu spać, dlatego przy każdej nadążającej okazji próbował znaleźć sposób na drzemkę. Wiedział dobrze, że powinien pójść do lekarza, jednak wstydził się przyznać sam przed sobą, że się pomylił i uraz jest poważny. A gdyby dostał jakieś usztywnienie, a tym bardziej gips, żona, a także koledzy z pracy nie daliby mu żyć, dlatego wołał cierpieć.

Lekko zsunął się na kanapie i oparł głowę o podłokietnik. Czuł, jak powoli robi się senny, opadają mu powieki. Głosy z bajki oddalają się, a ból robi się lżejszy. Niestety nie zdążył całkowicie odplłynąć, bo nagle poczuł mocne szarpnięcie za ramię.

- Telefon ci dzwoni! - krzyknął pięcioletni Karol i wdrapał mu się na kolana. - Miałeś oglądać. - Podskoczył delikatnie, powodując, że Ryszard odruchowo wbił nogę w podłogę.

Najchętniej zrzuciłby syna, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Powoli się podniósł, co sprawiło mu sporo trudności, bo kościsty tyłek syna wbijał mu się w uda, i sięgnął po leżący nieopodal telefon. Zupełnie nie słyszał dzwoniącego urządzenia - najwyraźniej któryś z chłopców podczas zabawy ściszył telefon prawie do zera.

Okazało się, że nie było to połączenie, ale SMS od Przybyszewskiego o dość zdawkowej treści.

„Mamy przełom”.

## Rozdział 16

### Szymon

- Jak się czujesz? - rzuciła matka, gdy tylko Szymon przekroczył próg gabinetu.

Energiczna w ruchach, z uśmiechem na twarzy, nie wyglądała jak osoba, która kilka dni wcześniej pozbyła się ciała w sposób, którego mężczyzna nadal nie poznał. Radośnie sprzątała gabinet, ubrana w letnią sukienkę w kwiaty, która jak bujna łąka falowała w różnych kierunkach przy każdym ruchu kobiety. Za to krótkie do ramion włosy nie wykazywały żadnej lekkości. Szymonowi zawsze przypominały włosy doczepiane figurkom Lego, które niezależnie od wszystkiego wyglądały tak samo. Wielokrotnie się zastanawiał, jak ona to robi, że nie ma żadnego niesfornego kosmyka, który opadałby jej na twarz. Całość dopełniał zawsze nienaganny i doskonale dopracowany makijaż, który był jej znakiem rozpoznawczym – niczym logo dla znanej marki.

- A jak się mogę czuć? - spytał z niedowierzaniem. - Zabiłem żonę, a policja kręci się wokół mnie jak pies myśliwski i mam wrażenie, że zacieśnia wokół mnie pętlę. Jestem przerażony, nie mogę spać, cały czas widzę jej twarz.

- Szymonku, uspokój się - powiedziała kojącym głosem.

- Przestań! - krzyknął. Nienawidził, jak matka traktowała go jak małego chłopczyka. - Powinienem zgłosić się na policję. Nigdy już nie spojrzę w lustro. Brzydzę się sobą. Tym, kim się stałem. Tym, kim mnie stwo...

Nie zdążył skończyć, bo w tym momencie ktoś zapukał.

- Proszę! - rzuciła kobieta.

Drzwi powoli się otworzyły i stanął w nich mężczyzna. Z wyglądu przypominał psychologa. Miał około stu osiemdziesięciu centymetrów, lekką nadwagę i strój świadczący o tym, że chce wyglądać modnie, jednak nie bardzo mu to wychodzi.

- Dzień dobry - rzucił i momentalnie zaczął drapać się po ręce ze zdenerwowania. - Nazywam się Mikołaj Pawlak, ja... To znaczy moja żona...

- Proszę przejść do gabinetu - powiedziała matka Szymona. - Ja zrobię panu herbaty, a syn z panem porozmawia.

Mężczyzna potulnie podreptał za psychologiem, usiadł we wskazanym miejscu i po chwili zaczął już spokojnie rozmawiać.

- Moja żona kazała mi tu przyjść. Znalazła reklamę...

- Ogłoszenie - poprawił go Szymon. - Jako psycholog nie mogę się reklamować.

- Rozumiem - skomentował mężczyzna i trzęsącą się ręką sięgnął po filiżankę z melisą, którą sekundę wcześniej postawiła przed nim matka Szymona. - Żona powiedziała, że pomagają państwo ludziom takim jak ja. Którzy... - Mężczyzna znowu zaczął się trząść, a wypowiedziane przez niego słowa przestały być zrozumiałe. - Ona... Ja....

- Panie Mikołaju, proszę na spokojnie. Ja nie będę pana osądzał. Moim zadaniem jest pomagać w traumie.

- Ona umarła.

## Rozdział 17

### Ryszard

Jechał zaledwie sto kilometrów na godzinę, lecz miał wrażenie, że jego samochód zaraz rozpadnie się na części pierwsze, a on nie dowie się, co takiego zdarzyło się w sprawie jego siostry. Zawsze się zastanawiał, jakim cudem jego samochód przechodzi przegląd. Stanowił zagrożenie od wielu lat, a od trzech przypominał jeżdżącą bombę. Policjant nie śmierdział jednak groszem, bo każdy potencjalny awans omijał go dużym łukiem, więc musiał siedzieć cicho i modlić się, żeby jego następna podróż nie skończyła się w rowie lub na drzewie.

Jednak teraz miał to w nosie. Czuł, że jego wcześniejsze przybycie na komendę zmieni bieg zdarzeń, co stanowiło wielkie naginanie rzeczywistości. Ryszard nie był nikomu do niczego potrzebny, szczególnie w sprawie swojej siostry, ale nie przyjmował tego do wiadomości.

Gdy wpadł na komendę, od razu skierował się do pokoju Przybyszewskiego. Mimo bólu, który znowu dał o sobie znać, biegł jak szalony, wpadając co chwila na ludzi w korytarzu. Był już raptem dziesięć metrów od celu. Musiał tylko raz skręcić w lewo, gdy z impetem w kogoś walnął.

- Kozłowski! - rzucił Tomasz. Ryszard podniósł wzrok i uśmiechnął się, mimo że miał ochotę siarczyście przekląć. Ból nogi nie pozwalał mu

się skupić. - Czy ty zawsze musisz wszystkich wkurzać? Nawet nie umiesz przemieszczać się po komendzie, żeby człowieka nie zdenerwować.

- Przepraszam.

- Wsadź se gdzieś te przeprosiny, następnym razem po prostu uważaj.

- Napisałeś, że jest przełom, to się spieszyłem.

- Ale po co? Przecież i tak nic nie możesz robić.

- Wiem, ale...

- Nieważne. Idę właśnie przesłuchać osobę, która sama się do nas zgłosiła. Powiem ci, że jeżeli potwierdzi się to, co dostałem w lakonicznym zgłoszeniu, będzie grubo. Jak chcesz posłuchać, to zapraszam. - Przybyszewski ruszył swoim dystyngowanym krokiem w stronę pokoju przesłuchań.

Za nim jak paralytyk szedł Ryszard, zupełnie nie mając pojęcia, o co może chodzić. Gdy wszedł do małego pomieszczenia, z którego jakiś czas temu oglądał przesłuchanie Kamila Bednarczyka, zobaczył tam ostatnią osobę, z którą chciałby teraz przebywać. Na środku stał komendant i przeglądał coś w telefonie.

- Mówiłem ci chyba, że masz się trzymać od tej sprawy z daleka - warknął na widok Ryszarda.

- Tak, ale napisał do mnie Tomasz...

- Tylko z tego, co pamiętam, to ja jestem szefem.

- Tak, wiem.

- Dobra, wyjątkowo się zgodzę, ale zinterpretuj to jako prezent urodzinowy. I błagam cię, nie odzywaj się do mnie.

W tym momencie do pomieszczenia za weneckim lustrem wszedł Tomasz Przybyszewski. Tym razem zachowywał się zupełnie inaczej niż przy przesłuchaniu niedoszłego mordercy Mileny Nowickiej. Prezentował szeroki uśmiech, a jego ciało wyglądało na bardziej rozluźnione. Nie można tego było jednak powiedzieć o siedzącej naprzeciw niego kobiecie. Rozglądała się bacznie po pomieszczeniu i nerwowo drapała się po głowie. Ryszard patrzył na nią uważnie, starając się wyciągnąć z jej wyglądu i zachowania jakieś wskazówki. Jeżeli miał taką możliwość, bawił się sam ze sobą w grę i próbował zgadywać jak najwięcej danych o wybranej osobie. Około czterdziestu

lat, chociaż mogła być też trochę starsza. Nauczycielka lub pielęgniarka. Ma męża i dwójkę dzieci.

- Dzień dobry - powiedział Przybyszewski i usiadł. - Na wstępie bardzo pani dziękuję za zgłoszenie się do nas. To dzięki takim osobom jak pani policja działa sprawniej. - Kobieta uśmiechnęła się delikatnie, a Ryszard zerknął na komendanta. Już chciał spytać mężczyzny, o co chodzi, ale w ostatnim momencie ugryzł się w język. Wolał go nie denerwować, ponieważ mogłoby się to źle skończyć. Oczywiście dla niego.

- Nie ma za co - odpowiedziała cicho kobieta.

- Proszę się nie stresować. Nic złego pani nie grozi. Zacznijmy od prostych rzeczy. Imię i nazwisko?

- Janina Ostaszewska.

- Data urodzenia?

- Trzynasty września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego.

„Czyli niewiele się pomyliłem”, pomyślał zadowolony z siebie Ryszard.

- Miejsce urodzenia?

- Bydgoszcz.

- Wykształcenie?

- Wyższe.

- Wykonywany zawód?

- Jestem nauczycielką.

- Jest! - krzyknął Ryszard, czego podwójnie pożałował. Nogę znowu przeszył mu niemiłosierny ból, a stojący obok komendant spojrzał na niego tak, jakby zaraz chciał wyjąć służbową broń, przystawić mu ją do skroni i pociągnąć za spust.

- Stan cywilny?

- Wdowa - powiedziała smutno kobieta.

- Dzieci?

- Dwójka. To znaczy jedno...

- Przejdźmy zatem do powodu pani wizyty u nas. Dlaczego pani do nas przyszła?

- Ja... To znaczy moja rodzina... - Kobieta zaczęła się jeszcze bardziej denerwować. Jej oczy momentalnie zasły łzami, a broda zaczęła drżeć jak u Claire Danes w serialu „Homeland”. Ryszard

zawsze się zastanawiał, jak można tak robić. Kiedyś nawet bezpośrednio po obejrzanym odcinku stał przed lustrem w łazience, próbując to odtworzyć, ale nie był w stanie.

Teraz patrzył z podziwem na kobietę i cały się napiął w oczekiwaniu na wytłumaczenie.

- Proszę się nie stresować. Dlaczego się pani do nas zgłosiła?

- Jakiś czas temu dostałam listy. Wiem, że powinnam przyjść wcześniej, ale gdy je dostałam, czyli jakieś dwa miesiące temu, bardzo się pochorowaliśmy z synem. Leżeliśmy ponad trzy tygodnie i nigdzie nie wychodziliśmy. A później zapomniałam. Przedwczoraj wyciągnęłam je z szuflady i postanowiłam przyjść do państwa. Przepraszam. - Kobieta sięgnęła do przewieszzonej przez krzesło torebki i wyjęła trzy kartki.

Przybyszewski sięgnął po nie i ku uciesze Ryszarda i stojącego obok komendanta zaczął głośno czytać.

- „Wiem, że twoje cierpienie jest nie do opisanego. Tragedia, która cię dotknęła, nie powinna się zdarzyć. Chętnie ci pomogę”. - Policjant wziął drugą kartkę i czytał dalej: - „Musisz zabić...”

- Ten jest ostatni - przerwała mu kobieta.

- Dobrze, już patrzę. - Chwycił ostatnią leżącą na stole kartkę. - „Twoja nienawiść zżera cię każdego dnia, ale wiedz, że nie jesteś w tym sama. Są ludzie, którzy tak jak ty zostali skrzywdzeni. Możecie sobie pomóc, dzięki czemu poczujecie ulgę”. - Tomasz odłożył kartkę i ponownie wziął tę z ostatnim listem. - „Musisz zabić Milenę...”

Gdy Ryszard usłyszał te słowa, wyłączył się. „A jednak miałem rację”, pomyślał z zadowoleniem, ale gdy doszło do niego znaczenie tego zdania, swoim zwyczajem zacisnął pięści, a jego ciało napięło się jak u boksera w czasie walki. Zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego ktoś mógłby chcieć zabić jego ukochaną siostrę. Kobietę, która na co dzień pomagała ludziom, a po pracy robiła to dalej, ponieważ czuła w sobie niesamowitą potrzebę dzielenia się dobrem. Takie osoby zazwyczaj są wychwalane, stawia się im pomniki, a nie zabija.

- To jest ta sama kobieta, która miała wypadek na autostradzie. Czytałam o tym artykule. To nie mógł być przypadek.

Policjant delikatnie kiwnął głową i zapytał.

- Kiedy dostała pani te listy?



- Pierwszy na początku maja, drugi w połowie, a trzeci na początku czerwca - wyrecytowała kobieta.

- Jak one przyszły?

- Znalazłam w skrzynce, ale na kopertach na maszynie napisane były moje dane.

- Zachowała pani koperty?

- Nie. Przepraszam - powiedziała cicho kobieta.

- Skąd mogła pani wiedzieć, że będą potrzebne, spokojnie. Może pani opisać dokładniej sytuację, o której wspomniano w listach? Co takiego się stało, że miała pani w sobie tyle złości?

Kobieta podniosła wzrok i spojrzała Tomaszowi Przybyszewskiemu prosto w oczy.

- Pojechaliśmy jak co roku na narty do Białki. Taki mieliśmy zwyczaj z mężem. Zaczęliśmy, jak spotykaliśmy się raptem cztery miesiące. Piotr był kiedyś zawodnikiem w kadrze Polski, trenował narciarstwo zjazdowe. Nigdy nic wielkiego nie wygrał, ale uwielbiał to. A w szczególności lubił uczyć ludzi. Miał do tego dar. Zawsze mówiłam, żeby zajął się tym zawodowo, ale wolał robić jakieś dziwne rzeczy. Pracował jako programista. Nic z tego nie rozumiałam. Zarabiał dobrze, ale jakoś miałam wrażenie, że nie miał z tego takiej przyjemności jak z narciarstwa. Przez te dwanaście lat wspólnego życia co roku jeździliśmy do Białki. Zawsze do tej samej pani Grażyny i jej męża Mariusza, z którymi tak się zżyliśmy, że dzwoniли do nas nawet na urodziny. Nigdy nie odpuściliśmy wyjazdu. Dwa pierwsze tygodnie lutego to był nasz czas tam. Nawet jak brakowało śniegu lub najechali małe dzieci na ferie. Pojechaliśmy tam nawet wtedy, jak byłam w ciąży, pierwszej i drugiej, i gdy Marysia miała kilka miesięcy, zresztą jak Wiktor też. Nigdy bym się nie spodziewała, że to miejsce, które uważaliśmy za swój drugi dom, będzie miejscem, gdzie zakończy się życie córki i męża.

- Co się stało? - zadał pytanie Tomasz.

Ryszard dobrze wiedział, jak wiele go to kosztowało. Jego świeżo poślubiona żona kilka miesięcy temu uległa wypadkowi samochodowemu. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, a jedyną pamiątką były kule, na których nadal musiała się wspierać.

- To trwało ułamek sekundy. Wypakowaliśmy rzeczy z samochodu. Ja właśnie wyciągałam kaski i gogle, które leżały na tylnej kanapie, gdy zawiął wiatr. Nie taki zwykły, tylko coś jak szkwał. Kątem oka zauważyłam, że coś leci w naszą stronę, prosto na mojego męża, który w ostatnim momencie odpycha Wiktora.

- Czyli pani mąż go uratował.

- Tak. Niestety przypłacił to życiem. Nasza Marysia stała za daleko, aby mógł jej pomóc. Obydwoje zginęli na miejscu. Córka dostała w głowę. - Kobieta mówiła coraz głośniej, a po jej policzkach płynęły łzy. - Ona...

- Nie musi pani tego opisywać.

- Dziękuję. Te obrazy siedzą mi w głowie i nie mogę się ich pozbyć. Mam wrażenie, że zamieszkały w mojej głowie i mnie prześladują.

- Wróćmy do listów. Znała pani Milenę Nowicką?

- Nie. Pierwszy raz przeczytałam o niej w liście.

- Co zrobiła pani po otrzymaniu listów?

- Nic. Proszę mi wierzyć, ani przez moment nawet nie pomyślałam o tym, żeby zrealizować żądanie, mimo że w nagrodę ktoś miałby zabić tego gnoja, przez którego straciłam całą rodzinę. Codziennie myślę o tym człowieku. O tym, co mi odebrał i jak wyglądałoby nasze życie, gdyby Piotr i Marysia żyli. Jeździlibyśmy na wakacje. Mieliśmy w placach wynająć kamper i objechać południową część Europy. Chodzilibyśmy do kina i teatru. Córka poszłaby na medycynę lub weterynarię. Miała zaledwie osiem lat, a już wiedziała, że chce leczyć ludzi lub zwierzęta. - Kobieta wyjęła z torebki chusteczkę i głośno wydmuchała nos. - Ale w jednej chwili przestali żyć. Powiedziano mi, że był to nieszczęśliwy wypadek. Wiatr zawiął i tyle. Tylko ta blacha pochodziła z budynku, w którym mieściła się wypożyczalnia sprzętu narciarskiego. Podobno właściciel przekupił urzędnika, żeby dostać zgodę na postawienie tego badziewia. Nie powinno go tam być. W papierach jest wszystko dobrze, ale to właściciel tej wypożyczalni jest temu winny. Gdyby robił wszystko zgodnie z przepisami, oni by żyli.

- Czy ma pani pomysł, kto mógł wysłać te listy?

- Nie. Ja od kilku miesięcy nigdzie nie wychodzę. Siedzę z młodym w domu i płaczę. Gdyby nie on, pewnie nie wstawałabym nawet z łóżka.

- Nie wiem, czy posłucha pani mojej rady, ale może warto byłoby udać się do psychologa - powiedział niepewnym głosem Tomasz. - Ma pani dla kogo żyć, a bez wsparcia może być trudno.

- Wiem. Próbowалам. Nawet zapisałam się do jednego, do pana Trojanowskiego, ale jakoś nie czułam, żeby mi pomagały. Po trzeciej sesji zrezygnowалам.

Gdy Ryszard usłyszał to nazwisko, wiedział, że nie może być to kwestia przypadku.

## Rozdział 18

### Ryszard

- Nienawidzę tego pieprzonego miasta! - krzyknął sam do siebie Ryszard Kozłowski i spróbował pogłodzić radio, zupełnie zapominając, że funkcja ta nie działa już od kilku tygodni.

Życie w Warszawie było jedną z gorszych rzeczy, jakie go spotkały. Nienawidził swojego samochodu równie mocno jak stolicy, a szczególnie miejsca, w którym mieszkał. Stare, obdrapane, niebezpieczne i śmierdzące - z tym mu się kojarzyły. Praga Północ - jego dom, a zarazem miejsce, w którym mieszkał za karę. Stara toyota avensis - jeżdżąca trumna.

Codziennie, gdy wychodził rano z dziećmi na śmierdzącą klatkę schodową w bloku, gdzie połowę mieszkań zajmowały typy spod ciemnej gwiazdy i ludzie, którzy od rana konsumowali napoje wysokokowe, miał ochotę zabrać rodzinę i już nigdy tam nie wrócić.

Wiedział jednak, że to nie jest takie proste. Podobnie jak z samochodem - nie było go stać na nic innego. Dodatkowo sytuację komplikował fakt, że mieszkanie dostali od rodziców żony, dlatego każda próba namówienia jej na sprzedaż kończyła się tak samo:

- Nie mogę im tego zrobić. Dali nam mieszkanie, a my, niewdzięcznicy, je sprzedamy? Tak nie można - tłumaczyła. Trochę ją rozumiał, jednak nienawiść do tego miejsca rosła z dnia na dzień i w

pewnym momencie z utęsknieniem zaczął wypatrywać momentu śmierci teściów.

Rano zawiózł dzieci jak zwykle do przedszkola, odstawił je pod drzwi wejściowe, bo już parokrotnie dostał burę od żony, że wysadza je przed bramą i każe iść samym.

- One są za małe. A co, jak zostaną porwane albo pójda w złym kierunku?

- Przecież ja patrzę na nie, jak wesoło drepczą do samych drzwi - przekonywał.

- To może zamiast patrzeć ruszyłbyś cztery litery i odprowadził do szatni, pomógł się rozebrać i pomachał im, gdy idą do swojej sali.

Nie chciał znowu narazić się na kłótnie, bo niestety wiedział, że ciocie, jak dzieci mówiły na wychowawczynię lub opiekunki, chętnie donosiły żonie o wszystkim, co robił.

- Zmowa jajników... - powiedział sam do siebie, wracając do samochodu.

Powinien czuć się dobrze, że postąpił jak opiekuńczy ojciec, jednak bardziej wkurzało go to, że znowu się ugiął i zrobił, jak mu kazano. Zapalił pierwszego tego dnia papierosa, czując od razu złość na samego siebie. Wczoraj wieczorem, gdy wrócił do domu śmierdzący jak popielniczka w melinie, obiecał żonie, że chociaż spróbuje rzucić nałóg. Kilkanaście godzin później wyciągał zawinięty w bibułę tytoń, nie mając ochoty dotrzymać danego jej słowa.

Tego dnia nigdzie mu się nie spieszyło. W planach miał przypatrzeć się jeszcze raz postaci Szymona Trojanowskiego, dlatego nieśpiesznie dopalał papierosa i oparty o bok auta patrzył z daleka, jak dzieci odstawiane są przez rodziców, w większości matki, do szkoły, gdy usłyszał swój telefon. Odruchowo zaczął macać się po kieszeni, ale nie wyczuwszy aparatu, otworzył samochód. Telefon leżał na podłodze. Sięgnął po niego, a widząc na wyświetlaczu zdjęcie Mileny, prawie poparzył się papierosem.

- Siostra, obudziłaś się?! - krzyknął tak głośno, że aż przechodzące obok niego matka z córką podskoczyły ze strachu. Podniósł rękę w geście przeprosin i przycisnął mocniej telefon do ucha.

- Z tego, co wiem, to dzwonię z mojego telefonu, więc kogo się spodziewałeś? Świętego Mikołaja?

- Nawet nie wiesz, jak miło słyszeć twój głos.

- Twój chwilowo też, chociaż pewnie zaraz coś chlapniesz i zaczniesz mnie denerwować.

- Lecę do ciebie! - ponownie krzyknął, rzucił na trawę żarzącego się jeszcze papierosa i ruszył. - Będę u ciebie za jakieś dwadzieścia minut.

- Czekam.

I ponownie w ciągu ostatnich kilku dni rozpędził swojego gruchota do prędkości dla niego niewskazanej. Zajechał pod szpital z piskiem opon, jakby śpieszył się na ostatnie spotkanie z bliską mu osobą, i wbiegł do szpitala, ignorując ból - ten w klatce piersiowej spowodowany brakiem powietrza oraz ten rozdzierający nogę, która zmieniła kolor na zielony.

Wbiegł do sali z numerem 37, do której siostra wróciła po pobycie na intensywnej terapii, i doskoczył do jej łóżka.

- Jeszcze raz mi coś takiego zrobisz, to ci nogi z dupy powyrywam! - krzyknął i przytulił się do kobiety, która siedziała na szpitalnym łóżku i rozwiązywała swoje ulubione sudoku.

- Wyluzuj - powiedziała spokojnym głosem, jakby po niej to służyło, ale mocno do niego przywarła. Czuł całym sobą, że jednak bardzo to przeżywa.

- Dlaczego nikt nie zadzwonił do mnie wcześniej? - spytał, gdy w końcu wyswobodził się z jej uścisku.

- Tego nie wiem. Lepiej mi powiedz, co tutaj się działo. Lekarz odpowiadał jakoś półsłówkami i trochę dziwnie się zachowywał.

- No tak... - Ryszard przyciągnął stojące w kącie krzesło i usiadł.

- A tobie co jest? - spytała, widząc, że brat utyka.

- Nic takiego - odpowiedział, licząc, że nie będzie drażyła. - Jak by ci to powiedzieć...

- Może bez owijania w bawełnę?

- Hmm... No dobra. - Wziął głęboki wdech i powiedział: - Okazało się, że ktoś chciał cię zabić.

- Co?! - krzyknęła Milena Nowicka i energicznym ruchem ręki strąciła zeszyt z sudoku.

- Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, ale niestety to prawda. Ktoś chce ci zrobić krzywdę. Na chwilę obecną mamy sprawcę, ale niestety

nie zleceniodawcę – powiedział najspokojniej, jak umiał, i sięgnął po leżący na podłodze zeszyt.

- Ty chyba jaja sobie ze mnie robisz? – powiedziała przerażona. Po raz drugi w życiu widział ją w takim stanie. Pierwszy miał miejsce dziesięć lat temu, gdy przyjechał do jej domu, aby poinformować o wypadku rodziców. Mógł wysłać któregoś z kolegów, ale stwierdził, że zrobi to sam. Zazwyczaj uśmiechnięta od ucha do ucha, z wesołymi oczami, wtedy i teraz miał wrażenie, że rozpadnie się na milion części.

- Chciałbym. Już jesteś bezpieczna. Przed twoim pokojem jest policjant. Ale teraz najważniejsze jest to, żeby ustalić, kto za tym stoi. Masz jakiś pomysł? – spytał i powoli zsunął but z obrzękniętej stopy. Miał wrażenie, że jakby imadło zaciskało się na nodze i jakby zaraz miał zemdleć z bólu.

- Ja leczę ludzi, nie mam wrogów...

- A ktoś ostatnio zmarł?

- Oczywiście. Jestem onkologiem. Moi pacjenci umierają, nie tak jak stomatologa czy laryngologa.

- Rozumiem, a czy ktoś ostatnimi czasy miał do ciebie o coś pretensje? Może dawny pacjent albo rodzina zmarłego?

- Nie. Uwierz mi, wypruwam sobie flaki, żeby pomóc każdemu.

- Na pewno, jednak może jakaś rodzina uważała inaczej. Że się nie starałaś odpowiednio?

- Nie. Nikogo nie pamiętam.

- Czyli żadnych skarg, roszczeń, niczego?

- Nie – odpowiedziała. – Ale wiesz co, jest jeden facet, co truje nam dupę.

- Jak to truje dupę?

- Uważa, że go oszukałam, i ma pretensje, że jest zdrowy.

- To dziwne. Chyba powinien się cieszyć.

- Tak by się wydawało, jednak on myśli inaczej – powiedziała Milena i podyktowała z pamięci numer do kolegi, który znał dane tego człowieka.

Ryszard szybko pożegnał się z siostrą i już na korytarzu zadzwonił pod podany przez nią numer.

- Dzień dobry, z tej strony starszy aspirant Ryszard Kozłowski, jestem bratem Mileny Nowickiej – powiedział, gdy usłyszał po drugiej

stronie „słucham”.

- Dzień dobry - odpowiedział tamten. - Jak Mila się czuje?

- Obudziła się, więc chyba lepiej. Ale ja nie w tej sprawie. Siostra wspominała, że jakiś czas temu mieliście dziwnego pacjenta, który miał pretensje, że go uratowaliście.

- Tak, zgadza się. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Facet grozi nam sądem, ale nasz dział prawny powiedział, że nie ma szans na jakąkolwiek wygraną.

- Rozumiem. A może podać mi pan jego dane? Koniecznie muszę z nim porozmawiać.

- Hmm... Nie wiem, czy powinienem. RODO i tym podobne.

- Wiem, ale nie mam czasu. Jeżeli podejrzenie okaże się słuszne, będę miał pod to podkładkę, więc proszę się nie denerwować.

I tym sposobem siedział teraz przed ekranem komputera, oglądając zdjęcia faceta i czytając o nim w internecie. Jakub Drzewiecki przez lata pracował jako dyrektor regionalny do spraw inwestycji. Ryszard zupełnie nic z tego nie rozumiał.

Po załączonych materiałach widać było, że mu się powodzi. Przynajmniej takie sprawiał wrażenie na tych zdjęciach sprzed dwóch lat. Późniejszych policjant nie mógł znaleźć.

Przeglądał kolejne strony, gdy kątem oka zobaczył zbliżającego się w jego stronę Mikołaja Królikowskiego. Jak chyba każdy na komendzie, Ryszard wiedział, że mężczyzna bierze udział w tajnej akcji, dlatego zamierzał dowiedzieć się czegoś więcej.

- Masz sekundę? - Podniósł głowę znad komputera i uśmiechnął się do kolegi. W tym momencie uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie rozmawiał z nim jeden na jeden.

- A co? - Królikowski przystanął obok jego biurka i spojrzał na wyświetlane na monitorze zdjęcie Drzewieckiego.

- Czy wiecie już coś o Trojanowskim?

- Stary, chyba jaja sobie robisz? Nie mogę nic ci powiedzieć. - Nie mówiąc nic więcej, minął Ryszarda i poszedł w swoją stronę.

## Rozdział 19

## Mikołaj

Mikołaj Królikowski poprawił się na dziwnym fotelu i rozejrzył po pomieszczeniu. Białe ściany, kilka niewielkich roślin i dwa fotele umieszczone w bezpiecznej odległości, z tego jeden z nieco dłuższą częścią na nogi, dzięki czemu można było trzymać je na meblu, ale również usiąść pod innym kątem i mieć je normalnie na ziemi. Z tego, co pamiętał, to nazywało się to szelong... A może szezlong? Zawsze mu się myliło.

Nigdy z własnej woli by się tutaj nie wybrał, ale został zmuszony, a bardziej wybrany.

- Mikołaj, jest robota - rzucił Tomasz Przybyszewski, gdy stanął przy jego biurku.

- Co? - spytał zdziwiony. Zawsze chciał z nim pracować. Może nie był jego idolem, ale styl pracy kolegi bardzo mu imponował i do takiego chciał dążyć. Zawsze był dobrze przygotowany, skrupulatny i miał ten błysk w oku, którego brakowało większości policjantów, a w szczególności Ryszardowi Kozłowskiemu. Ten to potrafił spieprzyć koncertowo nawet najprostsze zadania, dlatego Mikołaj robił wszystko, aby unikać pracy z nim.

Teraz patrzył jak ciełe na malowane wrota na swojego kolegę i miał wrażenie, że zapomniał języka w gębie. Czekał na taki moment od dłuższego czasu, a gdy ten w końcu przyszedł, Mikołaj nie wiedział, co powiedzieć poza głupkowatym „co?”. Miał ochotę pacnąć się w czoło.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Mojej? - powiedział szczerze zdziwiony.

- Tak, mam zadanie, do którego pasujesz idealnie. Chodź ze mną. Komendant i prokurator Gawrońska cię oczekują.

- Mnie?

- Stary, nie ma co zwlekać. Rusz swoje cztery litery, bo nie będą czekać przez całą wieczność - powiedział i po chwili dreptali klaustrofobicznym korytarzem na pierwsze piętro, gdzie swoje królestwo miał komendant.

Weszli do gabinetu, przerywając prowadzoną rozmowę, i usiedli na dwóch przygotowanych wcześniej krzesłach.



- Mówiłeś mu już coś? - zapytał szef, który wyglądał raczej jak biznesmen z poczuciem humoru niż policjant. Miał dobrze skrojoną marynarkę, białą koszulę i fikuśny krawat. Na komendzie były one odwiecznym tematem zażartych dyskusji. Niektórzy twierdzili, że osoba na takim stanowisku nie powinna się tak ubierać, inni z chęcią na te krawaty patrzyli, ponieważ często stanowiły jedyny pozytywny akcent w tym przepełnionym złem miejscu.

- Nie. Stwierdziłem, że szef to zrobi najlepiej - odpowiedział z lekkim uśmiechem Tomasz Przybyszewski, jak zwykle z dostojeństwem w głosie, którego mógłby mu pozazdrościć niejeden mówca.

- Jak chcesz. - Komendant wzruszył ramionami i zwrócił się do Królikowskiego: - Potrzebujemy cię jako tajniaka do akcji. - Widząc zdziwioną minę policjanta, od razu dorzucił uspokajająco: - Nie masz czego się bać. Nic ci nie grozi. Musimy skłonić psychopatę do wyjścia z ukrycia.

- Psychopatę? - rzucił Mikołaj.

- Może źle się wyraziłem. Podejrzewamy, że... jak to ująć... - próbował wytłumaczyć komendant, który z niewiadomych powodów zaczął się denerwować zaistniałą sytuacją.

- Chodzi o to, że musimy sprowokować osobę, która zachęca ludzi do morderstw, do ujawnienia się albo przynajmniej zapoznać się z jej schematem działania. - Po raz pierwszy odezwała się siedząca dotychczas cicho prokurator Gawrońska. Mimo że mierzyła niecałe metr sześćdziesiąt, koledzy, którzy mieli przyjemność z nią pracować, opowiadali Mikołajowi, że ma jaja większe niż niejeden facet. Zresztą właśnie miał na to potwierdzenie. Niewielu prokuratorów zgodziłoby się na taką nietypową akcję, a podejrzewał że może nawet sama ją wymyśliła. - Wiemy już, że przynajmniej dwie osoby dostały bardzo specyficzne listy zachęcający do zabicia kogoś.

- Co? - ponownie zdziwił się Mikołaj. - Przepraszam, ale chyba nie łapię.

- Zgłosiła się do nas kobieta, która dostała trzy listy. W ostatnim została poproszona o zabicie Mileny Nowickiej.

- Siostry Ryszarda Kozłowskiego?

- Tak, zgadza się. Później podobne dostał Kamil Bednarczyk - powiedziała kobieta i sięgnęła po stojącą przed nią szklankę z wodą.

- Na czym ma polegać mój udział w akcji? - spytał niepewnie. Trochę bał się tego, co usłyszy, z drugiej jednak strony cieszył się, że będzie częścią takiej akcji.

- Chcemy, żebyś zapisał się do psychologa - powiedział komendant.

- Do psychologa? - wydukał zawiedziony Mikołaj. Miał nadzieję na jakąś ekscytującą robotę, ale nie na wizytę u psychologa.

- Tak, mamy podejrzenia, że to właśnie gabinet Szymona Trojanowskiego ma znaczenie w tej sprawie. Nie wiemy jeszcze jakie.

- Kobieta, która się do nas zgłosiła, Janina Ostaszewska - wtrąciła prokurator - zeznała, że ostatnio nigdzie nie wychodziła. Nawet zakupy zamawiała online. Jedyne miejsce, które odwiedziła, to gabinet psychologa. Dziwny zbieg okoliczności. Dodatkowo pierwszy list dostała po drugiej wizycie, podczas której otworzyła się i wyrzuciła z siebie to, co leżało jej na sercu. Wiem, że to dość nietypowe działanie, ale musimy je podjąć. Jeżeli ktoś zadał sobie tyle trudu, aby spróbować zabić Milenę Nowicką, myślę, że kolejne osoby są zagrożone, i musimy zrobić wszystko, aby je uchronić.

- Rozumiem - odpowiedział nadal zdezorientowany Mikołaj. Nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy raczej załamać, że tylko w takich specyficznych działaniach widzi go komendant. Szybko zmienił zdanie, gdy prokurator, już wstając, rzuciła:

- To od ciebie zależy, czy złapiemy tego seryjnego mordercę. Liczymy na ciebie - powiedziała i pożegnała się, zostawiając trzech mężczyzn z głowami pełnymi pędzących myśli.

No i teraz siedział w gabinecie psychologa. Poprawił się na tym dziwnym niewymiarowym fotelu i spojrzał na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Jeżeli faktycznie wykorzystywał swój zawód i zachęcał swoich klientów do chyba najgorszej rzeczy, jaką człowiek może zrobić, to bardzo dobrze się z tym ukrywał.

Szymon Trojanowski, bo o nim mowa, siedział z delikatnym uśmiechem na posągowo nieruchomej twarzy, czekając, aż Mikołaj zacznie swoją spowiedź. Przypominał on policjantowi jego nauczyciela historii z liceum, który zawsze ze stoickim spokojem próbował okiełznać grupę nastoletnich uczniów, w których organizmach hormony robiły rozpięduchę niczym huragan. W podobny sposób patrzył na

niego psycholog – sympatycznie, lecz stanowczo. Bardzo odpowiednio do wykonywanego zawodu.

– Dzień dobry – powiedział po przekroczeniu progu. – Nazywam się Mikołaj Pawlak, ja ... To znaczy moja żona...

– Proszę przejść do gabinetu – powiedziała siedząca w recepcji kobieta. Wyglądała, jakby od dawna nic nie jadła. – Ja zrobię panu herbaty, a syn z panem porozmawia.

Rozglądając się uważnie, poszedł za mężczyzną. Szymon Trojanowski zdecydowanie nie wyglądał jak morderca. Raczej jak sympatyczny facet, z którym można pójść na piwo. Mikołaj momentalnie zganił się za tę myśl. Przecież znał z historii kryminologii mnóstwo przypadków, gdy morderca wyglądał podobnie do psychologa, a na swoim koncie miał najgorsze z możliwych zbrodni.

– Moja żona kazała mi tu przyjść. Znalazła reklamę...

– Ogłoszenie – wtrącił Szymon Trojanowski. – Jako psycholog nie mogę się reklamować.

– Rozumiem – odpowiedział i sięgnął po kubek z melisą, który przyniosła kobieta. Starał się wyglądać na zdenerwowanego, więc próbował udawać drżenie rąk, co wychodziło mu całkiem nieźle. – Żona powiedziała, że pomagają państwo ludziom takim jak ja. Którzy... Ona... Ja.....

– Panie Mikołaju, proszę na spokojnie. Ja nie będę pana osądzał. Moim zadaniem jest pomagać w traumie.

– Ona umarła. To znaczy... moja mama umarła – wydusił wreszcie.

– Bardzo mi przykro. Niestety takie jest ludzkie życie. Czasami jego kres nadchodzi wcześniej, niżbyśmy chcieli.

– Tak, tylko ona...

– Tak?

Psycholog pochylił się w jego kierunku, a wtedy Mikołaj wyczuł woń perfum zmieszanych z potem.

„Denerwujesz się czymś?”, pomyślał policjant.

– Mama nie umarła ze starości. Umarła, bo straciła wszystko. – Ostatnie słowa wypowiedział w teatralnie płaczący sposób. – Ona chciała zrobić mi niespodziankę. Całe swoje oszczędności, wszystko, co wraz z moim ojcem uzbierali, przelała jakiemuś typkowi, ponieważ ten

obiecował jej podwojenie, a nawet potrojenie tej kwoty. Niby wspominał o jakimś ryzyku, ale niewielkim.

Mikołaj przerwał na chwilę i sięgnął po stojące przed nim pudełko chusteczek. W tym momencie cieszył się, że od jakiegoś czasu miał non stop katar, dzięki temu mógł wiarygodnie pociągać nosem i wydmuchać go. Powzdychał kilka razy i kontynuował:

- Gdy pięć lat temu ojciec nagle zmarł na zawał, mama przeprowadziła się niedaleko mojego domu. Chciała nam pomóc. To znaczy mnie, mojej żonie i dzieciom. Mam trzy córki, więc jest przy tym roboty. Mama doskonale się czuła w roli niani. Po latach nicnierobienia, bo wiele lat wcześniej przeszła na emeryturę, znowu poczuła się potrzebna. Moje córki za nią szalały. - Znowu zrobił przerwę. - Nigdy nie myślałem, że coś takiego może nas spotkać. Tyle razy rozmawiałem z nią o oszustach. O tym, że nie może wierzyć w telefony typu na wnuczka. Słyszał pan o tym? - spytał Mikołaj.

- Niewiele.

- Oni dzwonią do starszej osoby i mówią tekst w stylu „Babciu, miałem wypadek”, wtedy babcia odpowiada: „Andrzejek, to ty?”. Osoba dzwoniąca już zna imię wnuczka, więc odpowiada „Tak, to ja, Andrzej. Miałem wypadek i muszę zapłacić dziesięć tysięcy albo pójdę do więzienia. Pomóż mi, babciu”... I babcia, chcąc ratować wnuczka, grzecznie wpłaca pieniądze. - Znowu zrobił przerwę, po której wypalił tekst, który miał ustalony z zespołem: - A pan? Stracił pan kogoś bliskiego?

Momentalnie na twarzy Szymona pojawił się dziwny grymas. Połączenie smutku ze złością. Mikołajowi wydawało się, że mężczyzna zacisnął zęby, a knykcie obu jego dłoni zbieleły od nagłego zaciśnięcia palców.

- Tak, straciłem.

- I pogodził się pan ze stratą?

- Czy się pogodziłem? Raczej nie. Nauczyłem się z tym żyć. Ale to nie o mnie mamy rozmawiać na tym spotkaniu.

- Wiem, tylko to zawsze jakoś łatwiej człowiekowi, jak zna historię osoby, której ma się zwierzać. Powiem tak, żona powiedziała, że odejdzie i zabierze dzieci, jeżeli nie uporam się ze swoją manią, depresją czy cholera wie, co mi jest. Nie jest to ważne, kazała mi się

wygadać, bo twierdzi, że to mi pomoże. Ja byłem bardzo związany z moją mamą. Zawsze pomocna, uśmiechnięta. Była najcudowniejszą osobą, jaką znałem. Z tego, co zauważyłem, to pana jest taka sama. Ma pan szczęście - rzucił i uśmiechnął się do psychologa.

- Tak, mam szczęście.

I tak przegadali kolejne kilkadziesiąt minut o tym, jak Mikołaj przeżywa śmierć matki, a dokładniej że przez jakiegoś podstępnego faceta, którego dane znał i oczywiście powiedział na głos, jego ukochana rodzicielka zmarła. O tym, jak potrafi zrobić w domu karczemną awanturę, bo dzieci wyszły o kilka minut za późno na spacer z psem lub nie zamknęły drzwi do swojego pokoju i dochodził go denerwujący dźwięk gry. Z żoną też kłócił się praktycznie o wszystko. Gotowanie, sprzątanie, dzieci. Ostatnio nawet pokłócił się o to, że nie spodobał mu się zapach płynu do płukania, w którym wyprała jego ulubioną bluzę. Mikołaj gadał jak nakręcony, starając się jak najrealniej opisać swoją fikcyjną sytuację, a gdy poczuł, że przekazał to dobrze, ruszył z drugim tematem. O wiele ważniejszym.

- Kilka razy w tygodniu śni mi się, że zabijam tego gościa. Duszę go, wstrzykuję truciznę lub strzelam w głowę. Budzę się zlany potem, podobno czasami krzyczę, ale wtedy czuję chwilową ulgę. Tak jakbym faktycznie to zrobił. Ale gdy dochodzi do mnie, że to tylko sen, złość i frustracja znowu wracają.

- Może znalazłby pan jakiś inny sposób, aby uwolnić się od tych uczuć? - spytał Szymon Trojanowski i zapisał coś w swojej karcie. Mikołaj od razu oczami wyobraźni zobaczył zdanie: „Zdecydowanie nadaje się do mojego planu”. Westchnął kilka razy, znowu podrapał się nerwowo po bliźnie i kontynuował:

- Próbowałem biegać. Zapisałem się nawet na boks i nic.

- Rozumiem. Na naszych spotkaniach spróbuję pomóc panu się z tym uporać. Opracowałem autorki sposób, mam nadzieję, że uwolni on pana od problemu - powiedział Szymon i delikatnie się uśmiechnął.

Mikołaj pożegnał się z psychologiem i już miał opuścić gabinet, gdy wpadł na mężczyznę, który praktycznie wbiegł do pomieszczenia. Nie miał chwili na reakcję, więc zderzyli się z całej siły - tak mocno, że Mikołaj przewrócił się i z impetem walnął w podłogę.

- Matko Boska, przepraszam! - krzyknął mężczyzna i od razu doskoczył do Mikołaja. - Nic panu nie jest?

- Pali się czy co? Wbiegł pan, jakby coś się działo...

- Przepraszam raz jeszcze - powiedział tamten.

W tym momencie Mikołaj podniósł głowę i rozpoznał twarz, którą widział na monitorze Ryszarda Kozłowskiego. Dobrze wiedział, że nie mógł to być przypadek. Czuł, że to jest ten moment, dzięki któremu może zabłysnąć i złapać prawdopodobnie seryjnego mordercę. Oczami wyobraźni już widział te oklaski, gratulacje i chwałę, która spłynie na niego po całej operacji.

## Rozdział 20

### Ryszard

Gdy w końcu pokonał Puławską, drugą najdłuższą ulicę w Warszawie, która co rusz stopowała pragnących szybko dojechać do celu kierowców lub pasażerów komunikacji miejskiej, zaparkował przed trzykondygnacyjnym budynkiem, w którym zgodnie z danymi z akt mieszkał Jakub Drzewiecki.

Trzy godziny później Ryszard Kozłowski siedział nadal w samochodzie i miał wrażenie, że zaraz umrze z bólu. Noga, której ciągle nie pokazał żadnemu lekarzowi, miała na sobie tyle barw i odcieni, że nawet nie znał nazw tych kolorów. Przynajmniej opuchlizna lekko zeszła, więc but nie uwierał tak bardzo, jednak nie zmieniało to faktu, że chodzenie nadal sprawiało mu wiele bólu. Dochodził jeszcze problem z ręką. Podnoszenie kubka bez wsparcia drugą dłonią nie wchodziło w grę. Ale najgorsze było chyba to, że nie chciał i nie mógł nikomu o tym powiedzieć, więc codziennie chodził naćpany lekami przeciwbólowymi, od których miał mroczki przed oczami i kręciło mu się w głowie.

Niestety trochę utrudniało to obserwację, bo głowa co chwilę mu opadała, jakby zaraz miał zasnąć. Na szczęście Drzewiecki nie robił nic

ciekawego. Siedział w domu, dopiero około szesnastej wyszedł i ruszył dokądś pieszo.

Tego Ryszard nie przewidział. Przez ułamek sekundy nawet się zastanawiał, czy nie zrezygnować. Pewnie by odpuścił, gdyby chodziło o jakąś inną sprawę, ale tym razem musiał zrobić, ile się dało, żeby znaleźć niedoszłego mordercę swojej siostry.

Niechętnie opuścił swoje rozklekotane auto i kulejąc, ruszył za mężczyzną. Na szczęście po trzystu metrach wsiedli do metra na stacji Politechnika i wysiedli już na następnej. Ryszard zdecydowanie liczył na dłuższą przejażdżkę, a tym samym chwilę odpoczynku dla nogi.

Cały czas trzymając się w bezpiecznej odległości, podążał dalej za Drzewieckim. Na szczęście mężczyzna nie szedł zbyt szybko, wręcz w ogóle się nie spieszył. Ryszard kuśtykał i modlił się, żeby niebawem doszli do celu, by mógł chociaż na chwilę odetchnąć. Gdy w końcu dotarli na miejsce i mężczyzna wszedł do budynku, policjant zdębiał. Po kilku sekundach gapienia się tępo na drzwi, w których zniknął śledzony, szok minął, a wszystkie puzzle zaczęły wpadać na swoje miejsca.

## Rozdział 21

### Mikołaj

Mikołaj siedział naprzeciwko Tomasza Przybyszewskiego i dokładnie opisywał przebieg swojej pierwszej wizyty u psychologa Szymona Trojanowskiego. Stresował się tym niezmiernie, dlatego próbował wywnioskować z twarzy kolegi, czy ten jest zadowolony z jego pracy, czy nie. Zależało mu na zrobieniu na nim wrażenia, jednak miał wewnętrzne przeczucie, że na razie nic nie wniósł do sprawy.

- I jaki on jest? - dopytywał policjant.

- Hmm... Sprawia wrażenie profesjonalisty. Gdybym miał faktycznie jakieś problemy, czułbym się zaopiekowany. Myślę, że jego klienci mogą mu ufać, dzięki temu ma spore możliwości manipulowania nimi.

- Super. Mam nadzieję, że to posunie nas do przodu.

- Tak jak obiecałem, wszystko nagrałem, i to dyktafonem online, więc jak chcesz, możesz przesłuchać od razu, jak stąd wyjdę.

- Fajnie, ale jestem tradycjonalistą, wolę twój raport.

- Rozumiem, ale i tak wysłałem ci mailem adres, skąd możesz pobrać cały plik, a nawet odsłuchiwać na żywo, jeśli będę jeszcze coś tak nagrywał.

W tym momencie obok nich wyrósł jak spod ziemi Ryszard.

- I jak, wiesz coś? - rzucił, choć nikt go nie zapraszał do tej rozmowy.

- Byłem.... - zaczął Mikołaj, lecz szybko przerwał mu Przybyszewski, zwracając się do Kozłowskiego.

- To nie jest twoje śledztwo. I tak popełniłem błąd, że powiedziałem ci o tamtym przesłuchaniu. Dostałem za to niezły ochrzan od komendanta. Więcej tego błędu nie popełnię, więc spadaj, Rysiek - powiedział stanowczym głosem i po chwili patrzyli na oddalające się plecy nie lubianego przez prawie całą komendę policjanta.

Mikołaj jako nowy nie żywił do niego żadnych uczuć, ani negatywnych, ani pozytywnych, ale to ze względu na krótki staż w tej jednostce. Mimo to zdążył się już jednak nasłuchać różnych opinii i historii na temat dziwnych zachowań policjanta. O bójkę z zatrzymanym. O dowodach zdobywanych w niewyjaśnionych okolicznościach. O olewczym stosunku do prowadzonych śledztw. Z tego, co się dowiedział, Ryszard Kozłowski nie był policjantem z powołania. Nie kierowała nim potrzeba walki ze złem i traktował tę pracę jak niewymagający etat w sklepie. Gdy kończyły się godziny jego służby, przestawał być w robocie. Mikołaj, mimo swojego krótkiego stażu, wiedział, że to nie tak powinno działać. Policjantem, szczególnie z wydziału kryminalnego, jest się cały czas, nawet po służbie, dlatego wiedział, że musi unikać Kozłowskiego, aby nie ściągnąć na siebie kłopotów.

- Będziesz chodził do niego co najmniej dwa razy w tygodniu - odezwał się po chwili Przybyszewski. - Masz dalej grać cierpiącego z powodu utraty matki. Mam nadzieję, że nasz pomysł, wypali i niedługo dostaniesz list, więc musisz być czujny.

- A co z tym gościem, który niby spowodował śmierć mojej mamy? - zapytał zatroskany. Po wizycie u psychologa przez dłuższy czas



zastanawiał się, co będzie, jeżeli faktycznie ktoś będzie chciał zabić tego człowieka.

- Nie martw się, stworzyliśmy zupełnie nową postać. Nasz informatyk zrobił mu nawet stronę internetową. Mieszka w domu, który ostatnio został przejęty od jakiegoś domorosłego gangstera. Budynek cały czas jest pod obserwacją, więc jeżeli ktoś będzie się tam kręcił, to go złapiemy. Mam nadzieję, że ta akcja nie pójdzie w komin. - Na chwilę zawiesił głos i spojrzał na Mikołaja. - Od ciebie wiele zależy, więc nie spieprz tego. - Tym optymistycznym akcentem zakończył ich rozmowę.

## Rozdział 22

### Mikołaj

Mikołaj poczuł, że jest bliski przełomu. On - świeżak, którego zazwyczaj nikt nie dopuszczał do śledztwa, mógł rozwiązać sprawę, która już teraz elektryzowała wielu. Oczami wyobraźni widział nagłówki artykułów, w których pod niebiosa wychwalano jego policyjny warsztat.

Miał na to szansę, ponieważ prawdopodobnie nikt poza nim nie wiedział, że jest jeszcze jedna zamieszana w sprawę osoba, która chodziła do psychologa. Nie mógł mieć lepszego potwierdzenia, że to nie przypadek. Oczywiście powinien pójść z tym do Tomasza Przybyszewskiego, pani prokurator lub komendanta i poinformować ich o swoim odkryciu, ale po co? Czuł się na tyle dobrym policjantem, że mógł sam rozwiązać sprawę.

Całą noc zastanawiał się, jak to rozegrać. Analizował różne opcje, a gdy wstał, miał w głowie gotowy plan. Najważniejsze było mądre poprowadzenie rozmowy - tak aby sprowokować Szymona Trojanowskiego do wyznania mu prawdy.

Przyszedł na wizytę dużo wcześniej, niż się umówił. Usiadł na jednym z czarno-białych krzeseł, które idealnie współgrały z ułożoną w

jodełkę czarno-białą podłogą, i obserwował siedzącą za dużym biurkiem kobietę.

Podobieństwo Szymona Trojanowskiego do matki było uderzające, mimo że ona według aktualnych standardów miała rozmiar chodzących po wybiegach anorektycznych modelek, on zaś charakteryzował się zdecydowaną nadwagą. Mieli jednak takie same niebieskie, dość wąsko osadzone oczy i zaokrąglony podbródek. U niego kształt ten wynikał z wypełniającego skórę tłuszczu, u niej zaś linię szczęki zaburzała zwisająca skóra. „Gdy była młoda, na pewno miała powodzenie”, pomyślał Mikołaj i dalej przyglądał się kobiecie, która w skupieniu pracowała przy komputerze.

Jej zaangażowanie w pomoc synowi bardzo mu imponowało. Wręcz trochę mu zazdrościł. Jego matka nigdy się nim jakoś szczególnie nie interesowała. Dzwoniła sporadycznie, a gdy już to robiła, miał wrażenie, że celem rozmowy jest uzmysłowienie mu, że źle pokierował swoim życiem, bo jego bracia, mimo że są młodsi, dużo więcej osiągnęli:

- Rozmawiałam właśnie z Wiktorkiem - powiedziała przy ostatniej rozmowie, czym od razu go zdenerwowała. Nie znosił, gdy traktowała jego i braci jak małe dzieci i używała ich zdrobnionych imion, jakby mieli po trzy lata. - Leci dzisiaj na Bahmy.

- Bahamy, mamó. Mówi się Bahamy.

- To nie jest istotne. Ważne jest to, że leci na konferencję i będzie tam aż tydzień. Czyż to nie cudowne? Został zaproszony jako główny prelegent, a gdy skończy, będzie mógł odpocząć. Jaka ja jestem z niego dumna! - Po drugiej stronie usłyszał głośne westchnięcie matki, które wydawała z siebie, gdy coś ją uszczęśliwiało. „Szkoda tylko, że tak rzadko robiła to z mojego powodu”, pomyślał wtedy Mikołaj.

- Tak, to cudowne - powiedział, nie będąc w stanie wydusić z siebie jakiegось bardziej wyrafinowanego komplementu dla osiągnięć brata.

- A Piotrusiowi też się poszczęściło - kontynuowała swoje peany nad swoimi młodszymi dziećmi. - Dostał propozycję zostania partnerem w kancelarii. Zawsze mówiłam, że jest z was najmądrzejszy. Jak był mały, sam nauczył...

W tym momencie Mikołaj odpłynął myślami. Słyszał chwalebne teksty na temat swojego brata już tyle razy, że nie robiły na nim

żadnego wrażenia, a wręcz przeciwnie. Siedział z zaciśniętą szczęką i miał wrażenie, że zaraz plomby wyskoczą mu pod wpływem wygenerowanego ucisku. I gdyby wyjątkowo nie miał czym się pochwalić, pewnie rzuciłby „mam dużo pracy, muszę kończyć” i nie czekając na reakcję, wcisnąłby czerwony guziczek na ekranie telefonu. Jednak nie tym razem.

- A jak u ciebie? - W końcu usłyszał upragnione pytanie, choć wypowiedziane zostało w tak nienapawający optymizmem sposób, że aż stracił ochotę, by na nie odpowiedzieć. Cały jego zapał zniknął, a pojawiło się zwątpienie, czy jego osiągnięcie będzie chociaż w ułamku zbliżone do tych, którymi mogli pochwalić się bracia.

- Dobrze - zaczął spokojnie. - Zostałem zaangażowany w jedno z najważniejszych aktualnie prowadzonych śledztw. Pełnię niezwykle ważną rolę - powiedział już pewniejszym głosem.

- A co to za śledztwo?

- Nie mogę zdradzić szczegółów, ale wszystko wskazuje na to, że to seryjny morderca. - Wypowiadając te dwa słowa, poczuł, że popełnił gigantyczny błąd. I nie pomylił się.

- Seryjny morderca? I ty masz go ścigać? Mikołajku, przecież coś może ci się stać! - Matka szybko potwierdziła jego obawy. Niestety żadne argumenty nie były wystarczające, aby zmienić zdanie. W kółko powtarzała, że się bez sensu naraża. I tak jego robota jest niebezpieczna, a teraz jeszcze dodatkowo pozwala się wykorzystywać swoim szefom, bo przecież wzięli go do tego, gdyż nikt inny nie chciał. Po dwudziestu minutach żałował, że cokolwiek jej powiedział, i utwierdził się w przekonaniu, że w przysłowiu „czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal” jest sporo prawdy. Mama czułaby się dużo lepiej, gdyby nie poznała szczegółów jego pracy.

Teraz nie miało to znaczenia. Siedział grzecznie i czekał na wizytę. Kobieta podniosła głowę znad komputera, uśmiechnęła się, pokazując rząd brudnokremowych zębów:

- Może pan wchodzić. Syn na pana czeka.

- Dziękuję - odpowiedział i dźwignął się z krzesła.

Zastał psychologa siedzącego w fotelu i piszącego coś w laptopie. „Pewnie wymyśla scenariusz następnej zbrodni i wybiera do niego

aktorów”, pomyślał Mikołaj. Na jego widok mężczyzna wstał i ruchem ręki zaprosił do zajęcia miejsca na dziwnym meblu.

Przez pierwsze kilkanaście minut opowiadał o tym, jak wyglądały jego ostatnie dni i czy udało mu trochę zapanować nad gniewem. Nie widząc jakiegokolwiek poprawy, psycholog poprosił go o opowiedzenie o swoim dzieciństwie.

- Ale jakie ma znaczenie to, co się działo, gdy byłem małym chłopcem?

- Każdy z nas jest sumą swoich doświadczeń, przeżyć. Nawet jeżeli wydarzyło się w naszym życiu coś, co stało się katalizatorem, takim punktem zapalnym dla pewnych wydarzeń, a później w konsekwencji dla naszych uczuć, to nie jest to oderwane od naszej przeszłości.

- A czy nasze geny nie mają na to wpływu, jak się zachowujemy w danej sytuacji? - rzucił z zaskoczenia. Od zawsze zastanawiał się nad tym, co ma większe znaczenie: to, co nam przekazali rodzice, czy to, w jakim środowisku się wychowaliśmy.

- Dużego tematu pan dotknął. To nie jest taka łatwa sprawa. Nadal są naukowcy, którzy twierdzą, że to geny przede wszystkim mają wpływ na to, jak się zachowujemy. Wśród psychologów jest raczej odwrotne podejście, to środowisko bardziej nas definiuje.

- Czyli to, co pan robi, jest wynikiem tego, jak został pan wychowany? Jeżeli pana matka na przykład karmiła pana nienawiścią do wszystkiego, to pan też będzie wszystkich nienawidził? - skomentował Mikołaj, wprawiając psychologa w zdziwienie. Przez chwilę miał wrażenie, że mężczyzna nerwowo stuka nogą i chyba zaschło mu w gardle, bo sięgnął po kubek wody.

- To nie jest tak jeden do jednego. Zresztą odbiegliśmy mocno od tematu. Jeżeli pan chce zaznajomić się z tą kwestią, mogę podać panu kilka ciekawych tytułów.

Na tym zakończyli ten temat. Dalszy ciąg spotkania przebiegał zupełnie bez odstępstw od normy. Gdy Mikołaj już wychodził, psycholog rzucił:

- Wiem, że jest panu ciężko i bardzo pan cierpi, ale proszę pamiętać o swoich bliskich. O swoich dzieciach, może dla nich warto powalczyć o siebie. Spokojniejszego i mniej awanturniczego siebie.

To ten moment, na który czekał. Podszedł bliżej Trojanowskiego i cicho szepnął:

- Jeżeli da mi pan zadanie, jak Kamilowi, stanę się najspokojniejszym człowiekiem na świecie. - Uśmiechnął się do niego i wyszedł pewnym krokiem. Minął siedzącą w gabinecie kobietę, kiwnął jej na pożegnanie i wyszedł na klatkę schodową starej kamienicy.

- Aaa, zrobiłem to! - krzyknął, a jego głos rozszedł się budynku, za co od razu skarcił się w myślach, bojąc się, że ktoś mógł go usłyszeć i zobaczyć. Byłoby głupio dać się teraz zdemaskować...

Szybko zbiegł po ślodach, wpadł do pobliskiego sklepu z zielonym płazem w logo, zrobił małe zakupy i wsiadł do samochodu. Czekala go długa i nużąca obserwacja, ale czuł w kościach, że na końcu tej drogi czeka na niego zasłużona nagroda.

## Rozdział 23

### Szymon

Siedział w fotelu i próbował zrozumieć to, co powiedział przed chwilą jego klient. Wstał z fotela i z zatroskaną miną ruszył do łazienki. Na jego nieszczęście musiał przejść koło matki, która jak zwykle bacznie go obserwowała.

- Coś ci jest? - rzuciła, widząc jego minę.

- Nie wiem. Dziwnie się ten gość zachował. Ja chyba popadam w paranoję. Chwilami miałem wrażenie, że mówi o mnie, a na koniec powiedział coś o jakimś Kamilu. Wiem, że mam klienta o tym imieniu, ale on mówił o jakimś zadaniu. Tylko z tego, co pamiętam, akurat Kamilowi Bednarczykowi nic nie dawałem. Wszystko już mi się płące... Skorzystam z łazienki i zerknę do akt.

- Szymuś, nie stresuj się - powiedziała matka, czym go niezmiernie zdenerwowała. - Może miał gorszy dzień. Poza tym sporo ostatnio przeszedłeś i jesteś mocno wyczulony. Musisz odpocząć.

Czując ciągle jakiś wewnętrzny niepokój, poszedł za potrzebą, a gdy wrócił, matka zwarta i gotowa czekała na niego w drzwiach.

- Mam pomysły. Chodźmy na ciastko i kawę - rzuciła, gdy tylko go zobaczyła. - Już nie masz więcej klientów, więc jak najbardziej możesz wyjść. Zasłużyłeś.

- Tak, ale miałem jeszcze sprawdzić...

- Sprawdzisz innym razem - przerwała mu. - Teraz jest nasz czas. Tak sobie pomyślałam, że pracujemy razem, ale po pracy praktycznie nie spędzamy czasu we dwoje. Czas to zmienić. Nie daj się prosić starszej mamie. - Kobieta uśmiechnęła się serdecznie i zatrzepotała rękami, wyglądając przy tym dość karykaturalnie. Takie miny były zarezerwowane raczej dla małych dziewczynek, a nie siedemdziesięcioletniej pani.

- No dobrze - odpowiedział Szymon. Zgarnął tylko swoją teczkę i grzecznie pod rękę zszedł z matką na parter. Wyjął jeszcze pocztę ze skrzynki na listy, co robił każdego popołudnia lub pod wieczór, gdy wychodził z pracy, i już kierował się w stronę drzwi wyjściowych, gdy poczuł lekkie pociągnięcie.

- Chodźmy tędy - powiedziała kobieta i ruszyła w stronę drugiego wyjścia z budynku, które nie było widoczne ani tym bardziej znane osobom, które nigdy wcześniej tu nie były.

Weszli na małe podwórko ukryte między kamienicami, przeszli przez bramę, w której jak zwykle dwóch panów opartych o pomalowane sprayem ściany piło kolejną małpkę, i wyszli na ulicę równoległą do tej, przy której znajdowało się główne wejście do budynku, gdzie mieścił się gabinet.

## Rozdział 24

Mikołaj

Uwielbiał amerykańskie filmy, a w szczególności te z pościgami, tajniakami siedzącymi w ukryciu czy śledzącymi podejrzanych. Z reguły

w samochodzie było ich dwóch, obzerali się pączkami, czas im się trochę dłużył, ale nigdy nie wyglądało to tak, jakby taka akcja trwała jakoś wyjątkowo długo. Teraz, gdy sam tego doświadczał, czuł się tak, jakby czas stanął. Patrzył na deskę rozdzielczą swojego opla i odliczał sekundy. Dokładnie tak samo robił w szkole podstawowej, a potem w liceum, na znieawidzonej matematyce.

Patrzył na wiszącą nad tablicą zegar tarczowy i wzrokiem próbował przesunąć jego wskazówki. Jego nienawiść do tego przedmiotu była tak duża, że w pierwszej klasie szkoły średniej miał egzamin komisyjny, który na szczęście zdał. Niestety zapłacił za to straconymi wakacjami oraz taką ilością kłótni z rodzicami, jakiej nigdy by sobie nie wyobrażał:

- Tak niewiele od ciebie wymagamy, a ty nawet dwa plus dwa nie możesz wklepać do tej pustej głowy! - darł się na niego ojciec, z wykształcenia inżynier, który uważał, że matematyka jest prostym i miłym przedmiotem.

- Wiesz, jaki to wstyd?! Nikt z naszych znajomych nie ma dziecka, które repetowało! - wtórowała mu matka. Jednak jej punkt widzenia prezentował się zupełnie inaczej. Sama nie należała do orłów matematycznych, ba, nawet można było rzec, że to po niej Mikołaj odziedziczył antytalent matematyczny, ale nigdy się do tego nie przyznała. Zawsze powtarzała synowi, że ciężką pracą jest w stanie naprawić nawet swoje własne dysfunkcje, tylko musi chcieć i pracować. A on jest leniwy i woli z kolegami grać w bezsensowną piłkę zamiast siedzieć nad książkami jak ambitni bracia.

Od tamtego czasu próbował poprawić swój wizerunek w oczach rodziców, ale nigdy mu się to nie udało. Już zawsze pozostał dla nich tym synem, który prawie nie zdał, gdy jego bracia nigdy nie mieli nawet trójek na świadectwie.

Ale teraz miał szansę coś zmienić i mimo znużenia, które go dopadło, cierpliwie siedział w samochodzie zaparkowanym przed budynkiem, w którym mieścił się gabinet Szymona Trojanowskiego, i czekał, aż psycholog z niego wyjdzie.

## Rozdział 25

## Ryszard

Chyba każdy mały chłopiec marzy o tym, żeby zostać policjantem. Jeździć po mieście z zawrotną prędkością, ścigać złoczyńców, a na końcu zbierać laury. Niestety taki obraz kreowany przez filmy i książki niewiele miał wspólnego z rzeczywistością, co niezmiernie denerwowało Ryszarda, podobnie jak ciągły brak kawy w automacie czy niedziałający zszywacz. Zresztą Ryszard miał wrażenie, że od kilku tygodni wszystko go wkurwia, nawet on sam. Pomyślał nawet, że tak musiała się czuć jego żona, gdy była w ciąży.

Momentalnie się uśmiechnął na wspomnienie jej abstrakcyjnych zwierzeń, które teraz doskonale rozumiał.

- Nie wytrzymam - rzuciła pewnego razu, siedząc nad talerzem zupy pomidorowej. Swój olbrzymi już brzuch ciążyowy zakryła sukienką, licząc, że chociaż na chwilę zapomni o tkwiącej w niej bombie zegarowej. - Jeżeli w pewnym momencie będziesz chciał mnie zabić, zrób to - oznajmiła i z obrzydzeniem włożyła do ust kolejną łyżkę swojej ulubionej zupy, którą zawsze gotowała sobie na poprawę humoru, a która tym razem ją zawiodła.

Faktycznie, ostatnimi czasy jej czepliwość osiągnęła poziom mistrzowski. Nie znajdowała rzeczy, która była zrobiona dobrze, a nawet gdyby była, to i tak po chwili do czegoś potrafiła się doczepić. Chodziła non stop wkurzona. Krzyczała, rzucała przedmiotami i, co było zadziwiające, zaczęła przeklinać, czego nigdy wcześniej nie robiła.

- Ja pierdolę, nawet nie wiesz, jak mi źle!

Nagle rzuciła łyżką na stół. Resztki zupy spłynęły na obrus, a sztuciec przetoczył się po stole i spadł na podłogę. Już chciał się po niego schylić, gdy zobaczył lecący w swoją stronę talerz. W ostatnim momencie się uchylił. Resztki zupy zostawiły ślad na obrusie, jego ubraniu i dywanie, ale największe plamy pojawiły się na ścianie, w którą naczynie trafiło z hukiem. W pierwszym momencie myślał, że mu się przewidziało i zaraz się obudzi z surrealistycznego snu. Jednak gdy usłyszał płacz żony, która doskoczyła do niego i mocno się w niego wtuliła, wiedział, że to po prostu życie.

Teraz czuł się podobnie. Tylko wtedy żona wyżyła się, poszła do specjalisty i było lepiej, a on nie miał pomysłu, jak sobie ulżyć w



cierpieniu tak, aby nie pogorszyć swojej sytuacji. Cokolwiek wymyślił, widział wkurzoną twarz komendanta, który z dezaprobatą kręci głową.

Siedział na swoim wysłużonym fotelu, choć miał wrażenie, że mebel w każdym momencie może się rozpaść, a wtedy on z impetem spadnie na ziemię. Gapił się tępo na ekran komputera i intensywnie myślał nad sprawą morderstwa Marcela Zawadzkiego i zniknięcia Igi Lewickiej, która komplikowała się niemiłosiernie. Niby miał pewne tropy, ale nic z nich nie wynikało. Szymon Trojanowski miał alibi na czas śmierci Marcela Zawadzkiego, tak samo jak Małgorzata Laskowska. Innych podejrzanych na ten moment nie miał.

Dodatkowo ten natłok myśli zagęszczało ostatnie odkrycie. Milenie groził jakiś mężczyzna. Jakub Drzewiecki, który podobnie jak Kamil Bednarczyk i kobieta, która się do nich zgłosiła, chodził do psychologa Trojanowskiego. Najchętniej poszedłby do przełożonych i opowiedział o swoim odkryciu, ale na razie wolał zostawić to dla siebie.

Nagle usłyszał ściszony głos komendanta:

- I jak Mikołaj? Sprawdza się?

Ryszard przysunął się bliżej monitora, który stał przy ścianie, zaraz obok drzwi. To za nią prawdopodobnie stał szef i z kimś rozmawiał. Dla Ryszarda od dłuższego czasu podsłuchiwanie stanowiło jeden z podstawowych sposobów zdobywania wiedzy. Niestety nikt nie chciał się z nim nią dzielić w normalnej rozmowie.

- Jak na razie jest dobrze - usłyszał głos Tomasza Przybyszewskiego. Ryszard uśmiechnął się i jeszcze bardziej wyętyżył słuch. - Jest idealny do tej roli. Sprawia wrażenie miękkiego, więc nadaje się znakomicie do udawania syna zdruzgotanego po stracie matki. Historyjka, którą mu wymyśliłem, jest idealna. Kochająca matka poświęca się dla syna, oddaje całe oszczędności typkowi, który obiecuje ich podwojenie. Niestety wszystko traci. Dostaje zawału i umiera. Syn jest żądny zemsty, obsesyjnie myśli tylko o ukaraniu winnego.

- Faktycznie świetna historia. A macie coś na tego psychologa?

- Szymona Trojanowskiego?

W tym momencie Ryszard się wyłączył. Dobrze wiedział, że powinien poinformować mężczyznę o swoim odkryciu, ale postanowił inaczej. Ostrożnie wstał, aby nie obciążyć za mocno poturbowanej nogi, wyłączył komputer i wyszedł z komendy. Wcześniej miał jeszcze

obiekcje co do obserwacji psychologa, ale teraz je stracił. Uznał ją wręcz za niezbędny kolejny krok w śledztwie.

Po niespełna piętnastu minutach zajechał pod jego gabinet i ze zdziwieniem stwierdził, że zaparkowany przez nim jest również samochód Mikołaja Królikowskiego. „Pewnie jest na wizycie”, pomyślał i zerknął na zegarek. Dochodziła siedemnasta trzydzieści. Sięgnął po papierosa, obniżył oparcie fotela i czekał.

## Rozdział 26

### Mikołaj

Nigdy nie lubił się ruszać. Raczej należał do tych dzieci, co na zajęciach sportowych wołały siedzieć na ławce niż ganiać za piłką, ale teraz kolejna godzina w samochodzie powodowała, że bolało go całe ciało. Dochodziła już dwudziesta pierwsza, a z budynku, gdzie mieścił się gabinet psychologa, nadal nie wyszedł Szymon Trojanowski. Co najbardziej zaskakujące, nie zapaliły się w nim światła. Mikołaj Królikowski dobrze wiedział, gdzie znajdują się jego okna.

W końcu nie wytrzymał. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego robić, ale czuł jakiś wewnętrzny niepokój. Strzepnął ze spodni okruszki po zjedzonym godzinę wcześniej hot dogu z nie najświeższą parówką i wysiadł z samochodu. Spojrzał jeszcze raz do góry, licząc, że może jakimś cudem zapalą się światła i nie będzie musiał iść na górę, łamiąc wszystkie zasady, jakie mu wpajano. Niestety nic takiego się nie stało.

Zamknął samochód i ruszył do drzwi budynku. Niespiesznie wdrapał się na trzecie piętro. Stanął przed drzwiami gabinetu i zapukał. Grzecznie czekał, jednak sekundy mijały, a nikt nie otwierał. Chwycił za klamkę i delikatnie nacisnął. Ta nie ustąpiła. Rozejrzał się dookoła i wyjął z kieszeni zestaw kluczy, który zawsze nosił ze sobą.

To była jedna z jego najbardziej skrywanych tajemnic. Od kiedy pamiętał, uwielbiał bawić się zamkami. W domu żadne drzwi nie stanowiły dla niego problemu. Od dzieciństwa udawał domorosłego

włamywacza. Otwierał szafki, szuflady, drzwi do piwnicy i czasami bliski był zdemaskowania, ale tylko raz został złapany na gorącym uczynku – przez swoją wówczas siedemdziesięcioletnią babcie.

Gdy wyszła po zakupy, Mikołaj swoim zwyczajem zaczął węszyc. Dobrze wiedział, że starsza kobieta ukryła gdzieś słodkości. Nie znalazłszy nic w kuchni, postanowił zerknąć do jej pokoju. Najpierw przeszukał stojącą przy łóżku szafkę nocną, na której od lat babcia kolekcjonowała wycięte z gazet krzyżówki. Nigdy nie mógł rozumieć jej miłości do tych dziwnych zgadywanek. Mama powtarzała, że to doskonałe ćwiczenie na głowę, jednak on w ogóle tego nie czuł.

Nie znalazł tam niczego ciekawego, więc zerknął do szafy z ubraniami, w której unosiła się odstraszająca woń zawieszanej w woreczku lawendy. Ostatnim miejscem, które zostało mu do przeszukania, był stojący pod ścianą złożony tapczan obity welurowym materiałem w kolorze, którego nazwy nie znał. Taki ni to czerwony, ni fioletowy. Babcia długo na niego zbierała, a w dniu, gdy w końcu dumna z siebie na nim zasiadła, wydarzył się mały wypadek, który przeszedł do rodzinnych historii opowiadanych praktycznie przy każdym spotkaniu, więc każdy znał go na pamięć.

Wydarzyło się to, gdy Mikołaj miał trzy lata. Miesiąc wcześniej urodził się jego drugi brat. Babcia pracowała wtedy jako lekarka, dlatego miała dostęp do rzeczy niedostępnych dla przeciętnego śmiertelnika, a dla młodej matki, jaką była wtedy Marzena Królikowska, zasyпка na odparzenia była niczym mityczny Graal. Więc gdy dostała ją w prezencie od matki, czuła się tak, jakby chwyciła Pana Boga za nogi.

Na czas wizyty u matki położyła zasypkę na półce nad kanapą i poszła pomagać w szykowaniu obiadu. Bracia Mikołaja grzecznie spali, a on bawił się kolejką, raz po raz wydając głośne dźwięki imitujące rozpędzony pociąg.

Nagle w domu zapanowała totalna cisza. Kobiety szykujące posiłek w pierwszej chwili się ucieszyły, ale szybko przyszła refleksja. Cicho zachowujący się Mikołaj równa się kłopoty. Szybkim krokiem ruszyły w stronę salonu. Gdy stanęły w progu, zdębiały. Chłopiec z uśmiechem na twarzy skakał na nowej kanapie babci, w rękach trzymał pudełko z zasypką, a jego zawartość wyrzucał w powietrze. W oczach chłopca

wszystko wyglądało niezwykle bajkowo. Niestety Marzena Królikowska i jej matka widziały to inaczej.

Wtedy pierwszy raz przekonał się, że uśmiechająca się do niego sympatycznie babcia ma też straszne oblicze. Wyciągnęła ze stojącej pod ścianą szafy z ubraniami pasek i przełożyła wnuka przez kolano. Zupełnie nie wiedział, o co chodzi, więc grzecznie się temu poddał. Gdy pierwszy raz skóra dotknęła jego pośladka, wydarł się przejmująco, jednak babcia nic sobie z tego nie robiła. Wymierzyła mu jeszcze dwa mocne razy i zsunęła go na podłogę, nie przejmując się faktem, że jej wnuczek wyje wniebogłose, czym oczywiście obudził smacznie śpiących braci.

Mimo to kochał babcię ponad wszystko, szczególnie za sytuacje takie jak ta ze słodyczami. Gdy w końcu pokonał strach i otworzył kanapę, ujrzał w środku dwie tabliczki, a na nich karteczkę z krótkim wierszykiem:

*Najlepszym lekarzem, co leczy i bada,*

*Jest czekolada.*

*Nową nadzieją, gdy stara upada,*

*Jest czekolada.*

*Nieważne kłamstwa, nieważna zdrada,*

*Jest czekolada.*

*Kiedy potrzebna na problem ci rada,*

*Jest czekolada.*

*Gdy rzeczywistość to degrengolada,*

*Jest czekolada.*

*Dlatego co dzień pytanie to pada:*

*Jest czekolada?\**

Smacznego, Mikołajku!

Teraz stał przed drzwiami gabinetu Trojanowskiego i miał nadzieję, że zaraz, podobnie jak za dawnych czasów, odnajdzie skarb, jak wtedy myślał o czekoladach. Chwilę pogrzebał w drzwiach i po pięciu minutach zamykał za sobą drzwi od środka. Stał na środku pomieszczenia i rozejrzał się. Włamanie się do gabinetu było impulsem, którego zupełnie nie przemyślał, dlatego teraz na szybko układał plan

działania. Podszedł do stojącej obok biurka komody i zaczął przeglądać jej zawartość. Niestety poza rachunkami, czystymi formularzami i pustymi teczkami nie znalazł nic ciekawego.

Zasunął szufladę i ruszył do gabinetu psychologa, w którym tak niedawno zwierzał się ze swoich wymyślonych problemów. Co zaskakujące, czuł się dobrze podczas tych rozmów, mimo że opierały się one na kłamstwach.

Już miał otworzyć drzwi prowadzące do sali zwierzeń, jak w myślach nazywał to pomieszczenie, gdy usłyszał za sobą dźwięk przekręcanego klucza. Nie miał dokąd uciec. Stał na środku pomieszczenia, gdy nagle ktoś zapalił światło.

- Co pan tu robi?! - krzyknęła na jego widok Aneta Trojanowska.

- Ja... musiałem... - specjalnie zaczął się jąkać, aby sprawić wrażenie bardziej zestresowanego. - Było otwarte...

- Otwarte? - zdziwiła się kobieta.

- Tak - odpowiedział mężczyzna już pewniejszym głosem. - Koniecznie chciałem porozmawiać o czymś z panem Szymonem.

- O dwudziestej pierwszej? - spytała kobieta z niedowierzaniem w głosie. Mikołaj Królikowski stał naprzeciwko matki psychologa i szybko obmyślał plan.

- Wiem, że to dziwna pora, ale musiałem z kimś porozmawiać. Pierwsze, co wpadło mi do głowy, to wizyta tutaj. Powinienem zadzwonić, ale przejeżdżałem obok i...

- Postanowił pan wpaść? - skończyła za niego. - Tylko ja sama zamykałam, więc na sto procent drzwi nie mogły być otwarte.

- Ale były. Przecież nie umiałbym ich otworzyć bez klucza. - Podniósł dłoń do góry, jakby chciał tym zakomunikować, że ma dwie lewe ręce.

- Może faktycznie zostawiłam je otwarte. Tylko dlaczego stał pan tutaj na środku bez zapalonego światła?

- Wszedłem sekundę przed panią - rzucił trochę za szybko. - Nie zdążyłem znaleźć włącznika.

- Rozumiem. A o czym chciał porozmawiać z synem?

- Ja... Nie wiem, czy powinienem pani mówić.

- Nie chcę, żeby to zabrzmiało dziwnie, ale jestem dobrym słuchaczem. Chętnie pana wysłucham. - Uśmiechnęła się do niego niby serdecznie, ale na ten widok ciarki przeszły mu po plecach. Coś w tej

upiornie chudej kobiecie go przerażało, ale zarazem fascynowało. – Jednak jeżeli to nie problem, moglibyśmy pójść do mnie?

– Do pani? – skomentował zdziwiony.

– Tak, mieszkam piętro niżej. To taki ukłon Szymka w moją stronę, żebym nie musiała za daleko chodzić do pracy, dba o mnie. – Ponownie uraczyła go przedziwnym, niepokojącym uśmiechem.

Zgodził się i po pięciu minutach siedział na wygodnym, lecz trochę zapadającym się fotelu i słuchał krzątający pani Trojanowskiej, która koniecznie chciała zrobić mu herbatę z własnej roboty syropem malinowym. Nie oponował, ponieważ dzięki temu miał chwilę, aby przyjrzeć się mieszkaniu matki psychopatycznego seryjnego mordercy, jak coraz częściej o nim myślał. Nie chciał podchodzić do mebli, aby znowu nie zostać posądzony o szpiegowskie działania, dlatego wyciągnął z kieszeni telefon i zaczął nagrywać. Specjalnie wybrał z oferty jednego z operatorów taki aparat, który ma najlepszy zoom. Teraz doskonale mu się to przydało. Zaczął od zdjęć wiszących na prawo od drzwi prowadzących z wąskiego korytarza. Na wszystkich był Szymon Trojanowski. Z reguły sam, ale czasami z matką. Nigdzie nie dostrzegł zdjęcia jego ojca. Wiedział, że ten zmarł, gdy chłopak miał dwanaście lat, ale brak fotografii mógł świadczyć o tym, że kobieta za nim nie tęskniła.

Gdy skierował kamerę w prawo, w kadrze pojawiła się sporych rozmiarów biblioteczka. Większą jej część zajmowały kryminały, a nie – jak spodziewałby się po kobiecie w jej wieku – romanse. Na wielu grzbietach dostrzegł nazwisko znanej brytyjskiej pisarki Agathy Christie. Kolejnym zaskoczeniem była cała kolekcja książek dla młodzieży, a przede wszystkim chłopców – „Pan Samochodzik”, „Wakacje z duchami”. Mikołaj pamiętał, jak sam się w nich zaczytywał. „Pewnie to książki syna”, pomyślał i szybko nagrał resztę pokoju, słysząc kroki pani domu.

– Zobacz pan, jak pyszny jest ten syrop malinowy. Od razu człowiekowi robi się lepiej. To może pan mi powie, co skłoniło go do tych wieczornych odwiedzin.

Mikołaj spojrzął na kobietę ze zdziwieniem. Ona faktycznie chciała zabawić się w psychologa. Trochę jak on bawiący się w superglinę,

który bez wsparcia rusza na akcję. Wypił od razu połowę zawartości szklanki i rzucił:

- Ja sobie nie radzę. Mam wrażenie, że ta złość zeżre mnie od środka...

Nie zdążył dokończyć, bo Aneta Trojanowska mu przerwała:

- Proszę przestać pieprzyć głupoty - powiedziała zupełnie innym tonem niż dotychczas. Momentalnie poczuł się jak małe dziecko skarcone przez rodzica, choć oni nigdy nie używali przekleństw. Zresztą nie pasowało to do nich ani tym bardziej do siedzącej naprzeciwko kobiety. - Nie przyszedł pan rozmawiać o swoich pseudoproblemach. Nie wiem dlaczego, ale chce pan skrzywdzić mojego syna. - Ostatnie słowa wycedziła z dziką wściekłością. Jej wargi zbielewały od nacisku, a oczy zrobiły się większe.

---

\* Jakub Wiech, „Czekolada”

## Rozdział 27

### Aneta

Gdy tylko zobaczyła stojącego w gabinecie syna mężczyznę, wiedziała, że stało się to, co nieuniknione. Naprędce wymyśliła plan i po chwili oboje byli w jej mieszkaniu.

Przygotowała policjantowi herbatę z malinami i końską dawką leków rozluźniających i paraliżujących mięśnie. Gdy gość duszkiem wypił praktycznie połowę szklanki, wiedziała, że klamka zapadła.

- Ja sobie nie radzę. Mam wrażenie, że ta złość zeżre mnie od środka...

Nie dała mu skończyć.

- Proszę przestać pieprzyć głupoty - rzuciła, sama siebie zaskakując. Bardzo rzadko przeklinała. - Nie przyszedł pan rozmawiać o swoich pseudoproblemach. Nie wiem dlaczego, ale chce pan skrzywdzić mojego syna.

- Ja...

Widziała po jego minie, że jest dezorientowany. A może się pomyliła i to, co opowiadał, było prawdą?

- Jest pan z policji i szuka czegoś na mojego syna, zgadza się? - rzuciła kolejny raz bez zastanowienia.

- Skąd pani przyszedł taki pomysł do głowy?

- Węszy pan. Nie jestem starą babcią, której mózg już zeżarł wiek. O nie. Myślę bardziej klarownie niż większość młodych. Sprawdziłam pana. Myśli pan, że nie potrafię korzystać z wyszukiwarki zdjęć? Już na pierwszej wizycie uwieczniłam pana twarz, więc wiem, gdzie pan pracuje. Wtedy miałam nadzieję, że nie ma w tym nic podejrzanego. Tylko gdy znajduje się szperającego glinę, wiadomo, że znalazł trop. - Z zadowoleniem spojrzała na mężczyznę. Podany lek zaczął działać. Mikołaj Królikowski odpływał, a jego wzrok robił się mętny. Od razu poczuła się pewniej. Już parokrotnie przetestowała ten zestaw i wiedziała, że do totalnego odpływu jeszcze daleka droga, ale w tym momencie mężczyzna przestał stanowić dla niej jakiegokolwiek zagrożenie. - Tylko że byliście w błędzie. Wszystko, co złe, to ja. Szymek nie ma z tym nic wspólnego. - Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. - Tak, tak, to wszystko moje dzieło. Syn o niczym nie wie. Zresztą on beze mnie nic nie robi. Manipulowanie nim opanowałam do perfekcji. Zawsze robił dokładnie to, co chciałam, już jako dziecko lubił, nienawidził, bał się tych samych rzeczy czy ludzi co ja. Sprawnie przekazywałam mu swoje uczucia, jednocześnie w pewien sposób uzależniając go od siebie, pokazując w każdej możliwej sytuacji, że tylko ja mogę mu pomóc, bo on jest za słaby, żeby dać radę sam. - Nie wiedziała czemu, ale pierwszy raz w życiu poczuła wielką chęć zwierzenia się komuś. Może dlatego, że siedzący przed nią mężczyzna mógł reagować już tylko ruchem gałek ocznych. - Ponad wszystko zależało mi na jego bezpieczeństwie. Zabraniałam Szymonkowi grać w piłkę, bo mógłby dostać w głowę lub zostać kopnięty przez kolegę, a wtedy tragedia na wyciągnięcie ręki. Po drzewach nie mógł chodzić, bo przecież mógłby spać. Na rowerze też niechętnie pozwalałam mu jeździć. - Nasłuchiwała się o wielu wypadkach, więc wołała nie narażać syna. - Ograniczałam mu też dostęp do osób, które miały lub mogły mieć na niego zły wpływ. Zabraniałam spotykać się z kolegami, którzy za dużo przeklinali lub robili rzeczy, które mi się nie podobały. Ale raz



na jakiś czas ktoś musiał zaburzyć nasz spokój. Pierwsza była Basia, dziwoląg, który nagle postanowił zostać Bartkiem...

Na chwilę zrobiła przerwę i sięgnęła po kieliszek białego wina. Czekąco na wyjątkową okazję i czuła, że ta właśnie się nadarzyła. Świątowała kolejny sukces w ochronie syna.

- Ta dziewczyna to było czyste zło. Znajomość z kimś takim nie mieściła mi się w głowie. Gdy Szymon przyszedł i powiedział o uwięzieniu w złym ciele, od razu skojarzyłam to z tymi bredniami, które coraz częściej słyszałam. Dziewczynka, która chciała być chłopcem, albo odwrotnie. Przecież to nienormalne! - krzyknęła. - To choroba psychiczna, którą powinno się leczyć, a nie tolerować. I może gdyby ta dziewczynka nie lgnęła tak do mojego ukochanego syna, zignorowałabym to. Jednak ona cały czas go osaczała, wykorzystując jego delikatność, której tak bardzo potrzebował. To wynaturzenie robiło wszystko, aby się z nim spotykać, mimo że ja zakazałam. Chciało wysysać z niego to, co najlepsze. Gdyby Basia odpuściła, może nadal by żyła. Bez Szymona, pochłonięta przez chorobę psychiczną, ale nie, ona musiała walczyć o swojego przyjaciela. Dlatego musiałam zrobić to, co zrobiłam. Zaczęłam zostawiać temu czemuś karteczki. Niby nic nieznaczące liściki, ale wiedziałam, że poskutkują. „Nie jesteś człowiekiem, tylko dziwadłem”. „Przynosisz wstyd rodzinie i bliskim”. „Nigdy nikt cię nie pokocha”. Siedziałam wieczorami, wymyślałam te teksty i byłam z siebie dumna. Robiłam to, żeby uratować syna. Przecież zasługiwał na to, co najlepsze. Gdy dowiedziałam się, że Basia popełniła samobójstwo, uśmiechnęłam się i wyciągnęłam z szuflady czekoladę z bakaliami, po którą sięgam w wyjątkowych sytuacjach. - Spojrzała na trzymany w ręku kieliszek i dorzuciła: - Czasami też po wino. Pamiętam, że po wszystkim usiadłam przy kuchennym stole z kubkiem kawy w ręku i delektowałam się każdą małą kosteczką, która powoli rozpuszczała się na moim języku. To było jak chwila triumfu. Wszystko było wręcz idealnie.

Upiła kolejny łyk wina. Twarz policjanta wyglądała dziwnie. Krzyczała. Oczy miał wybałuszony, jakby się czegoś przestraszył, jednak jego ciało nie reagowało na impulsy wysyłane z mózgu. Ręce i nogi odmówiły posłuszeństwa.

- Później na kilka lat miałam przerwę - kontynuowała zwierzenia. - Chociaż właściwie wcześniej był jeszcze mój niewierny mąż, który

pukał sąsiadkę i liczył, że go puszcze w jej ramiona. Gdy trafił do szpitala, wiedziałam, że to jest ten moment. Nikt nawet przez ułamek sekundy nie pomyślał, że było to celowe działanie. Później, po tej Basi, długo był spokój. Szymonek wpadł w moje matczyne ramiona i liczyłam, że tak zostanie na zawsze. Niestety się pomyliłam. Pojawiła się Blanka. Opętana dziewczyna, która za wszelką cenę chciała zabrać mi syna. Nasz wspólny czas nagle skurczył się do minimum, a gdy dowiedziałam się o ich planie wyjazdu na studia do Trójmiasta, wpadłam w szal. Dziecko, któremu poświęciłam całe życie, nagle chciało mnie opuścić. O nie! Nie mogłam do tego dopuścić. – Uderzyła o oparcie fotela, wylewając przy tym kilka kropel wina. – Nie mogłam tego tak zostawić. Dwa tygodnie przed ich wyjazdem postanowiłam porozmawiać z dziewczyną. Umówiłam się z nią w naszym domu. Wolałam nie mieć świadków. Z góry wiedziałam, że nie będzie to miłe spotkanie, jednak gotowego scenariusza na nie nie przygotowałam.

W tym momencie kobieta zapatrzyła się na ścianę pokrytą ramkami ze zdjęciami i odpłynęła we wspomnienia.

– Jesteście za młodzi na takie wyjazdy – zaczęła Aneta Trojanowska spokojnym tonem, mimo że w środku aż się gotowała. – Studiowanie i pracowanie jednocześnie to ciężka sprawa. Na nic nie będziecie mieć czasu.

– Damy sobie radę – skomentowała dziewczyna i napiła się kompotu śliwkowego, który postawiła przed nią gospodyni.

– Może przez chwilę pociągniecie. Zanim zaczniesz prawdziwe i wymagające życie, będziecie mieli miesiąc, maksymalnie dwa na zabawę i korzystanie z życia, a później... – urwała teatralnie. – Zero! A jeżeli nie znajdziecie pracy, uroki życia samemu znikną. Wiem, że twoi rodzice coś ci dorzucą, zresztą ja Szymkowi też chętnie pomogę, ale nie stać mnie na finansowanie hulaszczego życia, jakie wiodą studenci.

– My nie planujemy imprezować – odezwała się cicho Blanka. – Jedziemy tam się uczyć. To jest nasze marzenie.

– Rozumiem, ale mój syn czuje się przymuszony do tego wyjazdu – rzuciła Trojanowska bez chwili namysłu. Zupełnie nie to chciała powiedzieć, ale gdy to się już stało, od razu zrodził się w jej głowie szalony pomysł.

- Jak to? Cały czas powtarza, że to jego marzenie - zdziwiła się dziewczyna.

- Niestety nie. Przykro mi. Szymonek jest dobrze wychowany i czasami nie potrafi odmówić. A teraz, gdy sprawy zaszły już tak daleko, załamał się. Wyjazd to ostatnia rzecz, jakiej by chciał.

- Boże, ja nie wiedziałam... - Dziewczyna zaczęła płakać. - Myślałam, że on chce tego samego co ja. Od dawna o tym mówiliśmy.

- Wiem i rozumiem twój ból.

- Ja muszę z nim porozmawiać. - Blanka nagle wstała, prawie zrzucając przy tym swoją szklankę. - Przepraszam.

- Nie szkodzi. - Aneta poprawiła naczynie. - Ale rozmowa to nie najlepszy pomysł. On wszystkiemu zaprzeczy. Szymonek jest niezwykle empatyczny. On kocha ludzi, dlatego poświęci swoje życie, aby ci pomóc. Może tym razem ty coś zrobisz dla niego? - rzuciła kobieta i spojrzała na siedzącą naprzeciwko dziewczynę.

- Tak, oczywiście.

- Myślę, że najlepiej by było, jakbyś wyjechała.

- Do Trójmiasta?

- Nie. Pomogę ci wynająć mieszkanie na tydzień czy dwa. Ma to wyglądać tak, jakbyś wyjechała za granicę.

- Ale dlaczego?

- Aby Szymonek zrozumiał, że pomysł wyjazdu do Trójmiasta już go nie kręci. Że chciał to zrobić tylko ze względu na ciebie. - Wstała, podeszła do kredensu i za chwilę wróciła z czystą kartką. - Napisz list. Ja go przekażę synowi i oczywiście twoim rodzicom. Myślę, że za tydzień, maksymalnie dwa, będziesz mogła wrócić. Wiem, że Szymuś wiele dla ciebie znaczy, ale jesteś mu to winna. Wasz związek przetrwa próbę czasu, jestem tego pewna - kłamała. - A tak on będzie mógł się realizować bez przymusu pójścia na studia nie tam, gdzie chciał.

- To co mam napisać? - spytała Blanka, biorąc długopis do ręki.

Aneta Trojanowska spojrzała znów na obezwładnionego policjanta i błysnęła wyrachowanym uśmiechem. Odchrząknęła i kontynuowała swoją spowiedź:

- Wszystko poszło nad wyraz łatwo. Plan, który zrodził się w ułamku sekundy, zrealizowałam w stu procentach, a nawet i więcej. Dziewczyna zniknęła. Zostawiła list, w którym tłumaczyła, że wyjeżdża za granicę.

Niestety jej rodzice nigdy nie poznali prawdy. Nie dowiedzieli się, że przez dwa tygodnie siedziała w domku letniskowym dziadków Szymona. Nie dowiedzieli się, że tam zginęła otruta przez matkę swojego chłopaka i skończyła tak jak kilkanaście lat później Iga. Zjedzona przez świnię w pobliskim gospodarstwie z chlewem. – Znowu przerwała, widząc ruch gałek ocznych mężczyzny. – Nie wiem, ile wiesz, ale Szymonek ma niewiarygodnie głupią żonę. Tfu, co ja gadam. Miał. – Zamilkła. Nie chciała przypisywać sobie zabójstwa Igi, więc nie zamierzała kontynuować tego wątku. – Zresztą pan nie dlatego zaczął tu węszyć, prawda? Moja gra was zaintrygowała. Proszę mi uwierzyć, szanuję to, co mój Szymonek robi, ale czasami zupełnie mu nie idzie. Ci ludzie nie potrzebują miziania, ale konkretnego działania, a mój syn czasami tak nie potrafi. Dlatego wymyśliłam sposób, jak im pomóc.

Aneta Trojanowska zaczęła opowiadać o tym, jak podsłuchiwała sesje swojego syna i raz na jakiś czas wspomagała jego klientów, instruując ich, jak ostatecznie pozbyć się problemów z ich życia. Dostarczała wszystkie potrzebne informacje, narzędzia. Co zaskakujące, kobieta, która nie do końca wierzyła w psychologię, stosowała jedną z zasad wywodzącą się z psychologii – zasadę wzajemności, która mówi, że gdy coś komuś damy, ta osoba jest w pewien sposób zobligowana, by się odwdzięczyć. Pierwszą ofiarę Aneta wyeliminowała sama wiele lat wcześniej, później gra toczyła się swoim rytmem.

## Rozdział 28

### Szymon

Jeszcze nigdy w życiu nie bolała go tak głowa. Miał wrażenie, że czaszka tkwi mu w imadle i przy każdym ruchu ktoś dokręca je minimalnie. Zastanawiał się nawet, czy taki ból może faktycznie rozsadzić czaszkę na milion części. Raczej nie było to możliwe, jednak jego ból zdecydowanie nie mieścił się w żadnej ze skal. A wszystko

przez alkohol. Nigdy nie należał do pijących. Matka wyprała mu mózg i wpoila, że alkohol to samo zło i po wypiciu większej ilości może zdarzyć się coś strasznego – wypadek czy marskość wątroby – ale nigdy nie wspominała o rozsadzającym bólu głowy, przy którym nawet najmniejszy ruch gałek ocznych powodował, że człowiekowi odechciewało się żyć.

W pierwszym momencie, gdy się obudził, pomyślał, że umarł. Jest w piekle i właśnie go torturują. Gdy uniósł powieki i jego wzrok się wyostrzył, zobaczył, że leży na kanapie, w swoim mieszkaniu, wtedy zrozumiał, że nie umarł, chociaż chwilowo myślał, że wolałby nie żyć.

Spuścił nogi na podłogę i powoli usiadł. Dźwignięcie się nie było łatwe, szczególnie że momentalnie spowodowało nacisk na brzuch, a tym samym cofnięcie się zawartości żołądka w stronę, której nie przewidziała matka natura.

Pomimo braku sił i pękającej głowy rzucił się do łazienki. Kiedyś słyszał o gadaniu z toaletą, ale myślał, że to jakaś metafora. Teraz dziwnie się czuł, przytulając się do ceramiki, która w zaskakujący sposób dawała mu przyjemność, nie tylko dlatego, że znikwała w niej zawartość żołądka, ale również dzięki temperaturze, jaką miała. Była zimna i kojąca.

Gdy w końcu dźwignął się z podłogi, czując, że nic już mu nie zalega, umył twarz, a usta przepłukał płynem odświeżającym, po czym wrócił do salonu. Gdy ujrzał stojącą na środku stołu praktycznie pustą butelkę po whisky, którą dostał od klienta, przypomniał sobie strzępki wczorajszego wieczora.

Najpierw z matką poszli do pobliskiej kawiarni na ciastko i sok. I wszystko byłoby nawet okej, gdyby nie spojrzenia innych ludzi. Pierwszy raz miał wrażenie, że wszyscy się na niego gapią. Miał trzydzieści siedem lat, a siedział z mamusią i obzerał się słodyczami. Jak mały chłopiec, który pod jej skrzydłami czuje się najlepiej.

Po powrocie do domu wyjął z szafki trunek, który jakiś czas temu dostał w podzięcie od klienta, i usiadł na kanapie. Zupełnie nie wiedział, jak to pić. Z colą, sokiem, a może bez niczego? Zerwał zabezpieczający plastik, na który naklejona była papierowa banderola, i odkręcił butelkę. Zapach zawartości nie był dla niego zachęcający. Mimo to wyjął z szafki kuchennej szklanekę i nalał trzy centymetry whisky, po

czym, jak nie on, który zawsze do każdej nieznannej rzeczy podchodził jak pies do jeża, wypił jednym haustem połowę tej porcji. Momentalnie poczuł odruch wymiotny, jednak nie poddał się mu. Widział twarz matki mówiącej: „Synku, nie możesz pić takich rzeczy, to ci nie służy”, podniósł szklankę i dopił resztę.

Mocno zacisnął usta, bo znowu poczuł, jakby to, co przed chwilą wypił, chciało uciec z jego organizmu. Tak jakby wyczuwało, że nie są dla siebie stworzeni. Nie mógł na to pozwolić. Gdyby uległ, czułby się jak przegrany. Matka jak zwykle byłaby górą.

Od kilki dni męczyły go myśli, które zawsze ignorował, a które teraz dawały o sobie znać ze zdwojoną albo i większą mocą. Czuł się jak ubezwłasnowolniony. Wielokrotnie i Iga, i Olaf powtarzali mu, że matka nim rządzi, ale za każdym razem, przynajmniej w swoim mniemaniu, znajdował dla tego jakieś uzasadnienie.

Gdy znalazła lokal na gabinet dokładnie nad swoim mieszkaniem, Iga mocno oponowała:

- To jest chore. Powinieneś się od niej uwolnić, a nie pracować w tym samym budynku, gdzie mieszka ta jędzka.

- Nie mów tak o niej - rzucił jak zwykle. Mocno go denerwowało, zarówno w rozmowach z żoną, jak i matką, że musiał stopować kobiety we wzajemnym obrażaniu się.

- Będę mówiła, jak będę chciała. Poza tym to mocno niepokojące, że dorosły facet pracuje z mamą, a na dodatek wynajmuje gabinet w tym samym budynku. Chyba jako psycholog powinieneś czuć, że to dość dziwne.

Wtedy to zignorował. Zawsze patrzył na swoją matkę przez pryzmat dawnych doświadczeń. Była matką, która prawie straciła dziecko, która wcześniej została wdową. Może rodzicom nie układało się jakoś wyjątkowo dobrze, ale śmierć męża zawsze rujnowała psychikę żony.

Ale teraz coraz bardziej czuł się osaczony. Pozbawiony wolności i swojego własnego „ja”. Czuł się jak kanarek zamknięty w klatce. Niby widzi wszystko, ale nie może wybrać miejsca do latania.

Sięgnął po stojące na blacie pudełko z tabletkami na ból głowy, z którego Iga korzystała jak on z ukrytych skittlesów. Miał wrażenie, że nieżyjąca żona cierpiała na permanentny ból wszystkiego, ale w tym momencie się z tego cieszył. Wziął trzy tabletki, nie kłopotując się

sprawdzeniem, jaką dawkę powinien przyjąć. W życiu głowa bolała go dwa razy. Raz walnął się w wiszącą szafkę, a raz bez żadnego powodu.

Popił tabletki wodą, położył się na kanapie, jak to robiła żona, i czekał. Ku swojemu zaskoczeniu po dwudziestu minutach poczuł, jak ucisk na czaszce maleje. Nigdy nie zagłębiał się w to, jak działają środki przeciwbólowe, ale teraz poczuł sam na sobie, że są skuteczne. Jedynym efektem ubocznym było lekkie bujanie, ale spodziewał się tego. Kiedyś Iga opowiadała mu, że jak w czasie miesiączki łyka miks przeciwbólowych z no-spą max, ma niezły helikopter. No-spy nie brał, ale odczuwał teraz podobny efekt.

Popatrzył na zegar i zdębiał. Była dwunasta, za dwie godziny powinien być w gabinecie. Ból głowy tak go zaskoczył, że zapomniał o bożym świecie. O swoich klientach również. Pośpiesznie ubrał się w byle jakie ciuchy. Pierwszy raz od dawna nie miał ochoty dążyć do ideału. Szczególnie że coraz bardziej czuł, że to nie jego ideał, tylko matki.

Wyciągnął z szafy czarną bluzę z małym logo popularnej gry Minecraft u dołu. Dostał ją w prezencie od Igi. Grywali czasami w tę grę, jednak bluzy nigdy nie włożył. Nie miał dokąd. Teraz czuł niepokonowaną potrzebę włożenia jej do pracy. Miał gdzieś, że któryś z jego klientów może odebrać to jako faux pas. Sami przychodzili w tak dziwnych strojach, że liczył, że jego dzisiejszy outfit pozostanie niezauważony, choć wiedział, że matka nie zostawi tego bez komentarza.

Wypił jeszcze duszkiem szklanekę wody i zamknął mieszkanie. Wyszedł z domu i przeszedł się do stacji metra Ursynów, wzdłuż alei KEN. Uśmiechnął się sam do siebie na wspomnienie, gdy pierwszy raz usłyszał nazwę tej ulicy. „Dlaczego ktoś nazwał ją na cześć chłopaka Barbie?“, pomyślał wtedy. Szybko jednak matka wyjaśniła mu, że to nie o to chodziło autorowi. KEN to skrótowiec od Komisji Edukacji Narodowej.

Szedł powoli, czując, że każdy krok wymaga od niego sporego wysiłku, jednak jest w jakiś sposób oczyszczający. Wczorajszy pijacki szal uświadomił mu, że da radę i wyrwie się z uścisku matki. Jak nigdy musiał poczuć, że jest samodzielną jednostką, a nie ubezwłasnowolnionym dzieckiem, które jest wyręczane w każdej możliwej sytuacji.

Całą drogę rozmyślał nad tym, co powinien zrobić. Najchętniej zamknąłby gabinet i wyjechał. Gdziekolwiek. Rzucił wszystko i zniknął. Jednak wiedział dobrze, że nie może. Po pierwsze, czuł się w obowiązku kontynuować współpracę z osobami, które aktualnie prowadził. Po drugie, wiedział, że nie powinien działać pod wpływem impulsu. Musiał wszystko sobie przemyśleć i ustalić plan działania, uwzględniając w tym matkę. Nie mógł wykreślić jej ze swojego życia, jednak musiał ograniczyć jej wpływ na nie.

Nawet nie zauważył, jak wszedł do kamienicy, gdzie mieszkała jego matka, a piętro wyżej znajdował się gabinet. Z rozmyślań wytrącił go hałas dochodzący gdzieś z góry, zignorował go jednak i niespiesznie pokonywał kolejne schody.

Gdy był na półpiętrze pod mieszkaniem matki, wiedział już, że to stamtąd dochodzi hałas. W korytarzu minął się z ekipą wykończeniową, która wynosiła stary dywan. Wszedł do mieszkania, delikatnie popychając drzwi, i ruszył do kuchni.

- Co się stało? - spytał Szymon zdziwiony.

- Nic - odpowiedziała Aneta Trojanowska, wyjęła z szafki włoszczyznę i zaczęła ją obierać. - Na jaką zupę masz dzisiaj apetyt?

- Nie chcę żadnej zupy! - krzyknął. - Chcę, żebyś mi wyjaśniła, co się tu dzieje. Znam cię. Wyrzucenie wyszczerbionej filiżanki to dla ciebie życiowa decyzja, a tu nagle dywan wymieniasz? Co się stało?

- Nic - powtórzyła i otworzyła szafkę z garnkami. Wyszukała odpowiedni i postawiła na blacie. Dopiero teraz zauważył na stole puste pudełko po czekoladkach. „Przecież ona nie je słodczy”, pomyślał.

- Przecież widzę, że coś się dzieje. Głupi nie jestem.

- Nie jesteś głupi. - Podeszła do niego i zatrzymała się, dopiero jak ich twarze praktycznie się stykały. - Na pewno chcesz wiedzieć, co się stało? - syknęła. Nigdy nie widział jej w takim stanie.

- Tak - wyszeptał.

Teraz zaczął się bać. Miał przecucie, że ona jest zdolna do czegoś złego. Patrzył na zaciśnięte usta i poczuł strach. Miał ochotę wyjść z domu jak najszybciej, zbiec po schodach ile sił w nogach, a następnie wmieszać się w tłum ludzi, którzy praktycznie bez przerwy przepływali ulicami centrum stolicy.



- Znowu ci pomagałam. Jak zwykle musiałam ratować mojego Szymusia. - Jego imię powiedziała z lekką nutą pogardy, zupełnie jak nie ona. Tak jakby przed nim stała jakaś alternatywna wersja troskliwej i nadopiekuńczej matki, jej alter ego.

- Ale w czym? - dopytywał coraz bardziej przerażony.

- W życiu, synek, w życiu. Jak zwykle usuwam śmieci spod twych nówek, abys się nie ubrudził. - Patrzył na nią i zupełnie nie wiedział, o co może chodzić matce. Znowu posprzątała mu w domu? Tylko kiedy? Przecież cały czas siedział u siebie.

- O czym ty mówisz?

- Zabiłam go. Zabiłam go. Zabiłam go... - powiedziała, nie wydobywając z siebie żadnego dźwięku. Tylko z ruchu jej ust odczytał, co kobieta mówi.

- Jak to zabiłaś? Kogo? - szepnął przerażony.

- Boże, ty nic nie widzisz. Ten Mikołaj Królikowski to był glina - powiedziała, wracając do obierania marchwi.

- Jak to był?

- Bo się zmył! - Trojanowska zaśmiała się sama do siebie, a Szymona zalał zimny pot. Momentalnie wrócił poranny ból głowy. Ta rozmowa była przedziwna, jakby oglądał surrealistyczny film. Zupełnie nie rozumiał, co jego matka chce mu powiedzieć. Podszedł do niej, chwycił za ramiona i obrócił w swoją stronę.

- Co się stało?

- Zaczął węszyć. Szukał czegoś w gabinecie, więc zaprosiłam go do siebie i... - Zawiesiła głos i spojrzała na niego swoimi wylupiastymi oczami.

- I co?

- Dostał herbatkę z dodatkiem leków zwiotczających. Oj, dużym dodatkiem. Trochę mu się przysnęło i...

- Gdzie on jest? - spytał Szymon, rozglądając się nerwowo. W tym momencie przypomniał sobie o mijanej w drzwiach ekipie. Puścił matkę i pobiegł do salonu. Na podłodze leżała nowiuteńka wykładzina. Teraz zrozumiał, dlaczego tak szybko podjęła decyzję. Wrócił do kuchni, gdzie matka kontynuowała robienie zupy, nic nie robiąc sobie z tego, co właśnie powiedziała. - Zabiłaś go w salonie?

- Tak - odpowiedziała spokojnie.

- I co zrobiłaś z ciałem?

- Nie musisz wiedzieć.

- Ale chcę - powiedział, mimo że wcale nie chciał. Patrzył na matkę z przerażeniem. Czuł, że zupełnie jej nie zna. Tak jakby pierwszy raz w życiu ją spotkał. To nie była jego matka, która zawsze się o niego troszczyła, pomagała. Nagle zmarł. Patrzył, jak małym nożykiem usuwa skórę z pietruszki, i dotarła do niego makabryczna prawda. Ona robiła to dla niego, a jeżeli zrobiła to bez zająknięcia teraz, to może i wcześniej też. Odsunął się od kobiety i wziął głęboki wdech. To, o co chciał spytać, było tak surrealistyczne i nieprawdopodobne, że sama myśl już bolała. - Czy ty... Czy to... Czy kiedyś już to zrobiłaś? - wydukał w końcu.

Aneta Trojanowska w końcu odłożyła warzywa i nadal trzymając w ręce mały nożyk, podeszła do syna, patrząc na niego poważnie.

- Szymuś, ja całe życie poświęciłam tobie. I uwierz mi, nie żałuję niczego, co zrobiłam.

- Ale co zrobiłaś? Zabiłaś kogoś jeszcze?

- Po co chcesz to wiedzieć? Żeby analizować? Do niczego ta wiedza ci nie jest potrzebna. Ale jak chcesz, to mogę przedstawić ci całą listę.

- Listę? - powiedział z przerażeniem.

- No tak. Blanka, to dziwadło Basia, twój ojciec... - mówiła bez zająknięcia.

- Zabiłaś tatę? Przecież on umarł w szpitalu. - Czuł, że zaraz wybuchnie. To nie mogła być prawda. Do tego Basia? I Blanka? Nie mógł tego pojąć.

- Szymuś...

- Nie mów tak do mnie! - wrzasnął.

- Jak chcesz, kochanie. Twój ojciec był złym człowiekiem. Musiałam coś zrobić. Nie mogłam pozwolić, abyś patrzył, jak układa sobie życie z inną rodziną. Czułbyś się gorszy, a nie zasługiwałeś na to.

- Miałbym ojca - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Jesteś godzien lepszego.

- Nie ty jesteś od decydowania o tym.

Podszedł do niej bliżej, jakby chciał ją przestraszyć swoimi gabarytami. Kobieta, nie spodziewając się takiej reakcji, zrobiła krok do tyłu, zapominając o wystawionym spod zlewu koszu na bioodpady. To

wszystko trwało ułamek sekundy. Aneta potknęła się o kosz i zaczęła się przewracać, jednocześnie wykonując obrót, tak że finalnie upadła brzuchem na podłogę.

Zaskoczony Szymon szybko dopadł do kobiety. Już chciał pomóc jej wstać, gdy zobaczył jej twarz. Była jakaś dziwna, oczy zrobiły się jakby nieobecne. Wtedy przesunął wzrok na jej brzuch, a dokładniej na powiększającą się plamę krwi na jej kwiecistej sukience.

## Rozdział 29

### Ryszard

Plan był prosty. Miał obserwować gabinet Szymona Trojanowskiego. Odnotowywać, kto wchodzi i wychodzi, licząc, że wyłapie coś szokującego. Jednak życie chciało inaczej. Już po dwudziestu minutach obserwacji został wezwany przez komendanta do nowej sprawy. Miał wspomóc ekipę w poszukiwaniach czteroletniego chłopca, który zniknął z przedszkola.

Nie miał wyjścia. Nie mógł odmówić, i tak od kilku dni udawał, że zajmuje się sprawą śmierci Marcela Zawadzkiego. Wiedział, że przyjdzie dzień, kiedy szef zorientuje się, że znowu miga się od swojej roboty. Wiedział, że przyjdzie dzień, gdy kropla przeleje czarę, a on z hukiem zostanie wyrzucony z roboty. W sumie może by się nawet ucieszył. Miałby więcej czasu dla rodziny i może pojechałby w końcu na ryby.

Po całym dniu przeszukiwania pobliskiego lasu nie znaleziono chłopca. Nikt nie wiedział, czy sam opuścił przedszkole, czy może ktoś mu w tym pomógł. Niestety żadna z okolicznych kamer go nie wychwyciła. Zapadł się pod ziemię.

Ryszard Kozłowski, zmęczony jak po maratonie, wrócił do domu o dwudziestej trzeciej. Ostatnią rzeczą, jaką chciałby robić, była obserwacja gabinetu psychologa. Zresztą o tej godzinie nie miało to

sensu. Nie kąpiąc się nawet, wślizgnął się do łóżka, w którym smacznie spała jego żona.

Gdy obudził się rano, czuł się jak młody bóg. Pierwszy raz od dawien dawna się wyspał. Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale nie słyszał, jak jego rodzina wyszła z domu.

- Muszę im za to podziękować - powiedział sam do siebie i ruszył do kuchni, chcąc zaparzyć sobie kawę. Gdy spojrzął na cyfrowy zegar na kuchence, zdębiał. Pokazywał 12:37.

Nerwowo rozejrzał się za telefonem, ale nie widząc go nigdzie, rzucił się do leżących na ziemi spodni. Aparat znajdował się w lewej kieszeni. Szybko wyciągnął komórkę i rzucił głośno „Kurwa mać!”. Telefon był rozładowany.

Podłączył go i czekał. Mógłby pójść się wykąpać, bo czuł się nieświeżo, ale poziom zdenerwowania nie pozwalał mu na to. W końcu urządzenie odżyło i zaczęły spływać wiadomości. Dwie były od żony. W jednej pytała, o której wróci, w drugiej informowała, że ma nadzieję, że mąż ma ustawiony budzik, bo mimo prób obudzenia spał jak kamień.

Kolejne wiadomości nie były już takie miłe. Od swojego przełożonego miał trzy nieodebrane połączenia i jedną wiadomość, że ma natychmiast stawić się na komendzie. Na koniec przeczytał dziwną wiadomość od kolegi z komendy z zapytaniem, czy może widział Mikołaja Królikowskiego. Przez chwilę patrzył na wyświetlony na ekranie tekst, jakby nie do końca rozumiał jego sens. Gdy już szare komórki zadrgały, a mózg prawidłowo przetworzył informację, szybko zgarnął z blatu niedojedzoną kanapkę po którymś z dzieciaków, kluczyki do auta i ładując się telefon wraz z kablem.

Dobrze wiedział, że powinien zadzwonić do któregoś z kolegów, ale mógł to zrobić później.

Dojazd do centrum zajął mu dwadzieścia minut. Pierwsze, na co zwrócił uwagę, to stojący nadal pod budynkiem samochód Mikołaja Królikowskiego. Mogło to oznaczać, że kolega cały czas przebywa w gabinecie.

Wysiadł z auta, dogaszając już drugiego papierosa, i ruszył do budynku. W wejściu minął dwóch mężczyzn wynoszących dywan. Szybkim krokiem wbiegł na trzecie piętro, gdzie mieścił się gabinet, i

chwycił za klamkę. Niestety ta nie ustąpiła. Zadzwoił dzwonkiem, ale nikt mu nie otworzył.

Zaczął schodzić w dół. Wyciągnął telefon, który w drodze doładował się raptem do piętnastu procent, gdy usłyszał podniesiony głos. Nie słyszał wypowiedzianych słów, ale wydawało mu się, że to głos Szymona Trojanowskiego i dochodził z mieszkania na drugim piętrze. Na jego szczęście drzwi nie były zamknięte do końca. Była w nich mała szpara. Delikatnie otworzył je bardziej i nasłuchiwał.

- Co się stało? - ponownie usłyszał głos psychologa, tym razem wyraźnie.

- Zaczął węszyć. Szukał czegoś w gabinecie, więc zaprosiłam go do siebie i... - To był głos kobiety. „Zapewne jego matki”, pomyślał Ryszard Kozłowski.

- I co?

- Dostał herbatkę z dodatkiem leków zwiotczających. Oj, dużym dodatkiem. Trochę mu się przysnęło i...

- Gdzie on jest? - pytał mężczyzna gorączkowo. - Zabiłaś go w salonie?

- Tak.

- I co zrobiłaś z ciałem?

Ryszard Kozłowski stał jak zamurowany. Momentalnie poczuł skręt w żołądku, z jednej strony wywołany zdenerwowaniem, a z drugiej jakąś chorą radością. To, czego właśnie słuchał, mogło być jego przepustką do zapunktowania u komendanta!

- Nie musisz wiedzieć.

- Ale chcę - odpowiedział mężczyzna. Po jego głosie policjant wiedział, że nie miał on pojęcia o działaniach matki. - Czy ty... Czy to... Czy kiedyś już to zrobiłaś?

- Szymuś, ja całe życie poświęciłam tobie. I uwierz mi, nie żałuję niczego, co zrobiłam. - Głos kobiety brzmiał przerażająco, jakby nie mówiła ona, ale siedzący w niej diabeł.

- Ale co zrobiłaś? Zabiłaś kogoś jeszcze?

- Po co chcesz to wiedzieć? Żeby analizować? Do niczego ta wiedza ci nie jest potrzebna. Ale jak chcesz, to mogę przedstawić ci całą listę.

- Listę? - Ryszard poczuł, jak pot spływa mu po plecach. Najchętniej wszedłby tam już teraz i aresztował kobietę, jednak chciał wysłuchać

wszystkiego do końca.

- No tak. Blanka, to dziwadło Basia, twój ojciec... - wyrecytowała.

- Zabiłaś tatę? Przecież on umarł w szpitalu.

- Szymuś...

- Nie mów tak do mnie! - krzyknął mężczyzna.

- Jak chcesz, kochanie. Twój ojciec był złym człowiekiem. Musiałam coś zrobić. Nie mogłam pozwolić, abys patrzył, jak układa sobie życie z inną rodziną. Czuliś się gorszy, a nie zasługiwałeś na to.

- Miałbym ojca.

- Jesteś godzien lepszego.

- Nie ty jesteś od decydowania o tym...

W tym momencie Ryszard usłyszał dziwny dźwięk, jakby coś się przewracało. Po nim nastąpiła cisza, którą nagle przerwał płacz. Najpierw cichy, ledwo słyszalny. Jednak z każdą sekundą robił się coraz głośniejszy, aż przeszedł w histeryczny szloch.

Ryszard nie wytrzymał. Pociągnął za klamkę i wszedł do mieszkania Anety Trojanowskiej.

## Rozdział 30

### Szymon - miesiąc później

„Szymon Trojanowski, syn morderczyni i inicjatorce szokującej gry, zniknął z radarów, ale w sprawie jego matki nadal pozostaje wiele pytań bez odpowiedzi...”

Szymon zamknął klapę laptopa i napił się stojącego przed nim mojito. Po dwóch tygodniach spędzonych na Dominikanie stwierdził, że jest to jego ulubiony drink. Zresztą podobało mu się wszystko, co go ostatnio spotykało. Wolność, samodzielność. Nawet samotność przypadła mu do gustu.

Materiał dowodowy przeciwko jego matce był tak duży, że szybko odpuścili i oddali mu paszport. Okazało się, że matka chwilę przed zabiciem Mikołaja Królikowskiego wszystko mu opowiedziała, a całe jej

wyznanie trafiło do internetu. Jednak nie to było przerażające, ale odkrycie, którego mundurowi dokonali w piwnicy. Znaleźli tam starą maszynę do pisania, na której matka pisała listy do jego klientów. Przechowywała tam również wszystkie materiały ze śledzenia jego podopiecznych, a także ofiar. Ale co było dla niego najbardziej zaskakujące, odnaleziono również nagrania ze wszystkich jego sesji, zebrane na kilkunastu dyskach. Praktycznie każdy element jego życia miała pod kontrolą.

Jedyny pocieszający fakt w tej sprawie był taki, że nikt nawet przez ułamek sekundy nie podejrzewał go o zabójstwo Igi. Za to wszyscy znajomi, członkowie rodziny potwierdzili niechęć jego matki do swojej synowej, więc bez większych wątpliwości przypisano jej kolejne morderstwo.

Oczywiście śmierć, a później pogrzeb matki były traumatyczne. Jednak musiał żyć dalej, a to, czego potrzebował, to zmiana. Szybko wystawił na sprzedaż mieszkanie matki i lokal po gabinecie, przekazał upoważnienie do wszelkich transakcji agentce nieruchomości, a następnie kupił bilet do najbardziej egzotycznego kraju, jaki znalazł, z wylotem następnego dnia i z samym tylko bagażem podręcznym pojechał na lotnisko.

Teraz siedział z drinkiem w ręku i wiedział, że w końcu ma szansę żyć swoim życiem.

## Rozdział 31

### Ryszard – dwa miesiące później

Splawik delikatnie zanurzył się pod wodą, a płaską niczym stół tafłę ozdobiły rozchodzące się kręgi. Ryszard Kozłowski nieśpiesznie zaczął ściągać żyłkę kołowrotkiem, mając nadzieję, że na jej końcu znajdzie chociaż małego okonia. I znalazł. Mała rybka nerwowo się rzucała, bujając raz w prawo, raz w lewo. Mężczyzna zdjął ją z haczyka i wrzucił z powrotem do wody.

Łowienie traktował jako swojego rodzaju terapię. Była to chwila tylko dla niego, w ciszy i spokoju. Tak bardzo tego potrzebował po latach pracy w policji. Sprawa Anety Trojanowskiej miała szansę wynieść go na piedestał. W końcu to on był jednym z głównych świadków. Gdyby nie jego dociekliwość, nie usłyszeliby przyznania się do winy. Oczywiście było nagranie przesłane przez Mikołaja Królikowskiego, ale ten został uznany za zmarłego, mimo że ciała nie odnaleziono. Sprawa „zasady wzajemności”, jak nazwały ją media, cały czas stanowiła wielką niewiadomą. Wiedzieli już, że Milenę Nowicką próbował zabić Kamil Bednarczyk. Mieli podejrzenia, że Marcela Zawadzkiego również zabił ktoś wplątany w grę. Jednak z notatek i nagrań znalezionych u Trojanowskiej nic nie było takie oczywiste.

Ryszard Kozłowski mógł zostać twarzą sprawy. I może grzałby się w blasku jej chwały, gdyby nie niekończąca się lista niesubordynacji, nad którą komendant nie mógł przejść do porządku dziennego.

Po długich rozmyślaniach i rozmowach z żoną w końcu podjął życiową decyzję:

- Odchodzę - powiedział, gdy w końcu zebrał się na odwagę i stanął przed komendantem.

- Dzięki ci, Boże - skomentował mężczyzna i uniósł ręce w stronę sufitu. - A tak serio, to trochę szkoda. Nie jesteś aż takim potwornym gliną, za jakiego chciałbyś, żeby wszyscy cię uznawali.

- Dziękuję - odpowiedział, po czym zaczęli uzgadniać szczegóły jego odejścia.

Teraz wiedział, że była to najlepsza decyzja w życiu. Za miesiąc miał zacząć nową pracę. Dawny kolega, jeszcze z czasów liceum, zaproponował mu robotę u siebie. Nic szczególnego, miał wspomóc go w szpiegowaniu niewiernych mężów lub szukaniu zaginionych dzieci. Robota podobna do tej, którą wykonywał dotychczas, ale za lepsze pieniądze i na jego zasadach. Podobało mu się to, ale postawił jeden warunek. Nie zacznie od razu. Potrzebował odpoczynku, czasu dla rodziny i dla siebie.

Założył kolejnego robaka na haczyk, poluzował żyłkę i delikatnie zarzucił przynętę. Patrzył, jak tym razem kręgi powoli znikają z jeziora.



# Kilka słów

Pomysł na „Zasadę wzajemności” chodził za mną od dawna. W zeszłym roku napisałam nawet spory fragment, ale po trzech tygodniach pojawił się mur. Odłożyłam historię, lecz sama idea krążyła wokół mnie jak nieznośna mucha, aż w końcu wszystkie trybiki zaskoczyły i powstała wciągająca historia, której nie chce się odłożyć.

W tym miejscu pragnę podziękować moim beta-czytelnikom, którymi niezmiennie są moja Mama i mój Mąż. Sprawdzanie mojego „arcydzieła” przypadło akurat na wakacyjnym wyjeździe, a oni dzielnie każdego dnia jak górnik w kopalni drążyli, szukali, aby później na powierzchnię wyciągnąć wszystkie moje niedociągnięcia czy błędy logiczne.

Oczywiście nie mogę zapomnieć o wspaniałej redaktorce i korektorce, która pewnie raz na jakiś czas turla się ze śmiechu, czytając moje niektóre zdania o wymyślnej konstrukcji. Przepraszam i obiecuję poprawę ;)

Na końcu dziękuję Tobie, Czytelniku. Gdy powstawała pierwsza książka „Przez pomyłkę”, powiem szczerze, pisałam ją dla siebie. To było pewnego rodzaju wyzwanie. Teraz, gdy coraz częściej dostaję niesamowite wiadomości o tym, jak zarywacie noce, słuchacie audiobooka, jeżdżąc po Polsce, wiem, że nie jestem sama.

Dziękuję za te wszystkie miłe słowa, które wysyłacie na miliony sposobów. Za recenzje, opinie i gwiazdki. To one powodują, że nawet jak mi się nie chce, to mi się chce.

Obiecuję się rozwijać i pisać tylko lepiej. Przy tej okazji dziękuję Robertowi Małeckiemu i „Maszynie do pisania” za inspirujący kurs pisarski, z którego wycisnęłam, tyle ile mogłam, co podobno widać i słychać w „Zasadzie wzajemności”.

Pozdrawiam  
Agnieszka

PS Jeżeli jeszcze nie czytałeś, drogi Czytelniku, serii o Dorocie Czerwińskiej, to jest ten moment, abym Cię do tego zaprosiła. Książki w dowolnym formacie dostaniesz praktycznie wszędzie, a na pewno na [www.peszek.pl](http://www.peszek.pl).

PPS Nie zapomnij dodać opinii o „Zasadzie wzajemności” na portalu [lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl).

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Cytał](#)

## [Część 1 Narodziny](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

## [Część 2 Upadek](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

### Część 3 Ponowne narodziny.

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Kilka słów](#)

[Spis treści](#)